



MROČZNA  
SERIA

KARINA

# OBARA gracze



W  
ab

*Ali-Baba*

MRO CZNA  
SERIA

KARINA

**OBARA**

---

gracze

*Zło mnie podnieca, i nigdy nie zrozumiesz,  
dlaczego tak mi odbiło.*

**OBIAD JESZCZE SIĘ NIE ZACZAŁ,  
GDY ZADZWONILI**

Gdy Ewa w łazience staje w rozkroku, wie już, że musi tego ranka usiąść na misce z ziołami. Wie, że napar z kory brzozy pomoże na to dokuczliwe pieczenie, przypadłość każdej, która wieździe życie za blisko zbyt wielu mężczyzn.

Żółta miska już ląduje na podłodze, elektryczny czajnik zaraz wyłączy się sam, wrzątek westchnie do ziół, a one utoną pod jego ciężarem i nabiorą mocy. Kwa ściąga czerwony szlafrok i kładzie go na pralce. Zioła parują, rozprzestrzeniając się w łazience niczym wściekły ból w Ewy kroczu. Ewa kuca, owijając biodra ręcznikiem frotte. Przyjemne ciepło otula jej pochwę, która wreszcie oddycha parą z żółtej miski.

Wpuść mnie do łazienki! - słyszy, ale nie rzuca się od razu, aby łapać za klamkę, gdy Michał wali pięścią w drzwi. Siedemnastoletni synowie są bardzo niecierpliwi. Michał nie różni się od nich wiele. Może tylko o tyle, że ma matkę żyjącą dzięki hojności

pożądliwych żywicieli, ale tego jeszcze nie wie. Właściwie nigdy ma się nie dowiedzieć, bo Ewa robi wszystko, aby się nie dowiedział, i będzie robiła co w jej mocy do ostatnich dni procesu wychowawczego syna. Podejrzewa też, że zabierze tę tajemnicę do grobu, bo w gruncie rzeczy nie ma się czym chwalić.

Mówi spokojnym głosem, że zaraz wyjdzie i postanawia, że nie uniesie głosu, nawet gdyby Michał kopnął w drzwi, co zdarza mu się dość często w zniecierpliwieniu. Ewa z ulgą zamyka oczy. Kanał, kiedyś rodny, chłonie ukojenie z kory brzozy. Brązowe włosy, które na co dzień spływają jej falami na plecy, są dziś w nieładzie, a ich fale nie obejmują jak zazwyczaj łagodności smukłych ramion, w soboty bowiem ta piękna klasyczną urodą swych atrybutów kobieta nigdzie nie wychodzi i uważa, że nie musi troszczyć się o wygląd.

Otwieraj! - słyszy znów łomot do drzwi. Nie spostrzegła, że zaraz minęło i już jest kilka minut po, co Michał przypomina z wyrzutem, dodając wściekle, że zaraz walnie z buta. Matka unosi biodra energicznie, bo tak jeszcze potrafi w wieku trzydziestu ośmiu lat. Para zamienia się w krople spływające po jej smukłych udach. Ewa nic nie mówi, tylko syczy wściekle do Michała, który daje jej minutę na wyjście z łazienki. Matka nienawidzi obowiązków wobec syna, między innymi opuszczania łazienki, gdy ten wstaje rano i chce ją zawłaszczyć, podobnie jak niemal każdego wieczoru

ciało Ewy jest zawłaszczane przez mężczyzn starszych od Michała.

Wreszcie wyszłaś, syn potrąca matkę łokciem, wypychając się do łazienki. Wymieniają wściekle spojrzenia. Ewa wie, że nie wolno odzywać się do Michała rankiem, bo to grozi awanturą. Chłopak pozbawiony jest werbalnej subtelności, która mogłaby pomóc matce w znoszeniu go na co dzień. Dlatego Ewa znosi go jedynie od święta, czyli wtedy, gdy nie przyjmuje przyjaciół finansujących jej dom, bo z pracy ekspedientki nie może go utrzymać, więc tylko od święta pozwala umęczonemu ciału wypocząć, a sercu otworzyć się na potrzeby dziecka.

Tak dzieje się jedynie w soboty. Niestety, w soboty, podobnie jak w każdy dzień tygodnia, Michał planuje sobie czas przed komputerem lub w towarzystwie kolegów, co oznacza, że drogi matki i syna rozmijają się w przedpokoju.

Dziś jednak ma być inaczej i stanie się tak, gdy Michał wróci ze szkolnego meczu koszykówki. Musi na niego pójść, aby zdobyć punkty z fakultetów, co przyniesie mu pozytywną ocenę z wuefu.

Syn bierze prysznic zużywając hektolitry wody. Tak przynajmniej myśli matka, która z wściekłością przyrządza mu kanapki. Chleb tostowy, plask na blat kuchenny, szynka, plask na chleb tostowy. Cofnij. Najpierw masło, teraz szynka, plask na masło. Koniec. Sałaty zabrakło. Chciałaby, aby zabrał kanapki do szkoły

i zjadł po meczu, bo wtedy będzie rósł i pozwoli swym mięśniom powoli zapomnieć o bólu po treningu, Ewa zawija kanapki w folię aluminiową. Wtedy też będzie odczuwał mniejszą złość, którą mógłby zamienić w uszkodzenie czyjegoś ciała, na które dmucha i chucha inna matka, szykująca co rano kanapki. Szum wody w łazience rani Ewy uszy, które mają połączenie z licznikiem w jej głowie. Na liczniku wyskakują comiesięczne dopłaty za zużywaną przez nastolatka wodę. Nadmiar cyfr jest kompatybilny z nadmiarem potu chłopca i nadmiarem testosteronu, który łatwo doprowadzić do wrzenia, a to grozi poparzeniem matki.

Tylko nie rób mi kanapek z Chleba tostowego, bo go nie cierpię, i z ohydną szynką, krzyczy syn z łazienki. Z Ewy głowy wylatują wszystkie cyfry świata - za wodę, za szynkę ohydną, za chleb tostowy, za ostatni numerek z Wielką Łapą, Owłosionymi Plecami, Fizykiem, Matematykiem, Alkoholikiem, Abstynentem, Schizofrenikiem, Idealnym Mężem. Nie będzie więc żadnych kanapek i nadmiar złości z powodu głodu nabuzowanego nastolatka może dziś znaleźć ujście w uszkodzeniu czyjegoś ciała nakarmionego kanapkami przez matkę, która wyszła rankiem do sklepu po bułki. To nie żryj, ucina krótko Ewa. Syn jej jednak nie słyszy, bo zawył właśnie, dlatego że uszy ma całe w pianie, a w oczy szczypie go żel na pryszcze, który roztarł niezgrabnie, nie zachował należytej ostrożności przy myciu twarzy, bo nie przeczytał ulotki, gdyż

czytać nie lubi, nawet ulotek, bo to trwa za długo, chyba że ktoś by mu przeczytał, tak jak podczas gry komputerowej. Ale trudno do wanny wziąć komputer, bo wtedy syn straciłby jedyną rzecz, którą kocha, gdyż ludzi nie kocha i kochać nie chce, bo ludzie krzywdzą i są krzywdzeni, a to oznacza, że nie są doskonali jak komputer, który oznacza tylko przyjemność najwyższą, najwznioślejszą, najbardziej oczywistą, najbardziej pożądaną, najbardziej spełniającą w tak młodym, delikatnym wieku. I wyjście z wanny dla Michała jest najbardziej bolesną czynnością, jaką wykonuje młody człowiek, który doskonale wie, z czym wiąże się takie wychodzenie z wanny - z wchodzeniem w życie, którego nienawidzi z wzajemnością.

Dlaczego mi nie powiedziałaś, że ten żel szczypie w oczy? Michał szczypie słowem matkę, a ona milczy, bo ma dość głupich pytań nieczytającego chłopaka, który mógłby czytać, bo matka też czyta, ale nie potrafi go namówić, ponieważ wszystko, co robi, napotyka mur nienawiści syna, który matkę uważa za głupią, nawet jeśli matka czyta każdego wieczoru po pracy w sklepie odzieżowym.

Szczypie znów matkę, bo nie ruszyła starego tyłka, jak syn go określa, po bułki, tylko zajmowała bez sensu łazienkę, a przecież nigdzie dzisiaj nie idzie, podczas gdy on zadał jej sensowne pytanie, na które ona nawet nie potrafi odpowiedzieć, jak zwykle, tylko patrzy na niego bez sensu, bo i tak nigdy nie zobaczy w nim grzecznego chłopca, kujona, jedynie człowie-



ka, który poświęca się rankiem, aby iść na mecz i dostać zaliczenie. Jego zachowanie jest więc zasadne, a jej beznadziejne, bo potrafi tylko się gapić, zamiast znaleźć mu w tym czasie czystą koszulę i skarpetki, i dres jakiś albo spodenki, wszystko jedno, i tak mu ten mecz wisi, ale musi iść, więc nago nie pójdzie, jak łajza ostatnia, jak dzieciak bez matki, jak jakiś niedorozwój, pan Andrzej jakiś albo inny Zoofil, recytuje matce w twarz, wymyślonymi na poczekaniu słowami zonglując jak uczuciami tej, której przydarzyło się go urodzić, bo coś jej się kiedyś pomyliło z kalendarzykiem i obserwacją śluzu.

Ewa przeczuwa jednak, że dziś będzie inaczej, bo kiedy Michał wróci, ona będzie czekała na niego z obiadem, zapomni, co jej nawrzucał z rana, usprawiedliwi, że to dlatego, że jest sobota, a on musiał iść na jakiś mecz, biedny chłopak, zupełnie zmielony przez system szkolny, bo kto to wymyśla wuef w sobotę, gdy rodzina może być razem, wyspać się, po ciężkiej nocy zarwanej przed komputerem, która mu się przydarzyła, jak wielu w jego wieku, no po co tak dziecko męczyć i rodzica jego jedyne, też zmęczonego po nocach nad lekturą. I to mu mówi, gdy on zawiązuje buty w przedpokoju, mówi, że go rozumie, bo długo dziś w nocy czytała, noc jej się wydłużyła, kiedy składała litery w słowa, a słowa w zdania, a te znowu w myśli, które jej się pojawiały podczas zaczytania, odskoczni od codzienności, zapomnienia od tego, co jej dolega.

Podbiegłaby do niego, pomogła zawiązać, gdy widzi, jak się męczy sam ze sobą, ale w końcu zawiązał sznurówki drżącymi ze zdenerwowania dłońmi, nadwreżonymi od klikania myszą komputerową, ulżyłaby mu w tym cierpieniu, gdy kurtkę zakłada na mięśnie zmęczone, omdlałe od niewyspania, ale jakże aktywne jeszcze o trzeciej nad ranem, gdy napięte niczym członki jej spragnionych kochanków, przeżywały każdą rundę, każdą walkę, każde sieczenie mieczem, pokonywały wroga, intruza, każdego, kto śmiało przeszkodzić w przeżywaniu jak najdłużej, jak najintensywniej, wielkiej przyjemności. Biedne dziecko dostaje trzy złote na drożdżówkę i jeszcze dwa pięćdziesiąt na wodę, bo po meczu pić się chce, zamyka za sobą drzwi, pogrążając matkę w wyrzutach sumienia, które prowadzą ją wprost do kuchni i natrętnie podpowiadają - zapal gaz, otruj się.

Ale ona wyciąga garnek z podwójnym dnem i wkłada tam mięso jego ulubione, karkówkę, którą przyrządzi tak, jak on lubi i nakarmi go, aby miał siłę z nią walczyć i z życiem w ogóle, które mu dostarcza tak wielu przykrości, nawet jeśli ona robi wszystko, by niczego mu nie zabrakło, chociaż jest sama i jest jej ciężko, a gaz syczy tak przyjemnie, że chętnie by zdmuchnęła ogień i zostawiła tylko to syczenie, i tak usnęła, a on by wrócił i zastanowił się, jak bardzo musiała cierpieć, jeśli ten gaz ją uwiódł, a syn rodzony nie przekonał, że warto dla niego było zostawić ogień, karkówkę podać z niego zdjętą, a nie zamienić się w trupa, z którym on

nie będzie wiedział, co zrobić, bo nie czytał nigdy, co się robi ze zmarłymi, w grach komputerowych można mieć życie za życiem, a jeśli nawet bohater umiera, gracz nie troszczy się, co zrobić ze zwłokami. Idzie dalej, do następnej rundy.

Lecz myśli natrętne opuszczają ją, gdy dzwoni telefon, a karkówka własnym sosem przyobleczona zapowiada rodzinne, z synem u stołu, popołudnie.

Gdy biegnie do telefonu przez przedpokój pełen zapachu ulubionego mięsa syna, myśli, że to on z przeprosinami, bo przecież tak zawsze robi, dzwoni do matki, żeby zapomniała, co mówił w złości, która mu mija, gdy wychodzi i trochę się przewietrzy.

To jednak nie jego głos słyszy w słuchawce, tylko starszy, bardziej doświadczony, bardziej uprzejmy i opanowany głos, który wie, co trzeba w danej chwili powiedzieć, aby zdobyć kobietę, aby się zgodziła na to, co chce jej zaproponować.

Głos proponuje jej randkę, po której lodówka zostanie solidnie zapełniona, i nieważne, że jest sobota, podczas której ona powinna odpocząć, i którą traktuje jak świętość, jedyną w swym grzesznym życiu. Głos dziś właśnie, koniecznie zaraz, chce zamienić się w ruch ciała, w szybki odtwarzacz dźwięków o wysokiej częstotliwości westchnień, które pozwolą mu błyskawicznie osiągnąć pożądany stan ejakulacji. Głos wszystko to mówi Ewie, która waha się między karkówką a karkiem dojrzałego mężczyzny, więc odpowiada mu, że dziś świętuje z synem, który jest na

meczu, ale wróci niebawem na wspólny posiłek, na wspólne popołudnie w murach wreszcie innych niż szkoły, pełnych rodzinnego ciepła stworzonego na tę okoliczność, długo wytęsknioną, namaszczoneą sosem pieczeni z garnka z podwójnym dnem, bo innej Ewa nie potrafi przyrządzać.

Głos jednak nie waha się tak jak Ewa, bo jest pewny siebie, gdyż jego pewność jest wprost proporcjonalna do pieniędzy zarabianych w innej niż Ewa pracuje korporacji. Głos pracuje dla koncernu, Ewa dla drobnego handlowca, koncern wzmacnia głos, który staje się z każdym rokiem pracy potężniejszym barytonem, głównie za względu na ilość papierosów wypalanych z powodu stresujących sytuacji w pracy, Ewa wzbogaca handlowca, który z każdym dniem pracy przegrywa z koncernem.

Głos miętosi każde słowo, przeżuwa dokładnie i wypluwa tak, jak i jego wypluwa korporacja, która na co dzień nie pozwala mu pluć na siebie, dlatego też głos nabiera jeszcze większej pewności, bo dziś jedynie jest wolny od wpływów korporacji żywicielki, w której spędza wszystkie wieczory w tygodniu. Dziś chce zadowolić się najlepszą dziwką, jaką zna, zapomnieć w tym dniu o niechętniej, bo zmęczonej żonie, dzieciach, które planują sobotę bez ojca i innych członkach rodziny, którym słowo członek nie kojarzy się z niczym dobrym, bo w pewnym momencie wspólnego życia rodzina staje się mechanizmem rozczłonkowanym na swoje sprawy, odbywające się

w osobnych pokojach i łazienkach, aby każdy mógł cieszyć się swoją intymnością.

Ewa nawet po tych słowach, które sprawiają, że żal jej głosu, tak jak żal jej nieobecnego syna, który poszedł na szkolny mecz bez kanapek z ohydną szynką, nie chce ulec namowom. Czułość do głosu podpowiada jej, że należy jak najszybciej skończyć tę rozmowę, nawet za cenę braków w pełnej zwykle lodówce, bo głos bez wątpienia się zniechęci i przestanie odczuwać chęć na spotkanie z kobietą, która mimo że jest prostytutką codzienności, gdyż zapelnia lodówkę produktami od niego, mówi o świętej sobocie przeznaczonej dla syna chętniej niż o sobocie przeznaczonej na pozakorporacyjne umizgi głosu.

Ewa domyśla się już, że nie powinna odmawiać głosom o podobnym tembrze, bo staje się coraz starszą Ewą, której ciało topnieje we wzrastającej temperaturze lat, kurczy się w wyniku bezlitosnej biologii i chemii, które po dwudziestce przestały być tylko lekcjami szkolnymi, ale stały się lekcjami życia, które Ewa każdego ranka zaczyna o siódmej rano.

Ewa ściska więc nerwowo słuchawkę telefonu bezprzewodowego i tłumaczy głosowi, że dziś nie jest tym dziś, którego głos oczekuje, bo oczekiwanie Ewy jest tego dnia uszyte na miarę syna, przemyślane i jednoznaczne tak jak zajęcia, które przyszło jej uprawiać jako matce pozbawionej wyboru innej jakości życia niż jakość zużywania ciała do łatwego zdobywania pożywienia w procesie wychowywania syna, który jest

procesem trudnym. Nie można bowiem robić naraz dwóch trudnych rzeczy w obliczu świata stawiającego wymagania bycia perfekcyjną, taki świat rozlicza każdego dnia z efektów, zarówno pracy zarobkowej, jak i zajęć wychowawczych, i nie różni się od świata korporacyjnego, bo jest równie intensywnie wsysającą gąbką wysiłku, który trzeba wykonać, aby znieść konsekwencje wyboru. I Ewa je znosi, odkąd skończyła dwadzieścia trzy lata, odkąd pierwszy głos powiedział do niej kurwo.

Ten dzień pamięta Ewa bardzo dobrze, bo był to pierwszy dzień, gdy czuła głód uwierający ją w całym ciele, który nie dawał odpoczynku myślom i tkankom przywykłym całą powierzchnią do czucia niemowlęcia. Głód zaczął rozprzestrzeniać się po pustych blatach kuchennych, wszedł do pojemnika na chleb i westchnął pustką, zajrzał do lodówki i ziewnął nudnym niczym, w którym było tylko minus dziesięć stopni, obił się o kuchenkę, na której wypełniony powietrzem garnek patrzył w sufit oblepiony grzybem nie do zjedzenia. Wtedy matka zdała sobie sprawę, że poszukiwanie przez trzy miesiące lepszej niż ekspedientki pracy, musi prowadzić nieuchronnie do decyzji o puszczaniu się prowadzącej dom, w którym jest niemowlę płci męskiej, jedyny mężczyzna, wobec którego matka odczuwa silny instynkt opiekuńczy nadzorujący jej zdrowy rozsądek, i garnek, który trzeba koniecznie zapłacić pełnowartościowym produktem, zapewniającym przetrwanie wartości macie-

rzyńskich, bo inne wartości w tych okolicznościach przestały mieć znaczenie.

Wartość matki w ciągu miesiąca wzrosła za to z kwoty zero, bo tyle zostawało jej po opłatach czynszu i prądu, do ośmiuset złotych miesięcznie zarobionych w sklepie, z czego trzy czwarte Ewa lokuje na koncie, aby zapewnić synowi bez terażniejszości w szczęśliwej rodzinie, przyszłość w jego rodzinie, którą na pewno zbuduje, bo będzie miał dobry start dzięki zarobionym przez matkę pieniądzom, ulokowanym na koncie w trzech czwartych, bo resztę pochłania czynsz, a jedzenie dostarczają jej mężczyźni, z którymi Ewa chodzi do łóżka, stosując wymianę towarową.

Ewa wie, że wychowanie dziecka jest rzeczą trudną, więc przykrywa wyrzuty sumienia makijażem powinności, tak jak przykrywa oblicze pudrem przed kolejnym zbliżeniem za jedzenie. W ten sposób oddala od siebie refleksję, że pracować tak będzie mogła, dopóki jej ciało nie przyoblecze się żałobą po młodości.

Kiedy Ewa rozmawia z głosem, a karkówka już prawie gotowa woła ją do kuchni zapachem przywierania do podwójnego dna, jest przekonana, że właśnie dziś jest czas podjęcia decyzji w sprawie życia zawodowego. Ewa liczy drugą połowę uwagi, bo pierwsza jest wciąż uczepiona tembru głosu w słuchawce, że ma na koncie wystarczająco dużo pieniędzy, aby założyć własną firmę nieopartą na opieraniu się na męskim pożądaniu. Gdy myśl ta zdominowuje drugą połowę uwagi, Ewa żegna głos w słuchawce grzecznym żeg-

nam na zawsze i nie obchodzi mnie, co pan zrobi ze swoją sobotą, bo moja należy do karkówki, podwójnego dna w garnku i syna, który za godzinę wróci z meczu.

Głos stanowczo mówi, że jest nędną dziwką, która nie wie, komu odmawia i będzie tego żalowała, bo głos ma taką moc sprawczą, że szepnie zdecydowanie komu trzeba, aby kto trzeba z Ewą nigdy więcej się już nie zadawał, a to oznaczać będzie dla Ewy koniec karkówki, na którą nie będzie jej stać, i koniec wobec syna, który przyzwyczajony, że niczego mu nie brakowało, teraz dopiero jej pokaże, jak gorzko smakuje męska złość w pełnym braku domu z powodu nierozsądku matki.

I skąd tyle jedzenia weźmiesz Ewo? - mówi w wołaczku głos, co da ci większą satysfakcję finansową niż rozkrok między światem przyzwoitości a światem rozpusty, który był twoim poczuciem bezpieczeństwa w niebezpiecznym boksowaniu się z rzeczywistością, z opinią społeczną, z opinią o sobie samej, która i tak jest zła, ale w chwili zapłaty za orgazm lepsza, z opinią syna, który nic nie wie, a który wreszcie zapyta, jak będziemy teraz żyć. Kto ci pomoże, Ewo, skoro w życiu, które przyszło ci wieść, nie ma przyjaciół, tylko klienci żywieniowi, o których chcesz jak najszybciej zapomnieć. Kto ci pokaże inną drogę, skoro wszystkie twoje drogi prowadziły dotychczas do łatwego zarobku, a każdy inny jest mozolny, wymagający poświęcenia więcej czasu i uwagi, które zawsze miałaś podzie-



lone na syna i na łóżko w hotelu lub w domu podczas nieobecności syna, które trzeba opuścić, zanim wróci ze szkoły lub zanim wstanie do niej rankiem. Jak znajdziesz łóżko dobrej posady, które nie będzie łóżkiem w tobie tylko znanym rozumieniu, bezrozumna kobieta, bezimienna, niewykształcona, nieprzywykła do życia, w którym trzeba pokonywać szczeble kariery, szczeble układów, stosunków, w innym rozumieniu kontaktów międzyludzkich, niż ty znasz i doświadczyłaś.

Mimo to Ewa odkłada słuchawkę telefonu bezprzewodowego, wcześniej naciśnawszy czerwony przycisk, co pozwala nie słyszeć odgłosu podcinania jej świeżo wyrośniętych skrzydeł przez głos z korporacji.

Ewa gładzi nowe skrzydła w drodze do kuchni, gdzie już czeka nakrycie dla dwóch osób - syna i matki, która właśnie postanawia zmienić swoje życie, o czym za czterdzieści minut poinformuje syna, głodnego po powrocie z meczu, bo oparł się jej kanapkom z ohydą szynką.

Oczekiwanie na syna przeradza się w fascynujące planowanie każdego kroku ku firmie, którą Ewa pragnie założyć, a która jeszcze nie wie, że powstanie, bo Ewa musi najpierw przekonać samą siebie, że potrafi to zrobić, że poradzi sobie w gąszczu przepisów, tak jak radziła sobie w gąszczu pragnień kolejnych mężczyzn. Kroki mylą się Ewie jak tancerce, która nigdy nie tańczyła fokstrota, ale ma przecucie, że wygra konkurs taneczny, jeśli tylko nauczy się poruszać no-

garni w określony, zaplanowany sposób. Kroki Ewy, nawet jeśli teraz są nieporadne, z pewnością staną się płynne, gdy syn wróci i przy obiedzie podpowie, co mogłoby wyjść z matki planów, która ma oszczędności na koncie i chęć zrobienia czegoś, co odmieni ich wspólne życie i zabezpieczy ich życie w pojedynkę, do którego dojdzie za kilka lat, bo wtedy Michał stanie się dorosłym mężczyzną, a ona starą kobietą niepotrzebującą jego wsparcia, bo wsparcie zostanie wypracowane dzięki wspólnemu wysiłkowi matki i syna, tak aby później syn mógł od niej odpocząć, a ona cieszyć się jego samodzielnością. To będzie jej emancypacja, ukoronowanie wychowawczego trudu, zamknięcie karty niechlubnej przeszłości, o której trzeba jak najszybciej zapomnieć, aby nie tracić energii na rozpamiętywanie czegoś, na co i tak nie ma się wpływu, bo przecież czerpania z hojności mężczyzn nikt sobie nie wybiera, ono jest następstwem pustego garnka, grzyba na suficie i zgryzoty, braku gotowości do długiego oczekiwania na spełnienie marzeń, niedającej się opanować chęci zmienienia czegoś natychmiast, co jest złe, wierające w młode jeszcze ciało, które chce cieszyć się smakami życia, nawet za cenę smakowania przypadkowości zawartej w dzwoniących głosach, nic nieznaczących, nic niewnoszących, oprócz pieniędzy, zamienianych na masło, chleb, mięso, warzywa i owoce, nic nieoczekujących, oprócz godziny rozkoszy z bezimienną, niepytających o prawdziwe imię kobietę z rozwartymi nogami, o to, kim

jest, rozłożona na łóżku obietnicy o następnym razie, w podobnie obiecujących okolicznościach.

W te okoliczności życia matki wpisywać musiały się zawsze powinności wobec syna, istoty, która rozczula ją instynktownie, choć Ewa, zmęczona zaspokajaniem potrzeb innych, ma do potrzeb syna również stosunek przymusowy.

Każdy przedmiot, który mu kupuje, każdy posiłek, który przyrządza, jest dyktatem jej poczucia obowiązku, tak jak kilka godzin z utrzymującymi dom przyjaciółmi sypialni dyktuje jej, jak należy ich zadowolić, aby po dobrze wyświadczonej usłudze do niej wrócili.

Syn też wraca do domu, bo wie, że znajdzie w nim to, czego pożąda - poczucie bezpieczeństwa płynące z posiadania sprzętów zakupionych za sprzedawane ciało matki, ponieważ czasem jej przyjaciel zostawia pieniądze na drobne wydatki, o czym syn nie wie i wiedzieć nie może, bo matka nie chce się nad sobą rozczulać i nie zamierza zwierzać się synowi z trudów wykonywanego zajęcia. Nie jest to - zdaniem matki - zajęcie opatrzone stemplem rzeczywistej sprzedajności ciała za pieniądze, bo Ewa nigdy pieniędzy nie żąda. Nigdy więc, w jej świadomości, nie uprawia rzeczywistej prostytucji.

Mimo zmęczenia trwającą od kilku lat niejasną sytuacją w lodówce Ewa nie chce się użalać nawet wówczas, gdy syn wchodzi do domu zmęczony szkołą i niskim stopniem ucywilizowania wśród dojrzewających

kolegów i mówi odsuń się kurwo, bo tak się mówi wśród jego kolegów do matek stojących w przedpokoju i zagradzających drogę bezwartościowym pytaniem, jak ci dzisiaj poszło. Powiedziałyby mu chętnie, że rozumie jego zmęczenie, bo ono też jest jej udziałem, tymczasem matka nic nie mówi, jedynie czuje, że syn nie może powiedzieć do niej innego słowa, bo kurwo jest słowem najlepiej wyrażającym jego emocje, gdyż trudno jest znieść dziecku takie pytania, szturchańce zainteresowania, które tarasują wejście do własnego pokoju, gdzie stoi uspokajacz, odstresowywacz, pan czasu niszczący piekielnym ogniem chorych na uczniów nauczycieli, zdradziecki świat fałszywych ludzi otaczających każdego młodzieńca. Stoi dumnie i czeka, stabilizator emocji najdroższy, wybawiciel z życia codziennego, z głupoty mędrców fałszywych, którzy tylko czekają, aż zniknie, aż spłonie, aż się przegrzeje, zanim oni przegrzeją swoje receptory niewrażliwe na potrzeby biednego dziecka stającego się mężczyzną.

Gdy syn siada w końcu do komputera, ona widzi, jak napięcie schodzi z niego, spływa po ciele najdroższym, po twarzy skrapla się ukochanej od maleńkości, od czasu grzyba na ścianach, pustego garnka, bezradności i obawy, że nie będzie w stanie zaspokoić jego potrzeby pozbywania się lęku przed światem, przed bolesną świadomością, że nie ma tego, co mają inni chłopcy w jego wieku.

W takich chwilach wybacza synowi, że słowa kurwo użył nieświadom, co ono oznacza w jej rzeczywi-

stości, w jej dosłowności, w sprzedajności jej ciała na uwięzi pieniądza, który uspokaja, bo wydany został w słusznym celu wychowawczo-żywniowym.

I gdy syn nie chce wyrzucić śmieci, umyć wanny po sobie, ubikacji używanej każdego dnia, matka też wybacz, bo wie, jak trudno jest żyć z poczuciem obowiązku, a co dopiero go wykonywać, wie, jak ciężko przychodzi mu wchodzenie w dorosłe życie, gdzie obowiązek dominuje nad przyjemnością, więc uspokaja usta, które chciałyby gderać, wyrzucić z siebie przez zęby zaciśnięte ze złości inwektywy kojące, uśmierzacze frustracji, dźgnięcia przymusu wobec pierwotnego.

No, odsuń się, łajzo, nie jest w stanie jej wzruszyć tak mocno, jak wzrusza ją ból dojrzewania dziecka. Nie wyprowadza jej z równowagi słowo najgłębiej raniące poczucie dumy przeciętnej kobiety, bo ona nie jest przeciętna, gdyż dźwiga na sobie piętno oddawania się za to, co wkłada do garnka. Kamufluje to pod sercem tkliwym na grzechy syna, który grzech większy skrywa w nieświadomości, o czym matka wie z psychologii, którą się interesuje, gdy czyta gazety, tak jak wie, że pod powłoką nieczulego nastolatka jej ukochany syn ukrywa kompleksowy, niczym usługa u krawca szyjącego na miarę, kompleks niższości.

Kuchnia przestronna, urządzone w nowoczesnym stylu, w jasnej tonacji drewna, które Ewie kojarzy się ze spokojnym domem na wsi, jakiego zawsze pragnęła,

ale do tej pory nikt go dla niej nie wybudował, a ona sama nie jest w stanie, oddycha czystością. To Ewa ją tak wyszorowała podczas rozmyślenia o zmianach.

Czystość usadza matkę przy oknie, aby mogła czekać na syna spokojna, przekonana, że dziś jest lepszym dziś, niż było jeszcze wczoraj, jeszcze rankiem, który już należy do przeszłości, a ta nie musi się liczyć, nie liczy się właściwie wcale, bo od dziś matka liczyć będzie inaczej. Zagląda w lustro, dostrzega błyszczące, brązowe włosy, układa je więc starannie. Jakże płoną jej oczy! Już wie, że oczekując na zmianę, kobieta zmienia wygląd nawet bardzo zmęczonej twarzy.

Już zdaje sobie sprawę, że usprawiedliwianie syna musi się skończyć, tak jak zapełnianie lodówki szczodrością lepiej od niej sytuowanych. Nawet jeśli różnica pomiędzy jednym a drugim jest fundamentalna - usprawiedliwia bowiem z miłości, ale lodówkę zapełniać musi z konieczności, gdyż ona nie potrafi zdobywać tyle, ile potrzeba jej synowi. Już do niej dociera, że miłość powinna mieć zasady, którymi należy karmić syna jak ulubioną karkówką, już odkrywa, że brak zasad oddalił ją od niego, a jego od niej, ale ma sygnały z podbrzusza, w którym wciąż pulsuje macierzyński instynkt, że jest jeszcze szansa, by przywrócić ich wzajemną relację do stanu poprawności, sprawności emocjonalnej, prawidłowego reagowania syna na zadane pytanie, dlaczego tak długo siedzisz przed komputerem, gdy matematykę trzeba zaliczyć. Michał

jeszcze może zaliczyć matematykę, ma nadzieję matka, bo odpowie, masz rację, mamo, a nie odwal się, suko, nie wpięraj się w moje sprawy.

Tego dziś oczekuje Ewa, gdy Michał otworzy drzwi, co poruszy sztywną firankę w kuchni i otworzy Ewy powieki z długiego przymykania ich na wcześniejsze zachowanie syna.

Gdy ona siedzi przy kuchennym oknie, ścienny zegar zatrzymuje się na godzinie piętnastej dwadzieścia. Syn już powinien być w domu, a tu bateria chyba się wyczerpała, tak jak matki cierpliwość do daremnego czekania. Karkówka stygnie z czasem dłużącym się w nieskończoność, bo gdy jest dwadzieścia trzy minuty po piętnastej, matkę przeszywa dreszcz niepokoju, dziwne uczucie niemocy, podejrzenie najgłębsze, że syn jest od niej dalej, niż był kiedykolwiek. Ewa nie wie, co zrobić z tym uczuciem, może gdyby wiedziała więcej o reakcjach organizmu, nie pojawiłby się w niej lęk albo potrafiłaby coś z lękiem począć, wiedziałaby, jak go okiełznać, ukierunkować, zabawić jakąś opowiastką, że Michał z kimś się zagadał, zaprzyjaźnił z miłą dziewczyną w czerwonej sukience.

Matka zamienia siedzenie w kuchni na zdjęcie z siebie szlafroka w łazience. Ubiera się pośpiesznie, chce być gotowa na to, co wsuwa jej pod gorącą czaszkę intuicja, maluje się, perfumuje, czesze raz jeszcze, wszystko nerwowo, jakby czasu brakowało, choć jest go przecież w nadmiarze.

I gdy wdycha nerwowo zapach syna bluzy, którą pozostawił na pralce, dzwoni telefon upragniony. To on z pewnością, Ewa karmi nadzieją nogi pędzące do kuchni po aparat, już chce włączać gaz, aby podgrzała się karkówka, ziemniaki wstawić, jeść już wspólnie, przeżuwać, trawić, odpoczywać w tym samym pokoju, rozmawiać o przyszłości.

Halo, słyszy w słuchawce telefonu bezprzewodowego, a głos wymienia jej nazwisko, pytając, czy to ona we własnej osobie, matka Michała o jej nazwisku, i że przykro głosowi, który pełni funkcję porucznika wydziału dochodzeniowego do czegoś tam, czego Ewa nawet słyszeć nie chce i nie jest w stanie, bo jej uszy nie są przygotowane na to, co do nich płynie ze słuchawki czerwonej, ale matka musi pojawić się tak szybko, jak to możliwe na komendzie policji, aby poświadczyć, czy to jej syn, aby dowiedzieć się, że wydarzyło się coś strasznego, co zabierze matce czas przeznaczony na zjedzenie z synem obiadu, co zagospodaruje matki czas na resztę życia, która jej została.

Dobrze, że Ewa się już ubrała, umalowała, uczesała, że wygląda schludnie, że tylko buty musi jeszcze założyć, że może już pędzić na spotkanie z synem, który czeka w tunelu nieporozumienia, którego padł ofiarą, które go teraz przetrzymuje w bardzo nieprzyjemnym miejscu, z dala od obiadu, z dala od tej, która może I chce mu pomóc, jedyna na świecie, najbardziej kochająca, wierząca w jego niewinność, w jego serce



czyste, zmęczone nocą spędzoną z tym uzależniającym młode ciało i umysł komputerem.

Jakże on teraz musi się czuć, Ewa biegnie ulicami miasta, mijając domy zapelniających jej lodówkę, ich żon, ich dzieci, jakże musi cierpieć samotny, bezradny, zaprzeczający podejrzeniom wypowiedanym z ust policjantów bezwzględnych, bo mających przed sobą nie swoje dziecko, nie swego syna pierworodnego, ale chłopaka, którego należy złamać niczym gałąź suchego drzewa, uschniętego pod pręgierzem pytań, zanim jeszcze wypuściło listki zielone, wiosenne, świadczące o wchodzeniu w życie dane człowiekowi raz, aby z niego korzystał, próbował, smak czuł długo, rozprzestrzeniający się po ciele głodnym bodźców, gestów, poklepywań, że dobrze zrobił, że czyny jego zostaną nagrodzone.

Może go teraz biją pałkami policyjnymi, matka zbliża się z każdą ulicą, z każdą przecznicą do miejsca kaźni syna. A jeśli go kopią, straszą, nawet wody do picia nie chcą mu dać, póki nie odpowie na pytania, póki nie zwariuje od znęcania się nad nim. Wiatr tarłosi jej włosy falami spływające na ramiona, gardło ścisła płacz, który jeszcze wypłynąć nie może na zewnątrz oczu szeroko otwartych, przerażonych tym, co może się stać z jej dzieckiem, smaganych smogiem odjeżdżających autobusów, w których nie dostrzega żadnej znajomej twarzy, aby mogła jej pomóc zabrać syna z piekła, w którym silni przez posiadaną władzę mężczyźni osłabiają jego wolę. Ścisła w rękę torebkę

z dużą kwotą, która przecież może się przydać, gdy już dobiegnie te pięć kilometrów do miejsca przeznaczenia jej syna, do miejsca, w którym nie zostawi go na dłużej niż zostanie do czasu jej przybycia, do czasu, gdy ona go ocali.

## OBIAD JUŻ SIĘ ZACZAŁ, GDY ZADZWONILI

Czterdziestoletnia Laura i czterdziestojednoletni Dawid Grunwaldowie właśnie usiedli do obiadu z szesnastoletnią córką Martą. Ta wspaniała sobota jest najlepszym dniem w tygodniu dla męża i żony, bo dziś nie idą do pracy.

Na świeżo położonym obrusie stoi waza, z której paruje krem z borowików, specjalność pani domu, która może nią być w takim wymiarze, jaki odpowiada jej ideałom, raz w tygodniu, gdyż jedynie raz w tygodniu ma cały wolny dzień od pracy.

Przy stole obowiązuje rodzinę zakaz rozmów o sprawach zawodowych, bowiem pracująca rodzina charakteryzuje się tym, że pracę pozostawia poza stołem.

Przy stole, podczas sobotnich obiadów, można rozmawiać o swoich zainteresowaniach oraz o tym, jak minął ten jedyny w tygodniu dzień, na który oczekiwanie każe żyć intensywnie przez resztę tygodnia. W obliczu jego ważności rodzina powinna gruntownie

przemysleć, o czym warto i należy opowiadać podczas sobotniego obiadu, aby nie tracić na bezwartościowe paplanie ani minuty z tak ciężko wypracowanych chwil obiadowych. Dawid uważa, że dyscyplina rodziny w tym dniu jest sposobem na scementowanie jej w świecie zewnętrznym, który teraz rozpada się po kawałku dzień po dniu.

Wiesz, moja droga, Dawid odrywa wzrok od lokalnej gazety i kieruje spojrzenie na żonę, które krzyżuje się ze spojrzeniem córki, że nasz syn ma coraz piękniejszą rzeźbę - mówi o ciele siedemnastoletniego Cezarego, który nie wrócił jeszcze ze szkoły, do której poszedł, aby uzyskać zaliczenie z lekcji wuefu.

Czarek ćwiczy codziennie z ciężarkami i jest w tym bardzo wytrwały. Rzeźbę ma piękną, dzieło sztuki naprawdę, mówię ci. Laura przyznaje, że przysłuchuje się staraniom syna.

Mogę jedynie słyszeć, jak wiele wysiłku w to wkłada, bo z jego pokoju dobiegają odgłosy sapania, dyszenia i uderzania czymś o ziemię, najprawdopodobniej są to jego dłonie, gdy ćwiczy pompki z kłaśnięciem, śmieje się matka i nalewa wszystkim zupę do talerzy. Najgorsze właśnie, że musimy tego słuchać, przyznaje córka, bo sapanie krety nie daje mi spokojnie żyć w moim pokoju.

Nie przeklinaj przy stole, marszczy czoło matka.

I nie narzekaj na brata, dodaje ojciec. Dobrze, że coś robi, bo to lepsze niż nicnierobienie i ciągle narzekanie.

Nie narzekam, tylko stwierdzam fakt. Córka podnosi łyżkę z zupą do ust. Przelyka, zagryza bagietką i mówi z jeszcze pełnymi ustami: Nie znoszę, kiedy tak sapie, bo nie mogę się na niczym skoncentrować.

Ale przecież to, co robisz, nie wymaga specjalnie koncentracji, uśmiecha się ojciec. Wbrew pozorom twoja precyzja w robieniu makijażu jest wynikiem nie koncentracji, tylko pewnej ręki, która może być stabilna, bo nie pijesz i nie palisz, mówi matka i pochyła się nad stołem, sięgając po bagietkę, którą zaraz włoży do ust, aby poprawić smak kremu z borowików.

Dobrze, że nie pijesz i nie palisz, bo dzięki temu dbasz o czystość środowiska, którego jesteś częścią, zauważa ojciec i podnosi łyżkę, która wraz z zupą znika w ustach.

Nie piję i nie palę nie ze względu na środowisko, ale dlatego, że mi nie smakuje, żadna więc w tym moja zasługa, po prostu taki mam organizm, uśmiecha się córka. Chciałabym czasem zapalić, bo to podobno poprawia koncentrację, i wypić, bo podobno pozwala mi znieczulić, ale nie mogę, nie mogę, mówię wam, bo ani jedno, ani drugie nie sprawia mi przyjemności, a bez przyjemności nie mogę poczuć się lepiej. Jak wiecie, moje dobre samopoczucie stawiam na pierwszym miejscu.

Dobra z ciebie dziewczyna, kiwa głową matka.

Dobrych dokonuje wyborów, przyznaje ojciec. Nawet jeśli to zasługa dobrych genów, mnie to cieszy, córeczko. Twoje życie może być dzięki temu czystsze,

takich ludzi potrzeba światu, bo coraz bardziej jest zanieczyszczony. Słyszaliście o tym, że w Wiśle jest coraz mniej ryb, ojciec marszczy brwi, zmartwiony ichtiologiczną sytuacją w kraju. Boję się już jeść ryby, bo dowiadujemy się ciągle czegoś strasznego, że pangga jest sztucznie hodowana, łośoś karmiony świństwami, jedynie pstrągi zostają, ale i tu nie wierzyłbym w czystość wody, w której pływają.

Gotuję coraz więcej warzyw, smakuje ci przecież taka dieta, matka wzdycha i odłamuje kawałek bagietki, którą obraca w palcach, zanim wsuwa do ust.

Smakuje, owszem, ojciec miesza zupełną łyżką. Jednak chciałbym w ogóle jeść to, co lubię, a coraz rzadziej jest to możliwe. Myśleliśmy w pracy - przepraszam, że używam słowa praca, ale tylko po to, aby powiedzieć o czymś ważnym - że warto byłoby oprottestować hodowlę ryb, znęcanie się nad nimi, bo jak je później jeść? Zaraz będziemy mieli żywność genetycznie modyfikowaną i jeśli nikt nie zaprotestuje, zaleje rynek, nie wiem, co wtedy zrobię, teraz jeszcze da się wytrzymać, dobrze jest pójść na bazarek, kupić zdrowe warzywa od rolników, dobrze jest tak sobie pójść. Zamyśla się, unosi brwi ku górze, spogląda na lampę wiszącą nad stołem, szuka w myślach słowa, które najlepiej wyrazi jego złość - ale, do licha, niedługo nie będę wiedział, co kupuję, co ty kupujesz, Lauro! Co kupią i zjedzą Marta i Czarek, a nie chcę wydawać majątku na żywność ekologiczną, bo miałem nadzieję, że my mamy żywność ekologiczną, bez specjalne-

go nazywania jej ekologiczną, po prostu naszą polską, zdrową żywność i niech tak zostanie, niech zostanie tak zwyczajnie, bezpiecznie polska.

Ja lubię żywność z innych krajów, podniecona Marta wymienia, co lubi. Te pomidory z Holandii są dobre, naprawdę dobre są, i słodczyce dobre mają, jakie dobre te słodczyce, czekolady, marcepany, owoce kandyzowane, mówię wam, ale wy nie jecie, bo linię trzymacie, wielkie mi rzeczy, linia jakaś, ja nie muszę się na szczęście o to martwić, nie muszę wcale, bo i po co martwić się przed czterdziestką, o Boże, kiedy to będzie, do tego czasu świat zrobi się inny całkiem, zupełnie się wszystko pozmienia i pomidory będą z Afryki czy innej Brazylii, Matko Boska, co to będzie za czad, jak wszystkie strony świata na bazarze zobaczą, jak w Paryżu na rynku, pamiętacie, byliśmy, karczochy były, kto widział karczochy na naszym rynku, tylko te polskie warzywa i nic więcej, nic specjalnego, nic szczególnego, mówię wam, w ogóle mnie to nie kręci, ja tam mogę jeść modyfikowane, byleby inne były jakieś, żeby Europą zapachniało, a nie zimnym Wschodem, nie tą kapustą surową i kiszoną, i ogórkami z beczki, ba, nie z beczki już, tylko z plastikowych kubeków przywożonych z hurtowni, ciągle ogórki, te ogórki okropne, śmierdzące kiszoną, żadnych kaparów, oliwki tylko pakowane, nie świeże od Arabów, z Francji, z Włoch, jak w Berlinie na ryneczkach, matko jedyna, jak ja bym chciała tam mieszkać, chodzić na taki ryneczek, wachać, macać sobie, próbować, bo

przecież tam kuszą, dają spróbować, nie to co u nas, ręce precz od warzyw, próbować w domu tylko można, zupełnie nieeuropejsko, tylko tak wsiowo, że towar macany być nie może, bo to jakaś zbrodnia, aż się kupować nie chce.

No, ale świeże masz, co chcesz? Matka słuchać prawie nie może, co dziecko nieszczęśliwe wygaduje, bo smaki jej w głowie przewracały, może źle, że ją zabrali z ojcem do Paryża i Berlina, i do Rzymu, bo teraz nie docenia polskiego jedzenia, natury czystej, tęskni do czegoś, co pozorem jest tylko dobrobytu, a dobrobyt ma w domu, bo przecież obiad taki dobry je - mówi jej to wszystko głosem łagodnym, niech doceni smaki z lokalnego ryneczku, pracę ludzkich rąk, szczerłość rolników, uczciwość wobec żywności i niezmiętej sztucznie, nietkniętej nawozem par-  
szywym.

Ale przesadzasz, kochanie, trochę, ojciec odbiera rację matce i przyznaje ją córce. 2 warzywami jest, jak mówisz, ale kurczaki nie powinny pojawiać się na naszym stole, na szczęście ich nie ma, chwała ci za to, bo wiesz, czym je karmią, hormony jakieś pakują im. Wcześniej jednak kupowałaś i Czarek wyrósł na nich za bardzo chyba, za bardzo, oj, widziałas, jakie mu się rozstępy zrobiły na plecach poziome, na palec grube prawie, na udach jakie ma, ale to nie chłopaka wina, że nas oszukiwali, społeczeństwo oszukiwali, na nic zdały się nasze listy pisane do właścicieli ferm, tłumaczenia dietetyków na naszą prośbę, na nic to, mówię



ci, sprawa była nie do wygrania, przecież wiesz, tu Dawid znów docenia smak zupy, jaka dobra, wyśmienita jest.

Laura kiwa głową, podziwia Dawida za zaangażowanie, za zrobienie czegoś, mówi mu, i że dobrze zrobił, bo zrobił, co mógł, więcej nie mógł, ona to wie, drobna brunetka w fioletowej koszulce, z której dekoltu wystaje koronka, jego żona, wie o nim wszystko, jak się starał, jak pisał, namawiał, protestował po europejsku, mówi mu po raz wtóry. Ona to wie, to jest właśnie pożądane przez klasę średnią zachowanie, spokojne, wyważone wyrażanie sprzeciwu wobec niegodziwości hodowców, wobec dominacji pieniądza z pominięciem człowieka, który ten pieniądz produkuje, jeśli kupuje, a ona przestała kupować, bo nie chce dawać zarobić handlarzom kurczaków, handlarzom ludzkim życiem, które dla sprzedawczyków hormonalnych kurczaków nie ma wartości.

Ja nie mam rozstępów, a kurczaki też jadłam, no, co tak patrzycie, jadłam przecież, córka drapie się po ciele, mówi, że ciarki ją przechodzą, bo za bardzo przeżywają rodzice, a kogo obchodzi to wszystko, gdy na świecie tyle pyszności, takie królestwo żywniowe dostępne jest teraz, a im się nie podoba, bo myślą staroświecko, jakoś tak nienowocześnie, staro się wyrażają, po co się tak przejmować, żyć trzeba I znaleźć w tym przyjemność, a nie nieprzyjemnie się denerwować i przy okazji innych, którzy muszą tego słuchać i jakieś protesty czytać od ojca idealisty, no

po co, skoro to nic nie daje? pyta Marta. Dostosować się trzeba, wzrusza ramionami. Rodzice spoglądają na siebie, jedzą w milczeniu, milcząc o swoim ekologicznym myśleniu.

Gdy lekko siwiejący Dawid pochyla się nad dziewiątą łyżką zupy kremu z borowików, dzwoni telefon. Chrząka wyraziście, jakby chciał podkreślić, że jego rolę przy rodzinnym stole podważa natrętny dźwięk aparatu telefonicznego. Jego pogodna do tej chwili twarz staje się groźna, o czym świadczą dwie bruzdy pojawiające się na czole, tuż nad nosem. Dawid wie już, że teraz zupa nie będzie mu smakowała tak, jak przy ósmej łyżce, gdyż nie znosi przerywania mu obiadu.

Wstaje od stołu, wygładza flanelową koszulę w kratkę i przechodząc do przedpokoju, dokąd przywołuje go dzwoniący telefon, nie może przejść swobodnie między miejscem żony a stolikiem, na którym czeka deser.

Bądź uprzejma zabrać ten bajzel, mówi bez cienia emocji w głosie do Laury, matki jego córki, która bez słowa przygląda się zaistniałej sytuacji, w której matka usłużnie i natychmiast odsuwa sprzed ojca nóg i oczu stolik z pachnącym czekoladowym puddingiem.

Laura czuje, że musi tak postąpić, aby mąż zdążył odebrać telefon, który gdyby zamilkł, zanim mąż dojdzie, wprawiłby go w nastrój, w którym nie smakowałyby mu już dziewiąta łyżka zupy, ale i drugie danie, na które dziś Laura przygotowała zrazy wołowe i kluski ziemniaczane. Usłużność Laury jest więc podykto-

wana logicznym ciągiem wydarzeń, które ona potrafi przewidywać, nawet jeśli Dawid nie werbalizuje swojego zdenerwowania w sposób dosadny, w sposób raniący do żywego, potrafi za to powiedzieć o tym, czego oczekuje, w sposób przejmujący grozą nawet umarłego. Tak czuje Laura, więc usuwa przeszkody spod nóg Dawida, aby zapobiec eskalacji jego pomysłów na zapewnienie posłuszeństwa żony, z których bądź uprzejma zabrać ten bajzel jest grzecznym zwróceniem uwagi na nieuwagę żony, dla której utrzymanie porządku powinno być jednym z obowiązków wobec całej rodziny.

Uważność Laury powinna się przejawiać na polu poruszania się po domu i myślenia o domu, co też Laura stara się czynić w każdej chwili wolnej od pracy w miejscowym teatrze lalek, w którym jej głos ożywia wszystkie marionetki, które weźmie w ręce, podobnie jak ożywia fantazję dzieci oglądających przedstawienia.

Uważność Dawida zaangażowana jest niemal całkowicie w pracę menedżera firmy farmaceutycznej i nie wystarcza jej już na obdzielenie nią żony, córki i syna Cezarego, który jeszcze nie dotarł do domu na obiad, co skończy się dla niego przykrą konsekwencją - zamknięciem w pokoju i niedostaniem obiadu, skoro nie zależało mu, aby się na nim pojawić o wyznaczonej porze.

W czasie gdy syn będzie odbywał odsiadkę u siebie, Dawid zdąży już obejrzeć wiadomości w telewi-

zji, zastanowić spokojnie, dokąd zmierza otaczający go świat, i zaplanować kolejny dzień, w którym będzie bilansował zyski i straty swojej korporacji, a podczas krótkich chwil refleksji, jakie znajduje w tej wyczerpującej pracy, ukonstytuuje swoje zdecydowane poglądy na temat bezwzględności kapitalizmu, który pożera człowieka pracy przez dziesięć godzin na dobę.

Dawid będzie chciał zaprotestować przeciwko niewidzialnej ręce rynku, której ciężar odczuwa codziennie, wykonując użyteczne dla właściciela jego firmy zajęcia, ale nie wystarczy mu odwagi, o czym wie, gdyż już próbował wprowadzać w czyn efekty swoich przemyśleń. Będzie chciał wyjść na ulicę z tymi, którzy pracują równie długo co on, ale z obawy przed ich odmową zaniecha namawiania, bo zdaje sobie sprawę, że tak długi czas pracy stał się udziałem wszystkich, którzy muszą utrzymać rodzinę, ale żeby ją utrzymać przez najbliższych kilkanaście lat, muszą najpierw utrzymać swoją posadę, gdyż o inną trudno, a nawet jeśli się znajdzie, czas pracy nie skróci się do ośmiu godzin, bo takie rozwiązanie nie sprzyja osiągnięciu celów przez właściciela firmy, który musi mieć pewność, że wszystko działa bez zarzutu, co oznacza, że ludzie pracują tyle, ile trzeba, a nie tyle, ile by chcieli i ile im się wydaje, że powinni.

Na co dzień Dawid akceptuje takie myślenie szefa, bo gdyby był właścicielem, też liczyłby zyski, jednak jest pracownikiem, więc jego myślenie różni się do tego stopnia, że utożsamia się z biernym protestem,

którego przejawem są rozmowy z członkami rady nadzorczej, z którymi Dawid może rozmawiać, bowiem jest przedstawicielem związku zawodowego. Rozmowy polegają na zadawaniu pytań z tezą, z których: czy dobrze przemyśleliście swoją decyzję, jest pytaniem zadany najsubtelniej jak Dawid potrafi, a pytanie: dlaczego w następujących zmianach nie uwzględnia się czynnika ludzkiego i wypalenia zawodowego, które nastąpi, gdyż ludzie nie mogą tak długo pracować do końca czynnego życia, jest pytaniem zadany najbardziej brutalnie i wprost jak Dawid potrafi.

Dawida nie interesuje rewolucja, walnięcie pięścią w stół na znak niezgody, podnoszenie produktu krajowego brutto ani mnożenie dóbr doczesnych, które mają być świadectwem jego zaradności. Nie interesuje go także nowy samochód, gdyż woli dojeżdżać do pracy rowerem, bo tak jest zdrowo dla niego i ekologicznie dla świata. Gardzi robieniem zakupów w supermarketach, woli bowiem świeże produkty kupowane w sklepiku osiedlowym, nie szanuje milionerów, bo z reguły ich pierwszy milion wcale nie został przez nich uczciwie zarobiony, ale podarowany albo wygrany w kartach, czy też wpłynął na konto w wyniku upadku innego milionera, po którym schedę przejął ten, który teraz zwany jest milionerem, jego komornikiem, zarządcą upadłego milionera, zlicytowanego anioła sukcesu.

Tak myśli Dawid, który woli czytać gazetę niż słuchać radia rankiem, woli zadumać się nad komenta-

rzem w lokalnym piśmie niż czytać newsy w Internecie, który pracuje w korporacji farmaceutycznej, mimo że nie używa leków, wobec tego sytuacja, w jakiej się znajduje, oznacza dla niego egzystencjalną schizofrenię, na którą godzi się świadomie i za którą ponosi odpowiedzialność, bo taką wybrał drogę zarabiania pieniędzy.

Uświadamia to sobie codziennie wieczorem, gdy jedzie rowerem po żonę, która kończy próbę w teatrze. Ten codzienny rytuał odbierania żony sprawia, że Dawid nadaje swojemu życiu przewidywalność i ważność, które ukierunkowują jego energię na cel, jakim jest tworzenie domu. To właśnie samo tworzenie ma dla niego wielką wagę, choć Dawid zdaje sobie sprawę, że tworzy głównie jego żona, stwarzając postaci na deskach teatru oraz dom, na którego stwarzanie zarabia mąż, tym samym go współtworząc. Jego twórczość jest więc połowiczna, podobnie jak uwaga poświęcana żonie podczas wspólnych powrotów wieczorem z pracy.

Musi ci wystarczyć, że obok jest małomówny mąż, więc i ty nie mów do mnie, no nie mów do mnie, prosi ją po drodze do domu, bo myśli zebrać nie może, w głowie mu huczy od nadmiaru nowych zawodowych powinności, nie chcę już dźwięków, ciszy pragnę tylko, ale ona musi pytać, co w pracy. Nic, on za każdym razem odpowiada podobnie, ale coś przecież robiłeś, to samo, co zwykle, liczyłem i wydawałem dyspozycje, słupki liczyłem, jak zawsze, prze-

cież wiesz. Aha, mówi ona i pytać już nie chce, bo to nudne, więc mówi, że dobrze, że choć ona bawi się w pracy, ale lepiej by mogła, gdyby miała większe role, nie takie epizody, małe jakieś rólki, zbyt małe dla jej pamięci, która lubi dłuższe kwestie, bo ona mówić lubi, improwizować, jakże ją ta scena pociąga, ten zapach desek, jak jego wody po goleniu, ten błysk świateł i śmiech czy przestrasz dzieci, które prawdziwe są w swym przeżywaniu, więc dlaczego ty nie możesz tego odczuwać w pracy, pyta go, przecież tak ładnie pachniesz, więc mógłbyś się dobrze bawić, śmieje się. On pedałuje i nadal nic nie mówi, bo chciałby, aby była cicho, po prostu była, a on mógłby nadal podliczać, co trzeba jutro policzyć, aby nie podliczono jego zaniedbania w liczeniu. Tak trudne warunki pracy wymagają ciszy, gdy się ją kończy co wieczór, więc proszę, Lauro, ucisz się wreszcie, tylko bądź, pedałuuj, nie pytaj, nie dopytuj, milcz.

Laura wie, że Dawid woli sok wyciśnięty ze świeżej pomarańczy od soku z kartonu, kawę sypaną od rozpuszczalnej, herbatę z liści od taniej z saszetki, wełnę od plastiku, papier od ekranu, rozmowę od wrzasku digitalizacji, długie leżenie w łóżku rankiem od pospiesznego zrywania się do pracy i późnych z niej powrotów, by paść zmęczonym, zagłuszonym nadmiarem decybeli z oszalałego świata rozhisteryzowanych zjadaczy dóbr konsumpcyjnych, których boli szczybiot ptaków, szum wody w kranie, subtelne mlaskanie żony, przeżuwającej bułkę z masłem - dla niego to me-

lodia poranka szczęśliwego, z którego zaraz go wyrwą do liczenia słupków za sprzedane leki, zmieniających się każdego dnia, układających się w krzywe, parabole, w korporacyjne puzzle, we wzory wyskakujące na monitorze komputera.

Dawid chciałby zaprotestować, opowiedzieć głośno na wiecu, na zebraniu jakimś, w kręgu słuchających rządzących, aby przejrzeni na oczy, dostrzegli człowieka, który zmęczony nowoczesnością, komputeryzacją, manipulacją ekonomiczną, ustawiczną deweloperacją, nie może poczuć, czym jest stałość, nie może się w niej zagnieździć, zakorzenić, nie może mieć świadomości, że zasłużył na cieszenie się statecznością, że jego dzieło nie wymaga udoskonalania, tylko pielęgnowania, dopieszczania, dogładania, podlewania troską wiedzy, a nie beztróską zmian, które służą ogłupianiu myślących i schlebieniu gustom bezmyślnych, dla których digital i picturing są jedynym źródłem odbioru, bo na inny nie chcą mieć czasu, bo czas to pieniądz, który trzeba wydać tak samo, jak wydaje się czas - lekką ręką.

Dawid chciałby więc dziś odpocząć po pracy, najlepiej grając na gitarze ulubione melodie rockowe, ale teraz musi odebrać telefon, bo rozlega się kolejny przeszkadzający dźwięk, który bezlitośnie każe mu odejść od stołu z rodzinnym obiadem.

Gdy przystawia słuchawkę do ucha, nie wie jeszcze, że to odmieni jego życie na zawsze, że to poda w wątp-



liwość wszystko, co do tej pory osiągnął, co przeżył, co go stworzyło takim, jaki jest, co go ukształtowało, nie wie, że przestanie istnieć jako ojciec, jako pracownik, jako człowiek korporacji, jako człowiek w ogóle. Nie wie, że będzie musiał ocalić siebie.

Laura także odchodzi od stołu, bo nie potrafi jeść, gdy mąż musi załatwić ważną sprawę. Zawsze stara się być jego towarzyszką życia, rozumieć i wyczuć jego potrzeby, zanim je wypowie. Takiego odbioru rodziny nauczyła ją praca aktorki teatru lalek, bo dzieci wymagają jej zdaniem troski i zrozumienia, objaśniania świata, informacji użytecznej i pożytecznej, opowieści pozwalających na zbudowanie dojrzałego światopoglądu, który uchroni je przed popełnianiem głupstw w codziennym życiu, dla Laury jedynym życiem, jakie naprawdę się liczy w dążeniu do dobrze spełnionego obowiązku wobec społeczeństwa.

Ta szczupła kobieta, której delikatność rysów twarzy ujmuje do tego stopnia, że pierwszy rzut oka na nią potęguje wrażenie, iż obcuje się z cierpliwością, a nawet pewnym rodzajem niewnerwiającej układości, dostosowuje się, bo konformizm uważa za powinność każdej matki, która nie ma jeszcze dorosłych dzieci. Nieznosząca konfliktów matka nosi zawsze w receptorach troski innych domowników, ale nie dopytuje przesadnie, jeśli nie chcą opowiadać, daje czas do namysłu, do gotowości powiedzenia, o co chodzi i co się stało, co się wydarzyło tego dnia. Ojciec mówi wieczorem, gdy razem leżą już w łóżku, jeśli nie za-

chrapie zmęczony tempem pracy. Syn mówi rzadko, półsłówkami, półgębkiem, półokiem patrząc, półczółem spoglądając w ziemię, półdłonią grzebiąc w tylnej kieszeni spodni. Córka, blond piękność, ma szesnaście lat i ważne prawa, które Laurze nie są obce, bo sama kiedyś rzadko używała ust do mówienia rozsądnie, myśli matka. Rozumie więc córkę i schodzi jej z drogi, gdy Marta dostaje wybuchu wściekłości z powodu zgubienia jednej z rzeczy służącej do ozdobienia ciała, ozdobienia świata, który zdaje się Marcie zbyt poważny, zbyt jednolity, szary od trosk tych, dzięki którym ona może zdobić szarość wokół. Matka rozumie potrzebę niezależności córki od dorosłości, która kiedyś nastąpi, ale teraz jeszcze jest problemem dorosłych uwikłanych w nieuchronny proces starzenia się, dla Marty obcy, mający nigdy nie nastąpić, nigdy jej nie dotknąć, nie zranić, nie zarazić myśleniem o przyszłości swojej i swojego brata Czarka, którego nie ma teraz w domu i którego dotyczy właśnie fakt, że ojciec wstał od stołu, aby odebrać telefon i powiedzieć do słuchawki nerwowo - halo, słucham.

Ojca halo, słucham zostaje w głowie Marty i jej matki przez czas oczekiwania na koniec telefonicznej rozmowy.

Matka stoi w korytarzu, blisko ojca, słuchającego głosu wydobywającego się ze słuchawki, ogląda ściany wyłożone drewnianą boazerią, spogląda na lampę świecącą zbyt mocno w lustro, które odbija postać ojca kulącego się w świetle. Jego plecy pochylają

się do przodu nieznacznie, a jednak zauważalnie, na tyle zauważalnie, że ich pochyłość dostrzega Marta i postanawia wstać od stołu, wytrzeć usta po kremie z borowików, odłożyć serwetkę i podejść niepewnie do ojca, położyć mu rękę na ramieniu, obleczonym koszulą w kratkę, w którą nigdy nie odważyłby się ubrać do pracy, złapać matkę za rękę i uścisnąć jej zimno, mrowienie palców, drzenie ich koniuszków, nerwowość płynącej krwi. To niemożliwe, to całkiem niemożliwe, powiedziane przez ojca do słuchawki staje się dla matki i córki tylko jedną możliwością - kobieta i dziewczyna uświadamiają sobie, że rodzina jest w niebezpieczeństwie. To niemożliwe, żeby zrobił to mój syn, to jakiś absurd, słowa wypowiedziane przez ojca do wnętrza słuchawki sprawiają, że dłoń Marty zaciska się na ramieniu ojca, a dłoń Laury wbija się w dłoń córki całym zimnem, jakie z niej promieniuje. Zaraz tam przyjadę, mój Boże, które łamiącym się głosem mówi ojciec, odrywa matkę i córkę od jego ciała i nakazuje szybko ubrać się, by towarzyszyć mu w wyjściu z domu. Tam, gdzie jest teraz Czarek, oczy porządnej mieszczańskiej rodziny spuchną od płaczu.

**JUŻ WRÓCIŁA Z PRACY,  
GDY KOMPUTER PRZESTAŁ BYĆ POSŁUSZNY**

Jej stopy są małe, opuchnięte i każda z nich ma w tej chwili po dwa bąble. Zaraz Sabina Krop włoży obolałe nogi wraz z resztą zmęczonego i spoconego ciała do wanny wypełnionej wodą z dodatkiem soli. Zrobi to po przekroczeniu progu domu, później przedpokoju i łazienki, złapie za korek, aby zatkać otwór w wannie, zacznie nalewać wodę, zanim zdejmie buty, które uwierają ją od trzech godzin, zanim pójdzie włączyć komputer, żeby już na nią czekał, zanim ona wróci do niego rozgrzana kąpielą. Mogłam wziąć samochód, aby poruszać się po mieście szybciej, myśli, otwierając kluczem furtkę. Za duży był ten wysiłek, który sobie narzuciła, chcąc zapłacić dzień tak, aby zbyt szybko nie wrócić do domu. Gdy wchodzi na podwórko, stopy pieką jeszcze mocniej, jeszcze dotkliwiej szczypią buty, które przecież są lekkie, sprawdzone w wędrówkach od dyrektora do biznesmena, od polityka do prezesa, od budynku a do budynku b,

a później do C i z powrotem do redakcji. Tym razem zawiodły mnie chyba nogi, myśli. Krokomierz pokazuje, że zrobiła dziś dwadzieścia tysięcy kroków, każdy po pół metra, jak liczy, bo jej nogi nie są zbyt długie, więc kroki nie mogą być dłuższe niż pół metra. Stawia już ostatni, który jest krokiem w samotność pustego domu, z którą łączy się teraz przymusowe towarzystwo uwierających ją butów, więc zrzuca je w przedpokoju niedbale, a każdy obija się o ścianę prawą i lewą, pozostawiając po sobie echo męczącego dnia. Jest czwartek, godzina dwudziesta, więc Sabina Krop, trzydziestotrzyletnia reporterka lokalnej gazety, mogłaby tęsknić za weekendem. Jednak nic podobnego nie przychodzi jej do głowy, bowiem Sabina nie tęskni za żadnym wyobrażeniem przyszłości. Nie ma w niej także lęku związanego z wykonywanym zawodem, bowiem Sabina żyje tym, czego doświadcza w danej chwili, więc chce tylko odpocząć w wannie, uświadamia sobie zdejmując prędko dzinsy, majtki, czerwoną koszulkę i biustonosz. Robi to jeszcze w przedpokoju, który prowadzi wprost do łazienki. Jej długie ręce rozrzucają ubrania lekko, na wszystkie strony, a te upadają na brudną podłogę, zakrywając miesięczny kurz.

Dziś Sabina powinna się jednak bać, bo powiedziała wprost dyrektorowi banku, że wie o jego przelewach na konto jednego z miejskich radnych, który nie ma wymaganej zdolności kredytowej. Jutro plon wiedzy Sabiny ukaże się w gazecie, jutro dyrektor banku będzie groził jej ponownie, tak jak groził jej dziś, że ją

wykończy, że ten artykuł to koniec jej dziennikarskiej kariery. Jutro też radny zadzwoni do redaktora naczelnego, aby poinformować go, że żona radnego, która jest właścicielką dużej firmy komputerowej, nie wykupi już żadnej reklamy w tym szmatławym dzienniku, bo nie zamierza dawać zarobić tym, którzy publikują kłamstwa miażdżące karierę poważnych obywateli. Więc do widzenia, dziennikareczko pseudośledcza, naiwna idealistko, pa, pa, od jutra nie będziesz pracować, bo już ja się postaram, aby przytępić twoje pazury, wykrzychał radny Sabinie do telefonu komórkowego. Dzwonił w najgorszym momencie, gdy Sabina z trudem zносиła kolejne bąble pojawiające się na jej stopach w wyniku długiej pieszej wędrówki. Równie trudno było jej znieść krzyk radnego, więc rozłączyła się, zanim zdążył powiedzieć do końca, co o niej myśli. Jego groźby odsuwa od siebie na dłuższą chwilę, bo najpierw musi dojść do domu, wziąć kąpiel, aby zastanowić się, czy rzeczywiście coś jej grozi z jego »trony.

Naga nalewa wody do wanny, wsypując pół słoika soli, bo tyle, jak przypuszcza, będzie potrzebowało jej ciało, aby odeszło z niego napięcie po pracy, a weszło napięcie oczekiwania na wiadomości, które przeczyta w komputerze. Bez napięcia trudno jest żyć Sabinie, pewnie dlatego właśnie, jak podejrzewa, wybrała zawód dziennikarki śledczej. Pomaga jej w nim brak zaufania do innych, cecha, którą najbardziej w sobie lubi, bo, o czym jest przekonana, to wyostrza jej od-

biór rzeczywistości i zaostrza apetyt na bycie najlepszą tropicielką nadużyć w dwustutysięcznym mieście. Dlatego też nadużywa swojego ciała, pracując po godzinach i nie dając mu wytchnienia dłużej niż potrzeba na natychmiastową regenerację. Potrafi to zrobić, wie, jak zrzucić z siebie zmęczenie i groźby dyrektora oraz radnego, tak jak zrzuca się ubranie, o które później się nie dba.

Sabina uczyła się tego dziesięć lat temu, gdy zaczęła opiekować się swoimi rodzicami. Zostali sami w domu, w którym ona teraz mieszka, gdyż zapisali jej go w spadku. Kiedy jeszcze żyli, przyjeżdżała do nich codziennie po pracy, zmęczona po nowym zmęczeniu - prała, gotowała, sprzątała, dla nich to wszystko robiła, dla swojego wynajmowanego mieszkania nie miała już czasu, nie robiła w nim nic, tak jak teraz nie robi w ich domu, który należy do niej od ośmiu lat.

Dlaczego nie chcesz umyć kilku naczyń, mamo, codziennie zadawała jej to pytanie, gdy przekraczała próg czteropokojowego domu. Bo nie mam dla kogo, codziennie słyszała tę samą odpowiedź z ust matki. Dla ojca przecież masz, bo on nie może się ruszać, przypominała Sabina. Ledwo wchodziła do domu, zabierała się za sprzątanie. Jego to nie obchodzi, wzruszała ramionami matka. Jej siwe włosy przykrywały w ostatnich latach jedynie fragmenty głowy. Siedziała w salonie przed telewizorem i patrzyła tępo w ekran. Ojciec leżał w sypialni i czekał, aż córka zaopiekuje się jego odleżynami. Rany były czerwone na pośladkach,

ropiejące i śmierdzące w okolicach kości ogonowej, ponieważ ojciec był otyły i jego ciało nie wystarczała pielęgnacja raz dziennie. Strupy paprały się i sączyły, zanieczyszczając prześcieradło, tworzyły tęcze koła wsysające się w głąb materaca. Umierał wolno. Leżał tak rok, na wznak, ze wzrokiem utkwionym w pustą przestrzeń mało przytulnego pokoju.

Zrobiłabym to dla Marka, ale go nie ma, więc po co mam sprzątać? - matka odpowiadała tak na każde przypomnienie o porządkach. - Czekam na niego, a on wciąż nie przychodzi, czy mogłabyś go poszukać? Gdy otwieram okno i wołam go do domu, nie słucha. Może nie słyszy, bo jest za daleko? Gdzie jest twój brat, Sabino? Idź go poszukać.

Tego Sabina nie wie do dziś. Starszy od niej o pięć lat Marek wyszedł z domu, kiedy miał szesnaście lat i nie wrócił, wracał za to wciąż we wspomnieniach matki, która pod koniec życia nie potrafiła już żyć niczym innym. Dlatego dla świata umierała każdego dnia, a świat umarł dla niej, gdy uświadomiła sobie, że nigdy już nie zobaczy syna. Zabrał plecak, wepchnął do środka kilka ubrań, wziął trochę pieniędzy z porcelanowego dzbanka w drobne kwiatki stojącego w kuchennym kredensie, nie pożegnał się z rodzicami, siostrę pogładził po policzku, nie smuć się mała, powiedział, pociągnął za kitkę jasnych włosów i szybko wybiegł z domu. Mignęły jej jego ciemne, potargane włosy. Głęboko osadzone oczy nie zatrzymały na niej spojrzenia, jakby się spieszył i zapomniał zоста-



wić nadzieję na powrót. Dlaczego i dokąd tak wybiegł, tego Sabina nie wiedziała i dziś też nie wie, gdy myśli o nim i jego zbyt pochopnej decyzji. Ona nie miałaby tyle odwagi, uciec gdzieś, w niewiadomą przyszłość, w radykalne chciejstwo młodzieńczej buty, to zbyt ryzykowne. Lepiej więc już podmywać ojca, wyrzucać nieprane majtki matki, które nie nadawały się do prania, bo wciskała je za kanapę na złość, aby sprzątając, znalazła je Sabina, powiedziała do matki, jaka jesteś obrzydliwa, Matko Boska, śmierdzi tu brakiem higieny osobistej, starą kobietą, zapomnianą przez siebie i świat, w który nie chcesz wejść z odpowiedzialnością za swoje brudne gacie, a i on ciebie odrzuca, bo śmierdzisz, cuchniesz po prostu, nie dbasz o siebie, rzygać mi się chce. I majtki lądowały w koszu na śmieci, razem ze skórkami pomarańczy i obierkami z jabłek, które gnily w kącie sypialni ojca, gdzie matka siedziała, aby dręczyć siebie i jego, co wieczór. Jadła, drzemała, patrzyła na chorego starca z wyrzutem, wszystko przez ciebie, stary capie, a teraz umrzesz tu sam, bo ja nie mam siły ani ochoty nic zrobić, czekam na Marka, a jak w końcu wróci z dworu, powie ci, co o tobie myśli, coś mu zrobił, że na tak długo musiał zniknąć, matkę opuścić na tak wiele godzin, wszystko przez twoje metody wychowawcze, przez ten pasek, coś go nadużywał, coś go wyciągał z szafy, która skrzypiała, raniąc moje uszy, raniąc skórę dziecka, zanim jeszcze narzędzie twojej zbrodni na jego dojrzewającym ciele poraniło mu dłoń, ramiona, nogi

szczupłe, kręgosłup przetrąciło ufności. Nienawidzę cię, jak i on cię znienawidził, ty zżarty rakiem sadysto. I skórki z pomarańczy, bach, za szafkę, i obierki z jabłka, bach, za starca łóżko, niech gniją, jak on, od środka. Żebyś siłę miała, to bym ci tym paskiem dołożyła, matka bujała się w wiklinowym fotelu i dalej sączyła jad do ojca otwartych ust i uszu, pokazałabym Markowi, że teraz skóra paska, jego śliskość i sprzączka, zostawi krwiaki na tobie, na twoim mięsie nadgniętym, boś się rozchorował w najgorszym momencie, kiedy cię potrzeba w domu, bo ja już siły nie mam, a ty nic nie rozumiesz, tak jak nie rozumiałeś, że dojrzewające dziecko potrzebuje twojego zrozumienia, miłości twojej, a nie odcisku sprzączki na piersi, jakżeś bił, gdzie popadnie, kanalio.

Pląkała potem, wciąż jedząc pomarańczę, sok kapał na jej fartuch w drobne, niebieskie kwiaty, a ojciec, wciąż z otwartymi ustami, wydawał się słuchać jeszcze uważniej. Nic nie mówił. Nie mógł już nic powiedzieć. Czy dlatego, że tak suche powietrze było w pokoju i tak suche żale płynęły do jego uszu? Czasem tylko z oczu wypelzały mu wolno łzy, które matce jednak nic nie mówiły, bo nie nauczyła się czytać niczego nowego z ojca łez. Łzy te były dla niej tak stare, jak stary był dla niej mąż i jego choroba, teraz nazwana przez lekarza, ale jej znana od lat, nieuleczalna, odkąd odszedł z domu syn, bo tylko on mógł uleczyć ojca pychę, pewność, że wszystko co robi, jest słuszne, czego potwierdzeniem był cios skórzanym pasem.

Sabina podglądała, jak matka jadła pomarańcze przy ojca łóżku, słyszała jej lament, męczyła się matki męką, na którą nie było żadnej odpowiedzi. Czasem zabierała matkę z sypialni ojca. Robiła to podstępem, zapraszając ją do okna w salonie, bo Marek zaraz będzie szedł i pomacha nam przed domem, bo Marek obiecał, że niedługo przyjdzie, ale musimy stać przy oknie. No, chodź, mamo, brała ją pod rękę, a zapach matki potu, słodko-gorzki narkotyk starej kobiety, kazał Sabinie tęsknić za bratem, dowiedzieć się, gdzie jest, zostać dziennikarką śledczą, mieć sukces poszukiwawczy i z przerażenia uczynić siłę, której słabość Sabina wyrzuca codziennie wieczorem na internetowym portalu towarzyskim.

Woda jest bardzo ciepła, więc szczupłe ciało Sabiny ma to, czego chce, dlatego też teraz może chcieć czegoś więcej, a chce niemal natychmiast po zanurzeniu, bo Sabina nie potrafi zbyt długo cieszyć się zwykłym leżeniem w wannie. Traktuje je jako konieczność, aby ciało mogło wyjść do nowej podniety, być gotowe na czekający w salonie komputer i pojawiające się w nim treści, które rozleją się w jej głowie, tak jak woda rozlewa się wokół zmęczonego ciała, skoro ono tego potrzebuje. Jeszcze tylko porządne szorowanie twarą szczotką, aby zetrzeć brud pracy, wtarcie balsamu i nałożenie białego szlafroka, aby można było usiąść przed monitorem. Jego otoczenie wprawdzie jest odrażające, bo nie jest przyjemnie patrzeć na przedwczoro-

rajsze talerze z resztkami jedzenia na dębowym stole, i kurz, którego kłęбки zalegają w każdej szczelinie i na każdej półce salonu, otaczają książki, których są tu stopy, ale Sabina nie ma ochoty nic z tym zrobić. Mogłaby na przykład wziąć ścierkę i zgarnąć nią największy brud, wynieść do kuchni talerze, włączyć zmywarke i dopiero wtedy usiąść do odczytywania prywatnych e-maili. Traktuje jednak tę myśl, na chwilę pojawiającą się w jej głowie, jako stratę energii. Podobną stratą jest także poukładanie ubrań, które wciąż leżą w przedpokoju na nieodkurzonym dywanie. Brudne ubrania łączą się więc z brudem na podłodze, a w tym czasie Sabina łączy się z Internetem. Najważniejsze, że ciało jest czyste, dosusza jeszcze jasne, półdługie włosy ręcznikiem podczas wpatrywania się w ikonkę poczty na ekranie, nie ma na nim zapachu potu, którego tak się brzydzi, ciało jest zrelaksowane pod wpływem wody z kąpieli, ale też pod wpływem rozrywki, której za chwilę się odda. Odrzuca ręcznik na kanapę, na której trzy kupki gazet oblepia kurz i walają się pudełka po papierosach. Wszystko to zapełnia kanapę, tak że nie można na niej usiąść, ale nikt tu nie przyjdzie, bo goście są tylko w komputerowym salonie, w którym zaraz rozpocznie się czat. Salon w domu Sabiny należy wyłącznie do niej, tak jak jej brud i kurz, i niechęć do zmęczenia się znienawidzonym przed laty sprzętaniem dla matki i ojca. Teraz mokry ręcznik wchłania część kurzu i liter z gazety, na którą spadł, a Sabina opada w ramiona czarnego, skórzanego fotela

przed komputerem, wchłaniając litery wyskakujące na monitorze oraz ich znaczenie, które oznacza także wypełnienie najbliższych godzin plotkowaniem, podpytywaniem i przypominaniem, że kiedyś trzeba w końcu spotkać się w jednym z letnich ogródków w blasku słońca.

No to kiedy się zobaczymy, Sabino? Enter. Kiedyś z pewnością. Enter. Może jutro. Enter. Jutro nie mogę, jutro mam masę roboty. Enter. Jakiej roboty? Enter. Nie uwierzycie, chyba się wstydzę powiedzieć. Enter. Nikt nie podgląda, jakie masz rumieńce, wal śmiało. Enter. Chwila wahania, przypalenie papierosa, zaciągnięcie się dymem i odpowiedź: Piszę o uzależnionych od komputera nastolatkach. Enter. To o nas, wszyscy jesteśmy jeszcze nastolatkami, cha, cha. Enter. My jesteśmy dorosłymi, którzy nie mają czasu, a nastolatki właśnie tracą czas w sieci, aby później mieć go jeszcze mniej od nas. Ciekawi mnie, co z tego wyniknie. Enter. A co ma wyniknąć? Znajdą inne pokusy, inny sposób komunikowania się, za dziesięć lat będziemy porozumiewać się telepatycznie, przysyłać myśli siłą woli, bez sieci, siecią będzie wola, całkowicie zależna od głodu komunikacji międzyludzkiej. Enter. Ja zostanę przy komputerze, nie chcę nowego sposobu komunikacji. Enter. Mnie też z nim wygodnie, ale czasem można się spotkać. Enter. Nie za często jednak, bo mnie się nie chce po tylu godzinach pracy. Enter. Mnie też nie. Enter. I mnie też nie. Enter. Po co piszesz o tych nastolatkach? Enter. Bo mam dosyć afer.

Enter. To powód? Enter. Ale też, żeby się dowiedzieć dlaczego? Enter. Dlaczego co? Enter.

No właśnie! Sabina nagle uświadamia sobie to, co natychmiast pisze: Dlaczego i ja tak siedzę. Może nie dorosłam jeszcze. Enter. Do czego? Enter. Do zrozumienia. Enter. Bredzisz. Enter. Bredzi. Enter. Też tak myślę, bredź...

Czarny monitor zamyka ostatnie niedokończone słowo, bo przestaje działać, gdy Sabina już szykuje się do ataku, aby odpowiedzieć, że nie bredzi. Teraz, wraz z niedokończonym zdaniem, pojawia się także pustka i złość. Co się stało ze sprzętem? Dlaczego nie działa? Resetowanie, włączanie, wyłączenie, jeden papieros, drugi, Sabina kładzie nogi na stoliku, pod stolikiem, znów włączanie. Nie działa. Fuck, mówi głośno i wali pięścią w monitor. To jednak też nie pomaga, czemu Sabina specjalnie się nie dziwi, więc zniechęcona zapala znów papierosa i podchodzi do okna. Okno jest bez firanki, bez żaluzji i nie ma żadnych ozdób. Jego ascetyczny wygląd przypomina Sabinie o zmęczeniu. Spogląda na zegarek, jest trzecia nad ranem. Przeciąga się, nie wypuszczając z palców prawej dłoni papierosa, lewą masuje sobie kark, wciąż patrzy w okno. Poły jej białego szlafroka rozchylają się powoli, dzięki czemu Sabina może masować swobodniej również ramię. Za długo siedziała przed komputerem, to pewne, ale nie tylko u niej tak długo pali się światło, nie tylko ona oddawała się wirtualnej rozrywce. Naprzeciwko widzi jedno oświetlone okno, w którym właśnie przeciąga

się inny użytkownik sieci. Sabina wie, że jest użytkownikiem, bo dostrzega blask z monitora, który odbija się na tyle wyraźnie w oknie, że nie sposób pomylić go na przykład ze światłem z telewizora. To dom sąsiadów, którzy mają syna Cezarego i córkę Martę. Znow ten chłopak dziki, szaleniec, zarywa kolejną noc. Sabina gasi papierosa w popielniczce, która zawsze stoi na stoliku przy oknie. W całym domu ma mnóstwo porozstawianych popielniczek, gdyby przyszła jej ochota palić i gasić, gdzie popadnie. W oknie widzi właśnie profil Cezarego. Nie po raz pierwszy. Chłopak nie odrywa oczu od komputera, jakby zastygł w jednej pozycji. Sabina wpatruje się w niego, znow spogląda na zegarek, aby potwierdzić, że jest chwila po trzeciej nad ranem, więc czas spać, ale nie dla niego. Co ciekawego jest w tym nocnym siedzeniu przed monitorem? Po co tak mięśnie karku napinać, sflaczać kręgosłup, ramiona garbić ku wirtualnej igraszce, pośladki dusić na krześle? Która to już noc z rzędu? Sabina pamięta kilka ostatnich, podczas których odchodziła od komputera i wpatrując się w ciemność za swoimi oknami, dostrzegła blask w pokoju Cezarego, blask wrogi i zimny, więc jak można tak długo, tak namiętnie siedzieć przed beznamiętnym komputerem?

Ale przecież sama tak siedzę, myśli Sabina, jakby mi się pomylił dojący prąd sprzęt komputerowy z ciepłem ludzkiego ciała. Ale skąd wziąć takie ciało, abym mogła cieszyć się nim jak dziecko z naprzeciwka swoją komputerową zabawką. I ja się cieszę włączonym

komputerem, bo stał mi się bliższy niż wszyscy jego użytkownicy, z którymi się komunikuję bez zobowiązań. Mój obowiązek to jedynie siąść w fotelu przed monitorem czysta, wyszorowana z całodziennego brudu emocji, które próbuję stłumić, aby nie bolały, jak odleżyny ojca, jak monologi matki, których trzeba było słuchać i aby nie oszaleć, zepchnąć je w głąb niepamięci, Sabina zaciska powieki, wciąż stojąc przy oknie.

Więc bezpieczniej już polegać na pamięci komputerowej, w której jest wszystko poukładane w ikonki, w które wystarczy kliknąć i znika napięcie, nie męczy, jak to światło z domu naprzeciwko. Moje życie składa się z pracy zawodowej i czatowania wieczorami przy komputerze, przyznaje głośno Sabina. To ją odgradza od prawdziwego życia, uświadamia sobie, boi się go, tak jak bała się obracać ojca na bok, aby opatrzeć mu ropiejące rany, aby ich widok nie zranił jej poczucia estetyki. Tak samo też bała się zostawiać matkę w jego pokoju, by się uchronić przed brakiem nadziei, że kiedyś, gdy obróci ojca na bok, jej poczucie estetyki zostanie przywrócone. Nie ma nic gorszego niż nieestetycznie chore mięso, które leży i nie może nic zrobić, bo jest już tylko mięsem, do którego gada inne mięso, estetyką dorównujące zgniłym skórkom pomarańczy, nasiąkniętym wilgocią panującą w sypialni chorego, rzuconym za kanapę umierającego, bo tak gada to drugie mięso do pierwszego, bez życia, świadomości wypowiedanych słów, które obijają się o ściany, co



widziały rany na ciele brata od sprzączki paska. Dlatego musi się teraz chronić, Sabina łapie się za głowę, wplata palce we włosy. Tylko nie cierpieć z powodu dokonania wyboru w prawdziwym życiu, tylko nie cierpienie, powtarza. Aby go uniknąć, dobrze jest nie wybierać, nie szukać ku temu okazji, tylko szukać kogoś, kto naprawi jej komputer.

Gdy Sabina zamierza już odejść od okna, on nagle wstaje, przeciąga się, a wraz z tym przeciągnięciem gaśnie komputerowe światło, nie gaśnie jednak światło w jego pokoju, chłopak podchodzi do okna. Cezary jest wysoki, smukły i ziewa, teraz kierując głowę w stronę podwórza. Och, zaraz ją dostrzeże, jak patrzy w jego okno, zaraz zobaczy jej rozchylony szlafrok, Sabina szybko odsuwa się w głąb pokoju i nie odrywając oczu od chłopca, podchodzi do wyłącznika światła. W jej salonie robi się ciemno. Mogłaby teraz wreszcie położyć się do łóżka, jednak przygląda się jeszcze Cezaremu, stojąc w takiej odległości, aby jej nie dostrzegł.

Powinna chyba założyć żaluzje, aby mogła czuć się swobodnie, myśli. Dobrze, że jej nie dojrzał, gdy przyglądała mu się tak uważnie, tak kusilo ją to patrzyenie, że wzroku oderwać nie mogła. Cezary patrzy teraz przed siebie i nie podejrzewa, z jaką intensywnością Sabina wciąż wpatruje się w niego. Widzi jego rozwichrzone ciemne włosy, dostrzega, że Cezary z rękoma na karku patrzy przed siebie, ale wie, że ten chłopiec nie może dostrzec niczego za oknem, bo jest ciemno, nawet uliczne latarnie nie świecą. Teraz wi-

dzi go dokładniej, bo w jej pokoju jest mrok, a jego pokój nadal jest oświetlony, jedyny na tej ulicy, wygląda jak jasna dziura w ciemnej studni. Sabina zerka na boki, ulica jest pusta, tak jak jego spojrzenie przed siebie. Zgroza, tak długo siedzieć w nocy przed komputerem. Przerażasz mnie, chłopcze, Sabina cofa się gwałtownie od okna. Niedbale zrzuca szlafrok na podłogę i wsuwa nagie ciało pod kołdrę. Śpi dziś w salonie na drugiej kanapie, na której nie ma sterty rupieci. Z kanapy jest widok na okno, w którym wciąż odbija się blask z domu naprzeciwko, po chwili gaśnie, ale w głowie Sabiny nie gaśnie jeszcze myśl o Cezarym.

O jego wyprofilowanych ramionach, które podkreślał zielony podkoszulek, zmęczonym wzroku i Marku. Czy gdyby był w domu do końca okresu dojrzewania, uciekłyby jak ona, w wirtualny świat, który nie potrafi zranić, bo jest zbyt odległy, nie potrafi ukoić tęsknoty za drugim człowiekiem, ponieważ jego czułość, jeśli się pojawia, jest bezcielesna, Sabina wtula głowę w miękką poduszkę. Czy jej brat wyglądałby teraz jak ciemnowłosy Cezary, który głodnymi oczami patrzył przez okno, oddzielające ich dwa światy.

Czy Marek byłby teraz tak samo samotny jak ona? Sabina zasypia jeszcze bardziej naga, obnażyła bowiem prawdę o sobie. Panicznie boi się samotności. Dlatego jutro muszę koniecznie naprawić swój komputer, decyduje stanowczo.

**W PIĄTEK NAWALIŁ JAN,  
ALE POJAWIŁ SIĘ NADZIEJA**

Już jest za dwadzieścia ósma, więc muszę się spieszyć, jeśli chcę zdążyć na to cholerne kolegium, Sabina w pośpiechu zakłada wczorajsze dżinsy i świeży biały T-shirt. Jeszcze tylko upija łyk kawy, zaparzonej wieczorem, szuka w pośpiechu rozrzuconych wczoraj butów, łapie torbę, której nie dotykała od powrotu do domu, i wybiega na ganek, nie troszcząc się o zamknięcie drzwi, gdyż te zamykają się same, nie trzeba używać do tego klucza, co odciąża jej myślenie o zabezpieczeniu zamka. Sabina nie patrzy przed siebie, nie dostrzega słońca, które świeci rankiem prosto w jej włosy w nieładzie, których nie zdążyła spać. Sprawdza torbę, czy wszystko w niej jest, co być powinno, telefon, klucze do redakcji, portfel i chusteczki higieniczne, które są obowiązkowym wyposażeniem w razie, gdyby okazało się, że zabrudziła buty, które są jej wizytówką - uważa. Zamyka furtkę, naciskając jedynie klamkę, aby jednak to zrobić, odwraca się

przodem do swojego domu i obrzuca go pospiesznie spojrzeniem. Jest biały, bez wyrazu, z pustymi oknami jak oczodoły, które potęgują jego samotny wygląd i wzbudzają takie samo smutne uczucie w jego lokatorce.

Dzień dobry, pani Sabino, wesoły głos wyrywa ją ze smutku i każe obrócić się tyłem do swojego domu. Sąsiad Dawid Grunwald właśnie podchodzi do niej, odpychając jej smutek swoją życzliwą bliskością. Zaraz za nim stoi jego syn Cezary, i to na nim Sabina zawiesza wzrok, co sprawia, że smutek znów wraca, nie zważając na słowa Dawida, co słyhać, jaki piękny dzień, słoneczny taki.

Jakże ten chłopak wymięty, oczy ma podkrążone, półprzymknięte, nieobecne jakieś, policzki czerwone, plecy zgarbione, dla niego to nie jest piękny dzień, bo on go nie dostrzega, zmęczeniem płonie i spala się w nim na jej oczach. No, widzi pani, a mój syn jak nie z tej ziemi, zupełnie bez reakcji na piękno porannego świata, Dawid obejmuje ramieniem Cezarego, a ten niewzruszony podnosi głowę i odwraca ją w lewą stronę, nie patrząc na sąsiadkę, mruży oczy.

Pięknie jest, rzeczywiście, przyznaje Sabina, ale wciąż zerka na chłopaka. Co on taki zmęczony, jakby nie spał wcale? - pyta ojca, lecz na niego nie patrzy. Bo nie spał za wiele, teraz młodzież rozrywkom samotnym po nocach się oddaje, komputerem się nacieszyć nie może. No, ale dopóki problemów w szkole nie ma, niech gra, aż mu zbrzydnie, prawda, synu? - Ojciec

mocniej przyciska ramię syna do swojej piersi, tarmosi jego włosy dobrotliwie. Syn wzdraga się na ten gest, odsuwa, kiwa głową, usta wykrzywia, chodźmy już, tato, mówi, bo się spóźnię do szkoły. Ojciec kluczyki od samochodu miętosi w dłoni, no, lecieć musimy, unosi dłoń do góry, szczupły jest, dostrzega Sabina, marynarka w brązową kratkę dobrze na nim leży.

Miłego dnia wobec tego, Sabina wyjmuje swoje kluczyki od auta, ale mam jeszcze jedno pytanie, rzuca lekko podniesionym głosem, skoro Cezary tak długo siedzi przed komputerem, to pewnie dobrze się na nim zna, a mnie się właśnie popsuł w nocy komputer, więc może mógłbyś mi pomóc, co? Spogląda na chłopaka, a ten natychmiast wyłapuje jej spojrzenie. Oczy mu się na chwilę rozszerzają, oblizuje usta, no, jakby to powiedzieć, bąka, ja nawet teraz mógłbym, komputer to moja specjalność, chyba, mówi wciąż z niepewnością. Świetnie, synu, przystaje ojciec i klepie go po ramieniu, ale najpierw do szkoły pójdziesz, załatwisz, co trzeba, a po południu pomożesz pani Sabinie, ona też musi iść do pracy. Ja ci to oczywiście wynagrodzę, mówi ona. Przyda się na coś to twoje nocne ślęczenie, użyteczny będziesz bardziej, lepiej się poczujesz, no i zarobisz parę groszy, mówi ojciec. Ale, tato, Cezary oburza się na ojcowską nadgorliwość w wyliczaniu korzyści jego przyszłej pomocy, sam umiem zadbać o siebie, nie adwokatuj mi tutaj.

No to załatwione, Sabina żegna się, do siedemnastej, może być? Może, akceptuje Cezary i teraz on przyglą-

da się jej uważniej niż ona jemu przed chwilą, zanim poprosiła o pomoc. Patrzy na jej opinający piersi biały T-shirt i szyję, zatrzymuje wzrok na brodzie i pełnych ustach, peszy się i odwraca znów głowę, jak wtedy, gdy ojciec pozdrawiał bliżej nieznaną mu sąsiadkę. Zerka teraz z ukosa, hardo, i znów peszy się, odwracając twarz w stronę słońca.

Do widzenia, Sabina dostrzega jego speszenie, zbyt bliską obecność jego oczu na jej sylwetce, oddała się więc pospiesznie, aby nie zatrzymywać myśli na tym, co chłopak mógł zobaczyć teraz i nocą, gdy ich ciała podeszły do okien. W jego wzroku dostrzega niepokój, bo cóż to za osobliwe oczy, które zmęczone nocnym ślęceniem, ożywiają się na propozycję zwykłej pomocy i patrzą tak przeszywająco na obcą osobę. Wsiada do samochodu i odjeżdża.

Wrzucając już trzeci bieg, stara się odsunąć od siebie lęk, czy dobrze zrobiła, zapraszając do domu te oczy, zmęczone, a jednak pełne jakiegoś szaleństwa, niejednoznaczne, tego chłopca, który nie patrzył na nią jak chłopiec.

W dwudziestym ósmym liceum, do którego chodzi Cezary, za pięć minut zaczynają się lekcje. Cezary siedzi przed klasą na długiej drewnianej, wąskiej ławce i zastanawia się, co mogło się stać w komputerze sąsiadki. Jest podekscytowany tym, że odwiedzi ją po południu i pewny, że będą to wyjątkowe odwiedziny,

które pozwolą mu się sprawdzić nie tylko jako naprawiaczowi komputerów, ale też jako mężczyźnie.

Już myśli o tym, jak będzie dotykał jej piersi i wyjmował je spod bluzki i z koronkowego stanika w czasie, gdy na komputerze będzie spokojnie instalował się piracki Windows. Wie, co stanie się z resztą jej garderoby, która podczas jego wizyty okaże się zbędna, bo pod naporem jego nabrzmiałego z pożądania ciała, sąsiadka zrzuci ją równie szybko, jak szybko Cezary zdiagnozuje problem z potrzebnym im obojgu sprzętem. Później będą się umawiać na randki, do czego przecież komputer się przyda, zwłaszcza zainstalowane na nim znowu gadu-gadu. To teraz mu w głowie, więc gdy siada obok niego Michał, który rzuca plecak wypchany książkami i mówiąc cześć, wrywa go z tego myślenia, Cezary jest zły.

Kurwa, mówi, ale mi przerwałś piękny sen o pięknej dupie.

Michał wstaje nagle, nie chciałem przeszkadzać, dupa święta rzecz, ale kto to? Pyta i z powrotem zakłada plecak na jedno ramię. Nie może się jednak tego dowiedzieć, bo właśnie rozlega się dzwonek na lekcję. Wchodzą do klasy w milczeniu, aby nikt nie usłyszał ich tajemnicy. Jedyne podczas przepychania się do drzwi, Cezary szturcha ramieniem Jana Maja, i co, palancie, twoja decyzja jest ostateczna - pyta. Ciemne, zaspane jeszcze oczy Jana na chwilę ożywiają się.

Nie gram już z wami, ostatecznie, mówi Jan. Nie bawią mnie zabijanki.

Zostawcie go, wtrąca się Patrycja. Janek teraz spędza wieczory ze mną. Patrycja bierze Jana za rękę. Tracił czas, teraz ma mnie.

Dupek, pantoflarz, Michał szturcha Jana z drugiej strony. Będziesz tego jeszcze żałował. Siedź sobie ze swoją dziewczyną i rób z siebie maślaka.

Jan jednak siada z innym kolegą, a Patrycja z koleżanką, bo tego życzą sobie nauczyciele i rodzice chłopaka. Szkolne pary nie powinny siedzieć razem, aby nie narażać umysłów na utratę koncentracji, co mogłoby przeszkodzić w zdaniu do następnej klasy nawet najlepszemu uczniowi, a za jednego z takich uchodzi właśnie Jan. Trzeba dmuchać na zimne, uznają wychowawczynie i rodzice Jana, dlatego para siedzi osobno, jak wtedy, zanim stała się parą.

Cezary siada w ławce z Michałem. Zaczyna się matematyka, której obaj nie lubią ze względu na nauczycielkę, panią Olę Dryps, ponieważ jest ona uosobieniem wszystkich znienawidzonych niby-cnót, jak nazywa je Cezary, a które w jego pojęciu świata są bez wartości. Gdy pani Dryps gada coś do siebie o pasji matematycznej, często wtrącając angielskie pojęcia matematyczne, Cezary udaje, że wymiotuje. Robi to tak, aby nie widziała go nauczycielka, ale by dostrzegli ten gest uczniowie z tylnych ławek. Dla niego matematyka to bełkot, więc Olga Dryps ma ksywkę Pani Bełkot.



Teraz czterdziestoletnia Pani Bełkot, ubrana dziś w szarą bluzkę zapiętą pod szyją, tak szarą jak jej obrzydliwe siwe odrosty, myśli Cezary, i ciemne dżin-sy, kończy już zapisywać zadanie na tablicy, od której nie odrywa wzroku. Mówi do siebie, opowiadając o funkcji kwadratowej i rysując wzory. Wygląda tak, jakby była przekonana, że jej matematyczna pasja zarazi tych uczniów, którzy też mają pasję, i kto ma usłyszeć, ten usłyszy jej tłumaczenia. Ona mówi do siebie, i Cezary z Michałem, którzy siedzą w trzeciej ławce, też mówią do siebie. Byłoby lepiej, gdyby teraz słuchali, o czym mówi Pani Bełkot, bo nie będą wiedzieli, jak rozwiązać to proste zadanie. Mają jednak coś ciekawszego do roboty niż ruszanie głowami podczas nielubianej lekcji. Komentują rozmiar biustu Patrycji z ławki obok, przyglądając mu się i mówiąc o nim na tyle głośno, że słyszy to Jan siedzący za nimi. Jan jest chłopakiem Patrycji, dlatego rozmowy o jej biuście nie bawią go, co sprawia, że on też nie słucha tego, co mówi Pani Bełkot.

Zdaniem Michała, Patrycja ma fajne cycki, które wymagają troskliwej opieki prawdziwego mężczyzny, za którego Michał się teraz uważa, bo przeży muskuły i rzuca w Patrycję zmiętą kartką, aby odwróciła głowę w jego stronę i je zauważyła.

Patrycja odrzuca kartkę, ale nie patrzy w stronę chłopców, patrzy na tablicę. Zdanie Cezarego jest podobne tylko w połowie. Patrycja ma rzeczywiście fajne cycki, ale Czarek by ich nie dotknął ze względu

na to, że dotyka ich miękkimi i spoconymi łapkami Jan, który musi mieć takie łapki, bo jest mięczakiem, dlatego że nie chce już razem z chłopakami grać w gry komputerowe - uważa Cezary.

Jan chciałby puścić mimo uszu to, co usłyszał o swoich dłoniach, które jeszcze nie dotykały biustu Patrycji, ale nie potrafi się opanować w tym momencie, więc uznaje, że najlepsze, co może teraz zrobić, to mocno ukłuć Cezarego ołówkiem w plecy.

Auuu, palancie, zaskoczony Cezary jęczy tak, że dociera to do tablicy, w którą wciąż ma wbity wzrok Pani Bełkot, i sprawia, że nauczycielka odwraca się gwałtownie w stronę klasy i jej skoncentrowane wcześniej na zadaniu spojrzenie wbija się teraz w sprawcę salwy śmiechu wszystkich uczniów.

Cezary, wstań! - krzyczy i rzuca na biurko kredę, która łamie się w pół, a druga połowa spada na podłogę. Podnieś kredę z the floor and come to me. Spojrzenie Pani Bełkot nie uznaje w tym momencie sprzeciwu, co Cezary wyczuwa natychmiast, więc podchodzi do nauczycielki szybkim krokiem i mówi, że Jan ukłuł go mocno ołówkiem.

Głupi jesteś czy co? Pani Bełkot pyta w taki sposób, jakby chciała usłyszeć, że jest głupi, co Cezary również natychmiast wyczuwa i mówi, tak, głupi jestem i przepraszam, że taki jestem. Za to przepraszać nie musisz, bo to nie twoja wina, nieszczęsny głupcze, ale jak nie rozwiążesz teraz tego zadania, wstawię ci pałę bez mrugnięcia okiem. Pani Bełkot zdenerwowana

rozpiną bluzkę pod szyją, tak że odkrywa w ten sposób małe znamię na obojczyku. Grzywka opada jej na oczy, odsuwa ją więc szybkim gestem prawej dłoni.

Tego, że nauczycielka spełni swoje groźby, Cezary jest pewny, bo Pani Bełkot rzadko mruga, za to często wstawia pały, jakby wcale się nie bała, że pewnego dnia jeden z uczniów wsadzi jej kubeł na głowę. Niedobrze, że się tego nie boi, myśli Cezary i przygląda się jej znamieniu, bo nie lubi patrzeć w oczy i mówi: nie jestem w stanie rozwiązać tego zadania, bo nie uważałem na lekcji. To się do tego nie przyznawaj, idioto, bo cenię inteligencję, a nie szczerość, zaskocz mnie czymś, podejdź do tablicy i spróbuj. Wręcza mu drugą połowę kredy, którą Cezary przed chwilą podniósł z ziemi. Cezary podchodzi, ale patrzy jedynie na tablicę i nie podnosi nawet ręki do góry, aby zacząć rozpisywać wzór. Stoi tak dobrą chwilę, w końcu Pani Bełkot każe wstać Janowi, aby pomógł koledze.

No już, rusz się, udowodnij Czarkowi, że nie jesteś palantem, jak cię nazwał, mówi szybko nauczycielka.

Ale dlaczego ja? Przecież ja nic nie zrobiłem!

Jan wstaje wprawdzie, jednak wzbrania się przed rozwiązywaniem zadania, gdyż jego wiedza nie różni się w tej chwili od wiedzy Cezarego. Uważa poza tym, że nie jest winien całej sytuacji i dlatego nie powinien ponosić konsekwencji, nawet jeśli nie słuchał na lekcji, podobnie jak Cezary. Różnica między nimi polega na tym, że Cezary potrafi lepiej się sprzedać, nie pyskuje nauczycielce i nie idzie w zaparte, po prostu

przyznaje, że nie uważał, kiedy Pani Bełkot mówiła do tablicy.

Nie obchodzi mnie, czy coś zrobiłeś, czy nie, masz rozwiązać zadanie, decyduje stanowczo Pani Bełkot i wciska mu do ręki kredeę.

Ale dlaczego ja? Niech on rozwiąże, on nie uważał, wyzywał mnie!

Jan podnosi głos po raz kolejny, zadając to samo pytanie, które po dotarciu do nauczycielki sprawia, że jej gęste, ciemne brwi otaczające szarozielone oczy marszczą się natychmiast.

Milcz i działaj. Pani Bełkot siada na krześle i zaczyna stukać nerwowo palcami w biurko. Każdy z was może rozwiązać to zadanie, pod warunkiem, że uważał na lekcji. Uważałeś? To rozwiązesz, obronisz się wiedzą, zawsze.

Jan dobrze wie, że nie uważał, i dlatego nie ma już argumentu na swoją obronę. Zerka na Cezarego, który uśmiecha się półgębkiem i obraca kredeę w palcach, spogląda na Patrycję, która siedzi prosto z wypiętym do przodu biustem i patrzy teraz na niego groźnym wzrokiem, prawie tak groźnym jak wzrok Pani Bełkot, której biust jedynie zarysowuje się pod szarą bluzką.

Fajne ma te cycki Patrycja, co? Cezary szepce do ucha Janowi, gdy Pani Bełkot zniechęcona w końcu odwraca wzrok od uczniów, aby otworzyć dziennik i wpisać im pały. Wszyscy je macali, wszyscy frajerzy ze spoconymi łapkami, obrzydliwe, nie?

Jan zaciska pięści i zgrzyta zębami, powstrzymuje się jednak przed użyciem siły, chociaż najchętniej rozwaliliby teraz tę głowę, która zbliżyła się do jego ucha.

Coś ci się nie podoba? Pani Bełkot właśnie wzięła długopis do ręki i zwracając się do Jana, oświadczyła, że jemu pierwszemu wpisuje pałę za nieuwagę i arogancję. A ty już nie mów teraz nic, Cezary, bo też dostajesz pałę za gadanie na lekcji i NIEUWAGĘ.

To ostatnie słowo Pani Bełkot wypowiada z mocniejszym akcentem i dobrze, że mocniej je akcentuje, bo to pozwala jej nie usłyszeć, że Jan mówi do Cezarego - już jesteś trup.

Żaden z chłopców nie protestuje przeciwko ocenie, obaj planują jednak po lekcji rozliczyć się za doznane krzywdy. Gdy wracają do ławek, Cezary pokazuje Janowi środkowy palec i zanim usiądzie prosto, odwraca się jeszcze do niego i mówi mu, że to jedynie wstęp do prawdziwej zemsty, jaka go czeka za to, że wyłamał się ze świętej trójcy wojowników.

To ty jesteś trup, frajerze, oświadcza Cezary, ukisimy twój łeb jak ogóra.

I już Cezary siedzi prosto i udaje, że słucha uważnie objaśnień nowego wzoru, który tłumaczy tablicy Pani Bełkot, bo teraz naprawdę już nikt w klasie nie słucha tego, co mówi. Uczniowie zastanawiają się, co chłopcy zrobią po tej lekcji ze złością na siebie.

Dzwonek na przerwę natychmiast każe Janowi wstać z krzesła i wyjść z klasy. Zdażył już przez ostat-

nie dziesięć minut lekcji wyskubać sobie ze złości do krwi skórę z kciuka i wymiętolić ołówek z gumką tak, że gumka zniknęła pod naciskiem jego paznokci i został tylko metalowy kikut. W ten sposób wyżył się na tyle, że zaniechał otwartej kłótni z Cezarym, postanowił jak najszybciej wyjść na zewnątrz i za wszelką cenę pooddychać głęboko tak, jak radził mu ojciec w sytuacjach wymagających opanowania. Już właśnie idzie na boisko, mijając korytarz szkolny i holi, kieruje się ku drzwiom prowadzącym na szkolny plac otoczony drzewami i metalowym ogrodzeniem, już przyspiesza kroku, stawiając stopy byle jak, jak chaotycznie myśli w tej chwili, że musi koniecznie unikać wzroku Cezarego, aby nie stało się najgorsze, aby nie rzucił się na niego przy wszystkich, którzy tylko czekają na przedstawienie dwóch narwanych kogutów. A figa, nie będzie przedstawienia, decyduje stanowczo Jan.

Nie uciekaj, dobiega do niego Patrycja. Jasne, długie włosy ma rozwichrzone, źrenice niebieskich oczu rozszerzone, usta jej drżą, co Jan natychmiast zauważa, ale nie chce jej pocieszać w tej chwili, choć wie, że tak należałoby postąpić wobec swojej dziewczyny, jednak sam nie czuje się wystarczająco mocny w tej sytuacji. Najchętniej uciekłby teraz ze szkoły, jak najdalej od nauczycieli, tych, którzy na niego patrzyli na lekcji, i dziewczyny, która jest jego dziewczyną, ale teraz wydaje mu się całkiem obca, bo Jan myśli tylko o tym, co czuje do Cezarego. A czuje złość i rosnącą wciąż agresję, chęć rozładowania napięcia, najchętniej waląc na

oślep prosto w ryj Cezarego. Mówi to Patrycji, a wtedy ona łapie go za ramię obiema rękoma, nie rób tego, przecież to nie twoja wina, nie zwracaj na nich uwagi, nie przejmuj się nimi tak bardzo, mówi mu, chodźmy na spacer. Jan jednak nie ma ochoty nigdzie iść. Siada na ławce pod topolą, która otoczona jest ławkami, aby uczniowie mogli tu rozmawiać, śmiać się i dyskutować. Jan wciąż stara się opanować drżące dłonie. Patrycja siada obok niego i łapie go za rękę. Tylko się nie daj sprowokować, oni na to przecież czekają, nie po to z nimi skończyłeś, aby znów zaczynać, nie wchodź w to, widzisz, że potrafią odwracać sytuację. Nic nie zrobiłeś, a to ty stałeś się winny.

Jan dobrze wie, że potrafią odwracać sytuację. Czarek zrobił tak nie pierwszy raz. Zdarzyło mu się to miesiąc temu, gdy razem z Michałem poszli do domu Patrycji. To wtedy miał poznać jej rodziców i pokazać się z jak najlepszej strony. Dostał jednak zakaz przekraczania progu ich domu. To wzmaga teraz jego złość, bo przecież wtedy nic złego nie zrobił, stał obok Patrycji, a ona cieszyła się, że może przedstawić go wreszcie rodzicom.

Najpierw cała czwórka poszła do Michała. Jego matki nie było, więc słuchali głośno muzyki z komputera, do którego podłączone były głośniki. Wszyscy grali w karty, bo nie znaleźli pomysłu na lepszą rozrywkę. U Michała nie było czego oglądać, żadnych albumów, ciekawych książek, nie było też tematu, który interesowałby wszystkich. Patrycja znudziła się szybko opo-

wieściami o tym, że otaczający świat wymaga zmian, do których szykuje się Czarek z Michałem, i do których obaj próbowali namówić Jana. Ona nie chciała niczego zmieniać, bo po co zmieniać to, co czuje, a czuje przecież, że się zakochała, co czuje się rzadko, i jeszcze z taką pewnością, więc po co mieszać w święcie, uznała głośno. Głośno też powiedziała, że jej jest dobrze, ale najchętniej poszłaby do swojego domu, bo obiecała rodzicom, że dziś poznają Jana. Jeśli Michał z Cezarym też chcą do niej iść, to mogą na chwilę, pokaże im swój pokój i kolekcję płyt, których kupuje trzy miesięcznie za całe kieszonkowe. No dobrze, przystali, na chwilę wpadniemy, zobaczyć, z kim zadaje się Jan i co to za kolekcja. Cezary miał jeszcze wyskoczyć na chwilę do sklepu, kupię coś słodkiego i zaraz wrócę, zapewniał. Tylko wróc zaraz, ponagłała Patrycja, bo już się robi późno. Lepiej poczekamy na ciebie pod klatką, uznała i wszyscy na to przystali. I czekali, aż wrócił. I wszyscy byli zadowoleni, bo przyniósł czekoladki i chipsy. I nikt go o nic nie podejrzewał, choć wszyscy widzieli, że ma wypchaną lekko kurtkę, że coś tam trzyma pod pazuchą, ale może trzymał jeszcze jakieś słodycze i chipsy, myślała Patrycja i tak myślał Jan, więc nikt o nic nie pytał, nie chciał wiedzieć, dlaczego takie wybrzuszenie ma pod tą kurtką, taki uśmiechnięty jest, pewnie dlatego, że tak wesoło się nagle zrobiło, przyjacielsko tak, atmosfera się rozluźniła, śmiali się z siebie, szli tak beztrudnie zobaczyć kolekcję płyt i jej dom, i rodziców. Ulice mijali, nie patrząc na mijanych ludzi, samocho-



dy jechały i stawały, gdy dochodzili do przejścia dla pieszych, zielone światło za każdym razem się pojawiało, przechodzić mogli bez stania na chodniku, bez straty czasu, szybko do jej domu doszli. I dzwonek do drzwi, i ojciec, krępy blondyn łysiejący, w drzwiach się pojawił, w białej koszuli, rozpiętej do połowy, bez krawata, co oznaczało, że właśnie z pracy wrócił, przebiera się, zaprasza do środka, szerzej drzwi otwiera, a w tym środku, do którego zaprasza, mama stoi przy schodach prowadzących na górę, uśmiecha się, oczy niebieskie na kurzych łapkach się rozciągają w uśmiechu, witają, dzień dobry chłopcy, tak ładnie układają się jej usta umalowane na czerwono, myśli Jan, to wy jesteście kolegami z klasy Patrycji, aha, miło was widzieć, rękę wyciąga, każdy z chłopców tak miło przywitanych w dobrym domu, drobnomieszczańskim, otoczonym ogrodem, jak dom Jana. Najpierw ręka Jana, Michała, kolej na Czarka rękę, i wtedy się wydało, kurtka Cezarego się odchyliła, uchylając rąbek tajemnicy, o którą mama z oczami na kurzych łapkach zaraz musiała się dopytać, a co ty tam masz, chłopcze, co żeście tu przynieśli, pokaż no mi. Alkohol?! Wódka! No, zobacz, zobacz, Edwardzie, to niedopuszczalne, to nie do pomyślenia! Pierwszy raz w naszym domu i taki tupet, i łapki kurze jej się ścisnęły z oburzenia, i oczy w głąb twarzy się schowały, już domu nie chciała chłopcom pokazywać, tylko: precz z moich oczu, z domu wynocha i abym tu was więcej nie widziała, gówniarze, pić im się zachciało, a ty do pokoju, marsz!:

córkę za rękę zaciągać zaczęła na górę, to takiego masz chłopaka, krzyczała, to z takimi chcesz się zadawać? Ale, mamó, to nie on, mój nie ma alkoholu, jest czysty, możesz sprawdzić, Patrycja protestowała. Ale matka już po schodach wchodzi, tylko spódnica w kratkę jej delikatnie faluje, córkę przed sobą popycha, jak jeden ma flaszkę, to i wszyscy pić chcieli, wiedzieć musieli, nie oszukuj mnie tu, nie kłam w żywe oczy, mówi jej, choć córka w oczy jej nie patrzy, tylko w smutne oczy Jana przez swoje ramię, gdy idzie na górę do pokoju, niewinne oczy przecież, ale winę zbiorową przyjmujące, no bo co ma powiedzieć, co ma zrobić, wyjść musi, bo tatuś już się tym zajął, bez słowa pokazał ręką drzwi i zamknął za nimi, trzask, bach, na razie, do nigdy, moja córka ma lepsze towarzystwo. I ogród, i furka, i pies szczekający, bo tata do psa krzyknął, daj głos, spieprzać z mojego domu. Jan nawet nie poznał imienia tego psa, a Michał z Cezarym wybuchnęli śmiechem. Ale masz przyszyłych teściów, zobacz, jacy historycy, jak na dłoni masz teraz, jebanych rodziców, teściową i teścia we własnej osobie, Cezary otworzył butelkę. Łyknij sobie, przejdzie ci złość na dziewczynę, one wszystkie są takie same. Chodźmy do mnie, zagramy, albo lepiej zagramy przez neta, bo stara już pewnie wróciła, powiedział Michał, każdy na swoim stanowisku, jak za dobrych czasów, wieczorem, do nocy, do końca, rozwalimy parę tłuików, i teściów niedoszłych Janka będziemy sobie wyobrazać, chłe, chłe.

Nie, Jan na to, jestem wściekły, wszystko popsuliście, nie chce mi się grać, nara, dajcie mi spokój.

Jak sobie to przypomnę, to wszystko mi się gotuje w środku, mówi Jan i znów zaciska pięści pod topolą na szkolnym boisku.

Dobrze, że ci się gotuje, frajerze, jak ci się ugotuje, to będziesz bezużyteczny, wątrobą na miękko, serducho i nery, nawet palcem cię nie będę musiał dotknąć, hantle oddawaj, które ci pożyczyłem. To Cezary stoi przy nim, a za nim Michał.

No, oddawaj, jak nie chcesz grać, Michał powtarza po Cezarym, wyłamałeś się, to płacisz i płacić będziesz.

Jutro ci oddam, Jan wstaje z ławki i chce odejść. Patrycja też się podnosi, bo za nim jest pójść gotowa od razu. Ale siada zaraz po komendzie <sup>siadaj</sup>, co nakazuje Cezary i usadza Jana mocnym pchnięciem ręki. Jan siada, bo trudno nie usiąść pod takim naporem, poza tym nie chce konfliktu na oczach całej szkoły, teraz już nie czuje złości, tylko strach, że wszyscy zobaczą, że nie potrafi się opanować, że Patrycja się wystraszy jak on, że ma takich kolegów. Albo siądę obok ciebie, Cezary przysiada się, wpychając tyłek między Jana a Patrycję, przepraszam, milejdi, odsuwa dziewczynę, pani pozwoli, że ją odsunę, <sup>mam nadzieję</sup>, podnosi głos, no, już lepiej, mówi blisko jej twarzy, gdy Patrycja przesiada się kilka centymetrów dalej, ustępując mu miejsca. Milczy. Nie jest łatwo milczeć

w takiej sytuacji, zwłaszcza gdy jest się wściekłym, ale Patrycja wie, że jeśli się odezwie, może być znacznie gorzej. Takim chłopakom nie można nic wytłumaczyć, a już z pewnością nie to, żeby zostawili kogoś w spokoju, gdy chcą się zabawić, jest tego pewna. Liczy na to, że im się znudzi, bo, czego też jest pewna, jej mądry Jan nie da się sprowokować.

Siadłem sobie, żeby ci wytłumaczyć, że błąd robisz opuszczając kumpli, Cezary obejmuje Jana ramieniem. Nie chcemy cię straszyć ani cię wrabiać, chodzi tylko o to, żebyś był lojalny, żebyś pamiętał, co nas łączyło, i nie sprzedawał swoich ideałów dla jakiejś, za przeproszeniem, pieprzonej milejdi.

Ale jak sprzedasz, to popamiętasz, cieniasie, rzuca Michał i przysiąda się z drugiej strony Jana. Poprawia dzinsową kurtkę, buty chusteczką jednorazową przeciera, ma czas, bo pomiędzy chłopcami panuje cisza i trzeba coś podczas niej robić, aby nie zdominowała tej bliskiej, w odczuciu Michała i Cezarego, relacji. W końcu siedzą obok Jana i mają zamiar go przekonać, że zachowuje się niegrzecznie wobec swoich przyjaciół, a tak z przyjaciółmi się nie postępuje. O przyjaciół trzeba dbać, bo dziewczyny się zmieniają, a przyjaciele zostają, mówi rezolutnie Cezary i czeka, co powie Jan. On milczy tymczasem, bo tak sobie obiecał, co także uważa za rezolutne zachowanie, ale nie zamierza powiedzieć tego głośno, bo wie już, że jeśli się odezwie, ta rozmowa nie będzie miała końca. Głowę schował w dłonie, nogi rozstawił na znak, że spokój za-

chowuje, ani drgnie, tylko patrzy w płytki chodnikowe, jakby czekał na to, że Cezaremu i Michałowi znudzi się wyczekiwanie na jego odpowiedź. I właśnie im się nudzi, bo ileż można buty trzeć chusteczką jednorazową, wstaje najpierw Michał. I ile można trzymać frajera za ramię w geście pojednania, wstaje zniecierpliwiony Cezary. I mówi głośno: Nie będzie pojednania? Patrz sobie w te płytki chodnikowe i w cyciki swojej laski, jeśli chcesz, ale długo tak nie popatrzysz, bo zbrzydnie ci w końcu, jak i nam zbrzydło gadanie z tobą, głąbie. Cezary podnosi mały kamień i ścisną go w dłoni, szerokiej, masywnej, twardej od dźwigania hantli, których oddania ponownie domaga się od Jana, tylko pamiętaj o hantlach, a jak je oddasz, jak przyniesiesz je, palcem wskazującym wcelowuje prosto w Jana, bo chce podkreślić w ten sposób, że mówi poważnie po raz ostatni, to pogadamy ostatecznie, może w końcu zrozumiesz, że zawałiłeś sprawę.

Nie zrozumieć tak, jak chcesz, abym zrozumiał, Jan podnosi głowę, więc jednak się łamie, patrzy prosto w oczy Cezaremu, odzywa się niepotrzebnie, zdaje sobie z tego sprawę po chwili. Cezary tylko na to czekał, już kamień odrzuca w dal ze złością, aż spada na drugi koniec boiska, taki ma zamach, niezły jest, daleko rzuca, tak jak myśli dalekowzrocznie, a nie krótkowzrocznie jak Jan, o dupie jedynie, cieszy się Michał, doceniając rozumność Czarka. Jednak Cezaremu nie jest do śmiechu, bo gdy tylko uwalnia dłoń od kamienia, chwytą nią za gardło Jana, zaciska: jesz-

cze zobaczymy, mówi, jeszcze zmienisz zdanie, syczy przez zęby, wyrwę ci z gardła przepraszam, a może co innego ci wyrwę, cioto.

Jak łatwo można wystraszyć spokojnego ucznia. Wystarczy przyłożyć mu ciało obce do szyi, dłoń masywną, niechcianą, brutalnie żądającą czegoś, czego dać się już nie chce, choć ciepła to jest dłoń, życzliwa kiedyś, teraz staje się znienawidzona, nakazująca posłuszeństwo pod groźbą zaciśnięcia palców. Lecz Jan wie przecież, że jeśli Cezary je zaciśnie znacznie mocniej, nie dostanie tego, czego żąda, bo uśmierci obiekt, od którego chce posłuszeństwa. Dlatego zapewne Czarek odsuwa w końcu rękę, musi bowiem zdawać sobie sprawę, że ten chwyt nie przyniesie efektu, zwłaszcza że został wykonany pod nosem szkoły, której takie zachowania śmierzdzą. Więc, gdy zbliża się woźny w granatowym fartuchu, który krzyczy, dość tego, rozejść się, łotry, łobuzy jedne, bo zawołam dyrektora, Jan nabiera zaufania do szkoły, nawet jeśli pół godziny temu dostał pałę z powodu wyznawania przez tę instytucję zasady odpowiedzialności zbiorowej. Dla szkoły dwóch uczniów to już zbiór uczniów zawsze powodujących konflikty, jeśli tylko nadarzy się okazja, a tej nie brakuje. Wysuszony w swej chudości woźny, siwy w miejscach, gdzie jeszcze na głowie rosną mu włosy, ratuje Jana właśnie dzięki wyznawanej przez szkołę zasadzie odpowiedzialności zbiorowej, tak nieadekwatnej podczas lekcji matematyki, ale jakże zba-

wiennej na szkolnym boisku, na którym Jan, jak sądzi, właśnie uszedł z życiem.

Oddycha z ulgą i idzie na lekcję historii z wtuloną w niego Patrycją.

Już po nim, mówi Cezary i spluwa pod siebie, rozmazując, co wypluł adidasem, którego nie musi się na szczęście wstydzić, bo markowy jest, porządny, solidnie wykonany. Patrzy na oddalającą się parę i wie już, że ich czułość go przygnębia, bo zbyt dotkliwa jest dla jego oczu, których nie cieszy widok zakochanej dziewczyny. On takiej nie ma, źle więc jest patrzeć, że ma taką wróg, bo Jan wrogiem właśnie się stał i przygnębienie jeszcze większe rysuje się na twarzy Cezarego, co natychmiast dostrzega Michał. Wcielamy w życie plan B, pyta z troską. Już Cezary chce odpowiedzieć, szykuj się, ma na końcu języka, na którym zbiera mu się też nadmiar śliny, więc spluwa ponownie, aby pozbyć się balastu z ust, ale właśnie przypomina sobie sąsiadkę, więc nie rozciera śliny butem na płytce chodnikowej, jak zrobił to przed chwilą z pierwszym splunięciem, tylko mówi do Michała o Janie: Mam lepszą sprawę na głowie niż palanta. Sąsiadka na mnie czeka po południu.

**ONA CHCE WIEDZIEĆ WIĘCEJ,  
DLATEGO MUSI POZNAĆ GO BLIŻEJ.  
ON CHCE WIDZIEĆ WIĘCEJ, DLATEGO MUSI TAM PÓJŚĆ**

Gdy zaczyna się lekcja historii, podczas której Cezary myśłami jest przy biuście Sabiny Krop, wciąż osłoniętym w jego wyobraźni białym T-shirtem na ramiączkach, ona zaczyna właśnie kolegium redakcyjne.

Redakcja lokalnej gazety w dwustutysięcznym mieście mieści się w kamienicy z czerwonej cegły przy jednej z bocznych uliczek starego miasta. To przez większą część dnia zacieniona uliczka, ponieważ promienie słońca docierają tu jedynie o poranku. Po południu we wszystkich biurach palą się światła, inaczej nie sposób byłoby tu pracować przy komputerach.

Teraz, gdy dziesięciu dziennikarzy zbiera się na kolegium, tworząc okrąg z przystawianych przez każdego z nich krzeseł, świeci właśnie słońce. Sabina sprawdza jeszcze pocztę elektroniczną. Robi to na stojąco, aby w ten sposób pokazać, że się spieszy i ukradkiem zerka na grupę. Tylko jej krzesło jest puste, podczas gdy wszyscy siedzą w kręgu, a redaktor



naczelny nerwowo stuka długopisem w plik białych kartek.

Może byś wreszcie ruszyła tyłek, zostaw ten komputer, kolegium jest na dziewiątą, ile razy mam powtarzać, redaktor naczelny traci cierpliwość i zaczyna gryzmolić coś na kartce. Wygląda to tak, jakby chciał napisać, co o Sabinie myśli, użyć najbardziej niecenzuralnych słów, jakich używa zwykle, jak sądzi, nie wobec ludzi, ale wobec dziennikarskich sytuacji, które go stresują, np. kurwa mać, co za gnój, co za syf i burdel w tej redakcji, w tym kurewskim przybytku pismaków, którzy za nic mają mój czas, mój długopis i moje kartki, i coraz rzadsze włosy, których mi przybyć nie może, bo nie będę młodszy i nie będę bogatszy we włosy, z tym czas się pogodzić.

Być może dlatego redaktor naczelny, łysiejący mężczyzna po czterdziestce, rysuje właśnie głowę porośniętą rzadkimi włosami, dorysowuje jej szyję, korpus i bluzę dresową, niemal taką, jaką ma teraz na sobie, z tą tylko różnicą, że jego jest w paski i w rozmiarze 1, a bluza na kartce ma rozmiar xxl i coraz więcej kropek.

Kiedy więc Sabina siada w końcu na krześle, na kartce naczelnego widnieje już cała postać z umęczoną gębą, o czym świadczy jej mina, którą redaktor prezentuje wszystkim w kręgu, i widać, że usta postaci zwisają, a wszyscy przyznają, że szef ma talent plastyczny i szkoda, że nie wykorzystał go w życiu, w którym warto takie rzeczy wykorzystywać, aby w przyszłości nie

żałować, że pracuje się w miejscu, gdzie ciemno jak w dupie, dodaje sekretarz redakcji, aż pisać się nie chce przy tych cały dzień zapalonych jarzeniówkach, a już tym bardziej czytać cudzych tekstów, co ja muszę, niestety, kurwa, robić, wykrzywia usta.

Fakt, kiwa głową naczelny i spogląda na Sabinę, która w końcu mówi: przepraszam, ale pracuję nad ważną sprawą i trudno mi się oderwać, sorry, naprawdę.

Ciekawe, nad jaką sprawą pracujesz w tym nudnym dwustutysięcznym mieście, w którym nie dzieje się nic szczególnego, oprócz tego, że dziś ten twój radny wypowiedział mi wojnę, której złamas i tak nie wygras, bo wie dobrze, że za dużo mamy na niego haków. Tu naczelny uśmiecha się półgębkiem, bierze nową kartkę i zaczyna nadawać kształt nowej postaci, która tym razem jest najprawdopodobniej kłopotliwym radnym, bo ma teczkę, garnitur i głupkowaty uśmiešek na twarzy, który naczelny postanawia jednak zmasać gumką myszką zamocowaną na końcu ołówka, tak jak wkrótce zmasze radnego kolejnym artykułem na jego temat, wyraża to jasno, nazywając go palantem.

W ten sposób szef lokalnej gazety odstresowuje się na porannych kolegiach, udowadniając, że nie tylko dobrze radzi sobie w rysunku, ale i w nerwowych sytuacjach. Czasem bowiem wystarczy, uważa naczelny, wypuścić z siebie kilka wulgarnych słów, które określają tych, którzy na nie zasłużyli, albo to, co na nie zasłużyło, aby spadło napięcie nie tylko z napiętego, ale

także z obserwujących, którzy podlegają jego mocy siedząc w kręgu.

Nikt się zwykle nie odzywa, gdy naczelny rysuje, bo każdy czeka, aż skończy i powie, o co mu chodzi. Tym razem jednak jest inaczej, bo naczelny, o co chodzi nie mówi, marszczy czoło i kończąc rysować buty postaci, pyta ponownie Sabinę: o czym do cholery piszesz, że się spóźniasz na kolegium. Mówi to cicho, tak, że Sabina wie już, że zapowiada to jego zły humor, więc woli natychmiast odpowiedzieć, udając, że chciała odpowiedzieć kilka sekund temu, ale naczelny tak szybko rysował, a ona tak jak zawsze czekała cierpliwie, że nie śmiała przeszkadzać, zwłaszcza że myślała, że powie jej coś więcej o tym radnym, który wczoraj wydzwaniał, ale ona go spławiła, gadać z nim nie chciała, groził jej, więc może spełnić swoje groźby, że żadnych reklam ze strony jego żony nie będzie dla gazety, że to koniec, że już nam nie da zarobić, i pa, dziennikareczko pseudośledcza, powiedział jej.

Naczelnny znów nic na to nie mówi, jeszcze tło postaci rysuje, no, z tym sobie poradzimy, dodaje po chwili, reklamy jego żony mam gdzieś, niech się z nimi zabiera, frajer jeden, co sobie wyobraża, myśli sobie, że jakimś potentatem jest pieprzonym, że mu się do dupy nie dobierzemy? Wal w końcu, mówi szef, o czym teraz piszesz, a Sabina, no, o uzależnieniach, zwłaszcza komputerowych piszę, bo coraz więcej ich, jak się okazuje, coraz więcej dzieciaków gra i czatuje, i mailuje, i tylko komputer im w głowach chodzi, sku-

pić się nie potrafią na niczym, po nocach siedzą, nie śpią prawie.

I co? Naczelną kolejną kartkę wyciąga z bloczku, tylko niech komputera nie rysuje, niech słucha uważnie, niecierpliwi się Sabina, bo właśnie mu mówi, że to nie będzie taki zwykły tekst o gówniarzach, którzy nie mają co ze sobą począć, tylko na przykładzie jednego chłopaka, jej sąsiada, którego oczy się świecą jak nasze jarzeniówki, kiedy słyszy słowo komputer, dziś się z nim spotyka, ale musi wiedzieć więcej o maniakach komputerowych, dlatego doczytuje, szuka w Internecie, stąd to spóźnienie, stąd to podniecenie, stąd sprawdzanie poczty, czy odpowiedź przyszła od psychologa, od pedagoga, terapeuty z ośrodka uzależnień, od socjologa również, który w tej sprawie może mieć dużo do powiedzenia, bo obserwuje zmieniającą się rzeczywistość, a specjalistów zdanie warto mieć przed i po dziennikarskiej robocie. Chociaż to wymaga dużo wysiłku, ona wie, bo po co przed mieć zdanie fachowca, skoro to standardem jest po zebranych materiale, ale jednak ona woli inaczej tym razem zadziałać, aby się nie stresować, kiedy będzie pytać nastolatka, a wcześniej pytania sformułować przed spotkaniem, a potem ważyć słowa, zdania budować, które jej nie zdradzą, o co tak naprawdę chce zapytać, co chce wiedzieć, aby skonstruować artykuł o mieście uzależnionych, taki on ma być, dotkliwy i pełny, mięsisty, aby dał do myślenia, bo ona jest pewna, że z tego coś takiego powstanie, coś już się dzieje w tym

młodym człowieku. Stał przed nią nocą, widziała go przez okno wymęczonego, a później rankiem, jak bladł na jej oczach i jak się zapalał na jedno tylko hasło - komputer. On z pewnością ma kolegów, takich jak on - graczy, tak samo bladych i smutnych, których oczy śmieją się jedynie do monitora, Matko Boska, jak można tylko wtedy się śmiać, tylko wtedy czuć, że się żyje, gdy wciska się guzik w pudle, w którym jest wszystko zapisane na twardym dysku, tak, że nie trzeba wysilać własnej pamięci, wystarczy tylko klikać, dać się pochłonać, wessać, przekonać, że nic innego nie istnieje, aż do późnej nocy i jeszcze dłużej, bo przecież po takiej nocy czeka się na kolejną noc, podczas której powtarza się te same sekwencje ruchów, przyjmuje podobne szturchańce dźwięków i obrazów przesuwających się miarowo po martwym ekranie.

Dość już, dziewczyno, naczelny traci cierpliwość i nawet w kartkę białą nie zerka, nic już nie rysuje, ręka mu nie drży, ołówek nie trzyma w dłoniach, tylko za ucho go wsunął, szereg zębów białych pokazuje, śmieje się. Dość tych opisów, wszyscy grają teraz, wszyscy przy komputerach siedzą, śpią z komputerami, w komputerowym świecie żyją, jak szaleńcy wszyscy jesteśmy, więc musiałabyś napisać i o nas, a kogo to obchodzi, komu do głowy by przyszło bez komputera teraz funkcjonować, obyć się bez niego, co w tym nadzwyczajnego, co nowego, czym chcesz zaskoczyć czytelnika, po co miałby to czytać, po co miałby tracić czas na czytanie o tym, co jest oczywiste, jak śniada-

nie fastfoodowe szybkie, fabryczne, bezrefleksyjne, komu potrzebna refleksja?

No właśnie, dodaje sekretarz redakcji. Chyba że chłopcy coś zmalują, odwalą jakiś numer siarczysty, hardcorowy jakiś, no wiesz, jakiś dym z tego będzie, co pokaże bezsens ich życia przy tych komputerach, masz coś takiego, masz jakieś mięso w tej armacie? Sekretarz redakcji uśmiecha się, odsłaniając swoje krzywe zęby, co nadaje jego okrągłej twarzy nieco groźny wygląd, patrzy na Sabinę, patrzy na naczelnego, który znów zaczął rysować, tym razem dziurę wielką na pół białej kartki, którą wziął ze spodu bloczka, i pastwi się na niej ołówkiem, dociskając go coraz silniej, coraz mocniejszy kontur zyskuje jego dziura.

Oj, jakie dziursko mi wychodzi, czarne jak diabli, głębokie i szerokie, jak ten twój temat, którego w gazecie codziennej przedstawić nie sposób, więc się zastanów dobrze, o czym chcesz napisać, po co o tym pisać, pośledź tych twoich komputerowych chłopaczków, przyjrzyj się im w wolnym czasie, naczelny wyrzywa Sabinę z zamyślenia. A może ty urlopu potrzebujesz po tych aferach, może dość już masz polityki i stąd ta zmiana, w domu chcesz sobie posiedzieć? Dłoń naczelnego zastyga nagle w powietrzu, a jego wzrok zawiesza się na twarzy Sabiny.

Potrzebujesz urlopu? ponawia pytanie.

Nie, ona na to, bo przecież jak wytrzyma bez pracy, sama w domu białym, smutnym, przypominającym jej o tym, czego wolałaby nie przeżyć.

Potrzebuję czasu na ten temat, bo mam jakieś przecucie, że coś z tego wyniknie, że to będzie dobry temat, Sabina wzdycha głęboko, usta wydyma, w podkowę je układa, szyję do przodu wyciąga i mówi: Wiem już, potrzebuję tylko trzech dni na ten temat, zaprzyjaźnię się z tym chłopakiem z sąsiedztwa, poobserwuję go sobie, popytam i wtedy powiem coś konkretnego, nie chcę tak strzelać na razie, ale czuję, naprawdę, wiem, co mówię, że coś się tu kroi, bo chłopak dziwny jest jakiś, odległy, obcy, osobny, wsobny, nibynijaki, sąsiad, ale jakby nie z sąsiedztwa, ale z innego świata, jakby inny świat budować chciał, inaczej go urządzić, nie wiedzieć po co, skoro nawet dziennikarze, jak my, nie chcą go zmieniać, a przecież mają wpływ na rzeczywistość, tak się innym wydaje i mnie się tak wydawało, dlatego chciałam napisać, jak ta rzeczywistość się zmienia i po co, i w jakim kierunku zmierza.

W kierunku czarnej dziury - naczelny śmieje się teraz głośno i pokazuje, jaką dziurę narysował, w dodatku z efektem specjalnym, bo ołówek wbił mu się w środek rysunku.

Idź na urlop, patrzy na Sabinę i wrzuca ołówek do kosza na śmieci, który stoi przy biurku obok. Widzę, że potrzebujesz urlopu. Jeśli chcesz, zajmuj się tym tematem młodocianego gracza w domu, weź wolne, musisz odpocząć, ja zresztą też, bo nawet rysunki mi nie wychodzą, tak już dosyć mam tego bajzlu, młyna tego redakcyjnego, tematów powtarzanych co miesiąc, co dwa, co trzy, co rok, co dwa lata, ile ja tu już pracu-

ję, do cholery? Naczelny wstaje i drapie się w głowę, jakby nie mógł sobie przypomnieć długości i jakości drogi zawodowej, a w tym czasie sekretarz redakcji przypomina mu, że pracuje już dziesięć lat w tej samej lokalnej gazecie, co może być problemem dla tak utalentowanego plastycznie człowieka, zwłaszcza że od trzech lat nie był na urlopie. Więc może na plener malarski by się jakiś wybrał, sekretarz akurat słyszał o takim, zamki nad Loarą można zwiedzać i malować przy tym, odpocząć od zgiełku dziennikarskiego, oczy nawilżyć innym powietrzem, wysuszone na co dzień od ślęczenia przy komputerze w redakcji, do której promienie słońca tylko rankiem wpadają, a później tylko jarzeniówki i lampka przy biurku, obrzydliwa ciemność może wpędzić w depresję, no, jedź pan, my tu wszystkiego dopilnujemy.

Wiesz, naczelny patrząc w okno znów zwraca się do Sabiny, wciąż stojąc tyłem do grupy dziennikarzy, ten temat nie jest taki całkiem głupi. Gdybyś rzeczywiście napisała to tak, żeby z chłopaka zrobić bohatera nowej rzeczywistości, gdyby on się przez przypadek takim bohaterem stał, może znów bym znalazł radość w rysunku. I, cha, cha, śmieje się, odwraca głowę od okna, póki co urlopu nie biorę, poczekam, co wyjdzie ci z tego tematu, bo sam pomysł jeszcze niczego nie wnosi, jeszcze musisz mi udowodnić, że wpadłaś na coś, co skłoni mnie do wzięcia urlopu, co mi nerwy naprawdę nadweręży i, tu patrzy na tego, który mu proponował odpoczynek, przestanę się obawiać, że



sekretarz redakcji czyha na moje miejsce, cwaniak jeden.

Wszyscy zaczynają się śmiać, ale Sabina wie już, że jej ambicją staje się właśnie wysłanie naczelnego na urlop.

Więc kto to? Michał przysuwa się do Cezarego na lekcji historii i chce natychmiast wiedzieć, kim jest ta sąsiadka, o której najwyraźniej teraz myśli Cezary, bo oczy ma wprawdzie utkwione w tablicę, ale jakoś tępo tak, że od razu widać, że nie myśli o reformacji i o Lutrze, którego dzieje objaśnia trzydziestoletni szczupły historyk, pan Rajmund Pryk.

Zamknij się teraz, Michał, bo nie mogę się skupić, warczy Cezary.

Ale na czym skupić, bo nie na lekcji chyba, podejrzewa głośno Michał.

Na jej dekolcie, idioto, syczy Cezary i szturcha mocno Michała łokciem.

A jaki ma ten dekolt? Michał nie daje za wygraną i wypytuje, czy taki jak Kaśka z ławki obok, do której właśnie puszcza oko, ale ona odwraca głowę, jakby wcale nie dostrzegła jego zalotów.

Kaśka ma słaby dekolt, to nawet nie jest dekolcik, to jakieś wydmuszki są, pistacje jakieś niedorobione, chichocze Czarek, moja sąsiadka jest prawdziwie cycata, i jeszcze ten jej T-shirt biały, opięty na cyckach, musiałbyś to zobaczyć, rozmarza się.

Ale w czasie, gdy marzy półgębkiem, aby go słyszał Michał, ale nie słyszał Rajmund Pryk, Michał właśnie pisze liścik do Kaśki, składa kartkę, wsuwa ją w zeszyt do historii i podaje Kaśce udając, że jest tam ważna informacja związana z lekcją. No, przeczytaj, mówi, to coś ważnego o Lutrze, tego nie będzie na lekcji.

Kaśka, która poprawia brązowe długie włosy i bluzkę z koronką opinającą jej dekolt, wyciąga rękę po zeszyt, ale minę ma poważną, nie chce bowiem okazać Michałowi zainteresowania, na jakie mógłby nawet zasługiwać, bo jest przystojnym chłopcem, jednak jego porywy związane z dojrzewaniem i język, którego używa wobec dziewczyn, działają Kaśce nie na wyobraźnię, jak chciałby Michał, ale na nerwy. Mimo to otwiera zeszyt, bo jest ciekawa, co napisał o tym Lutrze, odgina kartkę i czyta: Luter nie ssalby tak twoich brodawek, jak ja potrafię, napisz, że się zgadzasz, jutro w lesie zrobię ci dobrze. Kaśka wzdryga się na te słowa i robi jej się niedobrze, co od razu mówi Michałowi, rzygać mi się chce na twoje ssanie, mózg sobie wyssij, zostaw sobie tylko korę, oblechu.

A fuj, co za bezczelny typ, tak nie podrywa się dziewcząt, nie w ten sposób zabiega się o ich względy, inaczej się kiedyś to robiło i dlatego miało się większe sukcesy, przyznaje Rajmund Pryk, który kartkę wyjmuję z zeszytu Kaśki, bo właśnie podszedł do niej od tyłu i wyciągnął liścik z zeszytu, bez pytania o zgodę, po prostu, pac, łap i kartka znalazła się w jego rękach.

Taki ma zwyczaj, chodzi po klasie z tą swoją chudością, kiedy opowiada o historycznych wydarzeniach, jakby poruszał się po historycznym świecie, lepiej go ogarniał, a nawet miał na niego wpływ, kościotrup jeden. Tak widzi teraz nauczyciela Cezary, który przygląda się, jak Michał został wywołany. Wstać musi, przeprosić, odszekać, czyli czas cofnąć, znów stać się miłym chłopcem, kolegą z klasy, który wcale nie chce ssać sutków swojej koleżanki, tylko myśli o tezach Lutra, o jego wpływie na Kościół, o pojęciu grzechu, który przed chwilą popełnił, składając taką propozycję niesubtelną bardzo subtelnej dziewczynie, nieprzyzwyczajonej do chamskiego traktowania. I klasa w śmiech, bo przecież nie można płakać w sytuacji, gdy nauczyciel czyta głośno tak intymne wyznanie o brodawkach opakowanych w koronkową bluzkę. Trzeba się śmiać, najgłośniej jak się potrafi, aby w ten sposób obnażyć słabość zawodnika, który przegrał z siłą niedostępnego biustu. Trzeba raz na zawsze zagrozić mu dostęp do cycków, nawet do wyobrażenia o nich, skoro w tak głupi sposób napisał, a w jeszcze głupszy przekazał, co czuje, bo na kartce, jaki głupek, no Boże, jaki głupek to jest.

I Kaśka się śmieje, środkowy palec pokazuje Michałowi, bo przecież nie może pokazać klasie, że ją to obchodzi. Wcale jej nie obchodzi, właściwie ma to gdzieś, w tym palcu środkowym, a raczej w tym, co ten palec teraz uosabia. Szkoda, że musi go tak szybko schować, aby nauczyciel nie zauważył. Na szczęście zauważyli

uczniowie i Michał, który na Kaśkę zerknął spode łba. Jeszcze głośniej się wszyscy śmieją, bo z tym Kaśki palcem robi się coraz bardziej komiczna sytuacja. Cezary twarz w dłonie chowa, przecież nie może przyglądać się kłęsce przyjaciela, od której bolą oczy, więc je przeciera zdumiony, jak można tak głupio dać się złapać z powodu niedorobionych pistacji. Do cycków trzeba mieć stosunek koneserski, a Cezary taki właśnie ma, potrafi się nimi zachwycać, najlepiej w myślach. Mógłby nawet o nich napisać poemat, ale muszą być naprawdę poetycko piękne, takie żeby wzrok chciał się na nich zatrzymać, ujarzmić je chciał dotyk i usta, które zostaną przez nie również ujarzmione, nie będą pragnęły mówić, zajęte tym dziełem sztuki. Tymczasem to coś, przez co Michał ma teraz kłopoty, nie jest warte nawet biustonosza, uważa Cezary, a już z pewnością niewarte jest tuszu w długopisie, którym Michał napisał te bzdury, i który Cezary właśnie łamie na pół, aby przyjaciel zobaczył swoją głupotę.

Siadaj, mówi Rajmund Pryk i wskazuje dłonią na Michała. Też siada za biurkiem, poprawiając jednocześnie małe okulary w srebrnych oprawkach, które zsunęły mu się z nosa. Współczuję ci obciachu, więc nie wyślę cię do dyrektora, ale kartkę zachowam, aby innym uczniom pokazać, jak nie rwać panienek. Na jutro, albo nie, na poniedziałek, bo jutro sobota przecież i tylko fakultety macie z wuefu, napiszesz dwieście razy: Nie będę przyglądał się piersiom, których i tak nigdy nie będę miał, bo piszę mało romantyczne

listy, których nie może docenić żadna dziewczyna, która ubiera się w ładną, koronkową bluzkę. I jeszcze opracujesz mi na poniedziałek najważniejsze tezy Lutra, abym miał pewność, że coś ci zostało w głowie z omawianego tematu.

Pan Rajmund Pryk wręcza Michałowi karteczkę ze zdaniem do przepisania dwieście razy. Puszczając do niego oko, które Michał najchętniej by mu teraz wydłubał, tak jak wydłubuje z nosa to, co rozciera o fotel w domu, kiedy matka nie widzi. I znów klasa w śmiech, bo to przecież śmieszne pisać za karę zdanie potrójnie złożone i jeszcze takie nieprawdziwe dla kogoś, komu można współczuć nie z powodu niepowodzenia, ale z powodu ślepoty, bo bluzka Kaśki wcale nie jest ładna, a jej biust też w oczach klasy jest kontrowersyjną częścią ciała, zakrytą teraz, bo cała klasa się w niego gapi, co sprawia, że Kaśka jeszcze wyżej bluzkę w górę ciągnie, zakrywa piersi, aż jej spod tej bluzki kawałek brzucha wystaje białego, nieopalonego. Niedopuszczalne to nieopalenie, oj, widać, że się nie opala, nawet do solarium nie chodzi, a powinna, bo wszyscy nieopaleny chodzą, coś nie tak z nią jest, a Michał jeszcze chciał ssać jej brodawki, chyba go porąbało, ocenia Cezary, a z nim inni kole-dzy, którzy przerzucają sobie teraz liściki z opiniami o całej sytuacji, nazywając Michała Pistacjogryzem.

Co za klęska, gdy cała klasa nabija się z ciebie, gdy wszyscy wiedzą, o czym przed chwilą marzyłeś, co chciałeś zrobić z niewyparzoną ręką, po coś to pisał?

Już mogłeś niewyparzonej gębie to zlecić, byłoby większe prawdopodobieństwo, że nikt nie usłyszy, a tak usłyszeli wszyscy, bo było czarno na białym napisane, przez ten długopis jebany, coś go do ręki wziął, Cezary przysuwa się do Michała, podtyka mu połamany długopis i szepce do ucha, jad sącząc, ale myśląc, że to słowa prawdy, aby kolega w końcu się opamiętał i głupim laskom nie pisał nigdy więcej takich rzeczy.

Przerwa jest za pięć minut, weź się w garść, człowieku, jutro, pamiętaj, już jutro pomścisz tę chwilę, wali go łokciem w ramię. Ależ to ramię miękkie się zrobiło, jak gąbka jakaś, nie można do tego dopuścić, wyprostuj się, wasalem moim w końcu jesteś, a nie psycholem jakimś zdołowanym - i bach, znów łokieć Czarka łąduje na ramieniu Michała.

Chyba to ramię na szczęście znów mocniejsze się robi, napięte bardziej, sprężyste, tak jak twarz przygaziona odzyskuje powoli ostrzejsze rysy, napina się, krzywo uśmiecha, by w końcu zęby pokazać w uśmiechu pełniejszym.

No, to jakie cycki ma ta twoja sąsiadka? Michał wstaje z ławki na dźwięk dzwonka kończącego lekcję. Nie patrzy na nikogo z klasy. Czeka tylko, co powie Cezary i tylko o jego odpowiedzi chce teraz myśleć.

Zajebiste, Cezary też wstaje i kieruje się do drzwi. O sąsiadce więcej nic nie powiem, bo jeszcze ktoś usłyszy, szepce do ucha Michałowi. Mogą za to mówić o przebiegu jutrzejszej misji, co staje się dla chłopców głównym zajęciem na pozostałych lekcjach. Jeszcze

tylko Cezary, z racji tego, że czytał książkę pod tytułem Martin Luter, natrzęsa się z tez wielkiego reformatora. Mówi, że Michał nic Prykowi pisać nie musi, bo jedyne, co warto wiedzieć o Lutrze, to to, że na swoje tezy wpadł na kiblu, bo cierpiał na chroniczne zatwardzenie. Jak można wobec tego traktować jego poglądy poważnie? To poglądy cierpiętnika, który nie potrafił zaradzić swoim przypadłościom, a wystarczyłoby, aby trochę poćwiczył, przyspieszył przemianę materii, tak jak to robią Cezary i Michał, jego kał stałby się rzadszy i częstszy, i nie męczył mu flaków i odbytu, no i mózgu. Teraz musimy się o nim uczyć na lekcjach historii, co jest złem koniecznym, tak jak złem koniecznym było twoje patrzenie na cycki Kaśki, bo wytrzymać nie mogłeś, poczekać na lepsze balony, tak ci się patrzeć chciało.

Człowiek musi całe życie walczyć z przypadłościami i słabościami, kwituje Michał, który raczej nie czyta, więc nie ma czym zabłysnąć przed Cezarym. Imponuje mu jednak jego wiedza, więc nie chce być gorszy. Zauważa głośno, że wyobraźnia jest lepsza od wiedzy, bo wiedza jest ograniczona, gdyż wszystkiego rozumem wytłumaczyć się nie da, a wyobraźnia nie ma żadnych ograniczeń, co on udowodni Cezaremu już jutro o umówionej godzinie w umówionym miejscu. Jakże go to podnieca, ta myśl, że jutro wykorzysta swoją wyobraźnię, skarb swój największy, samorodny, nie po matce odziedziczony ani po ojcu, którego przecież nie zna, a matka nie wpadłaby na to, co on wymyśli, jak świat zmieni z Cezarym, który mu

właśnie przytakuje: tak, tak, zostawimy coś po sobie innym, zapamiętają nas lepiej niż Lutra i jego tezy z kibla, z brzucha bolesnego wzięte, co za obelga dla tych, którzy naprawdę coś po sobie zostawią, odwagę swą, pogardę dla dupków. Tak mówi Cezary, gdy obok niego, w hollu, przechodzi znów Jan, którego musi szturchnąć łokciem, bo nie wytrzymuje jego widoku, gdy idzie taki wyprostowany, niech się zegnie pod ciosem, masz, z przegubu dłoni silnej, zapamiętaj, śmieciu, jutro sobie pogadamy inaczej, i jeszcze raz go wali nogą w piszczel ku uciechu Michała, cha, cha, aby sobie popatrzył, jak odreagować można najłatwiej, a śmieć nawet nie odda, bo odchodzi kulejąc i nie patrząc w ich stronę, słaba larwa ludzka z wystraszonymi brązowymi oczami.

I Michał się śmieje z takiego obrotu sprawy, z tego, że Jan się nie odwrócił, tchórz, nie oddał, podwinął ogon kundli, nierasowiec jeden.

W ten sposób Michał powoli zapomina o kompromitacji, ale właściwie jedynie spycha ją w głąb swej pamięci. Przypomni sobie o tym jutro, gdy będzie potrzebował siły, aby zrealizować wraz z Cezarym opus magnum. Zdzwonią się wieczorem, jak Cezary wróci już od sąsiadki, gdy tylko obejrzy jej komputer i zaradzi problemowi ze sprzętem i ze swoimi hormonami, bo zobaczy więcej niż marne pistacje i nie poniesie z tego powodu żadnych konsekwencji, bo ta kobieta, do której idzie, chętnie pokaże mu więcej.



**JUŻ MIAŁ NADZIEJĘ,  
GDY ZADAŁA MU TE OKROPNE PYTANIA**

Jak przyjemnie rzucić plecak na ziemię w przedpokoju, aż z hukiem odbija się o ścianę. Sprzączka zostawia czarną ryse, która niewiele teraz Cezarego obchodzi, ale przez którą później znów będzie głędzenie starych, że trzeba uważać, bo niedawno było tu malowane. Jeszcze tylko pod prysznic trzeba wskoczyć, szybko skarpetki ściągnąć, oj, jak śmierdzą nogi po całym dniu w adidasach nieściągniętych. Podkoszułek zdjąć, rzucić na podłogę w łazience jak najprędzej, pachę powąchać, wali nieznacznie jak na tyle emocji przykrych w szkolnych murach, spodnie zsunąć, zostawić, gdzie się zsunęły z dupska, założyć się nowe, te później matka sprzątnie, do kosza z brudną już odzieżą wrzuci, w końcu to jej psi obowiązek, dbać o dziecko. I już woda z prysznicą tak przyjemnie spływa na ciało, mogłaby obficie ciało oblewać, gdyby stary nie zatkał co drugiej dziurki silikonem, oszczędzacz stuknięty w łeb, skąpy drań, wody dziecku żałuje,

które lubi brać prysznic dwa razy dziennie i namydlać ciało, smukłym udom i łydkom poświęcając uwagę konieczną, aż piana się pojawi, tak intensywnie się mydli, tak szoruje gąbką twardą, aby jędrność była utrzymana do późnych lat, jak piszą w pismach matki, które lubiące się kąpać dziecko czyta. Uf, jeszcze tylko ręcznikiem porządnie się wytrzeć, ogolić zarost na twarzy, baki zostawić, aby zalotnie było tak, wdzięcznie przy uśmiechu z rzędem białych zębów, o które dziecko dba, zwłaszcza nicią dentystyczną dokładnie je traktuje, bo wie, ile znaczą zęby przy pierwszym wrazeniu. Dziecko lubi być atrakcyjne, zwłaszcza gdy ma szansę kogoś zauroczyć swoją higieną i urodą wymuskaną, gdy wie, że może porządzić wyglądem zewnętrznym, o który nie dbają wszyscy jego rówieśnicy. Ono dba, bo wie, że to pierwszy krok do dorosłości, która jest teraz po drugiej stronie ulicy, czeka już na niego w małym, białym domku, dziecko to czuje całym swoim pachnącym młodością ciałem, na które jeszcze wylewa bez umiaru ojca wodę po goleniu.

I w ten sposób dziecko staje się już prawie dorosłe, gdyż pachnie jak dorosły i jak dorosły ma pewne zamiary, kiedy już znajdzie się w towarzystwie dorosłej, której naprawiać będzie komputer, a przy okazji naprawi jeszcze swoje poczucie wartości, bo zamierza je potwierdzić i nie być już dzieckiem, taki ma plan.

I już półdorosłe półdziecko ma na sobie nowy biały podkoszulek z rysunkiem nagiej kobiety i dzinsy na czerwonych bokserkach opinające to, co najcenniej-

sze w nastolatku w tym wyjątkowym czasie dojrzewania.

Poprawia w kroczu ważny motyw ciała, który za chwilę powinien stać się motywem przewodnim już nie tylko jego myślenia, ale też działania. Przed lustrem w przedpokoju pozdrawia sam siebie, mówiąc: pozdrów się sam, bo to nowy zwyczaj tych młodych, którzy idą po coś, co jeszcze nie jest oczywistością, dlatego dojrzewający człowiek potrzebuje dodać sobie odwagi, więc mówi: odwagi, wskazując na swoje zadowolające odbicie, pa, zamyka drzwi głośnym trzaśnięciem, aż siostra Marta podskakuje w pokoju na krześle.

Uf, wreszcie wyszedł, pacan, Marta oddycha z ulgą, pewnie znów zachlapał całą łazienkę i rzucił gacie byle gdzie, byle jak, bez sensu gość.

Marta idzie do łazienki, aby potwierdzić, że Cezary zostawił w niej syf. Posprzątaj po sobie, głąbie, krzyczy za nim, co on powinien słyszeć, bo Marta ma głos donośny zawsze, gdy krzyczy do brata: posprzątaj ten syf!

On jednak już nie słyszy, bo wybiegł na schody przed domem, ale nawet gdyby słyszał, nie cofnąłby się, bo słowa siostry mogą go tylko zdenerwować, a z pewnością nie są w stanie zmusić go do spełnienia jej życzenia. Gdy Marta złorzeczy na brata z powodu zachlapanej łazienki, on już prawie dzwoni do furtki sąsiadki. Zerka na zegarek, jest za pięć siedemnasta, więc cieszy się ze swej punktualności. Podnosi palec

do dzwonka przy furtce, ale cofa go nagle, bo przecież nie wziął z domu Windowsa, a program może mu się przydać. Kto wie, czy sąsiadka go ma. Jeśli nie ma, będzie musiał biec do domu jeszcze raz, wychodzić od niej, być może w najważniejszym momencie, gdy będzie chciała mu coś ważnego powiedzieć, albo gdy będzie właśnie to mówiła, a on uzna, że nie warto tracić czasu na jej gadanie i wyjdzie po tego Windowsa, powie, że zaraz wróci, zostawi ją taką mówiącą jednym tchem. Nie, to bez sensu, trochę musi z nią pogadać, w końcu nie można tak natychmiast przystąpić do rzeczy, zacząć się dotykać z dorosłą kobietą, czymś trzeba ją przekonać, żeby dostrzegła coś więcej niż tylko miłą powierzchowność, która jest niepodważalna, lecz może nie wystarczyć kobiecie, która ma pewne doświadczenie. Cezary go nie ma, ale potrafi przewidzieć, że ona tego potrzebuje, pogadać przed i jeszcze po, bo tak robią dorośli, których obserwuje w domu i w telewizji, to ich łączy, spaja na dłużej. A on chciałby się z kimś spoić, aby nie czuć się tak, jak czuje się teraz, trochę zagubiony z tym palcem, który chce nacisnąć guzik dzwonka przy furtce, jednak się boi o brak Windowsa, ale też brak przygotowania do rozmowy. Odrywa więc stopy od ziemi i kroki swe czyni największymi jak potrafi, wraca do domu, spieszy się do swojego pokoju, aby odnaleźć karton z oprogramowaniem. Wpada do przedpokoju, gdzie natyka się na siostrę, która także nie jest gotowa do rozmowy takiej, jakiej życzyłyby sobie Cezary z osobą płci przeciwnej.

Wytrzyj ten syf, palancie, coś go zostawił w łazience, wszystko pływa, starzy się wściekną.

Bujaj się, on do niej w locie rzuca i odpycha, aby nie tarasowała mu przejścia do pokoju.

Zobaczysz, będzie dym, bo ciągle zostawiasz taką łazienkę, a ja nie sprzątnę, niech ci się nie śni, i niczym mnie już nie przekupisz.

Cezary dymu nie chce, to pewne, tak jak pewne jest, że Marta właśnie chce być przekupiona. Ale on nie ma dziś czym przekupić siostry, aby wytarła po nim tę cholerną podłogę, denerwuje się, a chce być teraz właśnie opanowany. Zwykle tak robi, zwykle daje jej coś, nawet pieniądze, żeby sobie kupiła jakiś kosmetyk dla poprawienia urody, której nie ma, zdaniem brata. Ale żeby był spokój, obiecuje siostrze, że kupi jej jutro nową maszczę do rzęs, a jak ogarnie jego pokój, dorzuci jeszcze błyszczak.

Ciekawe, skąd weźmiesz pieniądze, oszuście, na to ona, lecz już bierze ścierkę zza kaloryfera w łazience i postanawia, że zetrze tę wodę, właściwie i tak by mu pomogła, bo wie, że brat ma dwie lewe ręce do sprzątania, ale zawsze to dobrze wyłudzić coś jeszcze za pomoc, dobrze tak na coś naciągnąć starszego brata, skoro i tak nie ma z niego pożytku w obronie przed natrętnymi kolegami, żadnych przywilejów z bycia młodszą siostrą.

Naprawiam dziś komputer sąsiadce, więc pewnie zarobię, krzyczy z pokoju Cezary, który już ma w rękach karton z oprogramowaniem, tylko sprzątnij, pro-

szę cię, w końcu to zajęcie lepiej wykonują kobiety, i zbiega na dół. Ten argument jednak do Marty nie trafia, oburza się, ty też żresz i wydalasz, więc musisz umieć zrobić coś wokół siebie, leniu. Jeszcze raz mi powiesz, że kobiety robią to lepiej, to więcej nie będę ci pomagać. W życiu bym nie chciała takiego faceta, który nie wie, jak wytrzeć podłogę, Marta wyciera i przeklina, do dupy takie życie, żebym musiała za młota ścierać, życzę ci takiej dziewczyny, która nie da ci się nawet pocałować, zanim nie zrobisz jej czegoś ekstra do jedzenia i nie umyjesz po tym garów, żeby cię jeszcze do mycia i szorowania zaganiała, szybko się zmienisz, faceci dla seksu robią nie takie rzeczy.

Co za pomysły ma ta głupia siostra, skąd ona wie o takich sprawach, co facet może zrobić, przecież ona nie jest facetem, a może już ma jakiegoś i tak sprytnie się maskuje.

Martucha, bzyka cię ktoś, Cezary już stoi w drzwiach wyjściowych, które otworzył, i pokazuje Marcie rząd białych zębów i gest palcami wykonuje, świadczący o tym zajęciu między mężczyzną i kobietą, o którym Marta z pewnością nie chce mu opowiedzieć. Pyta jednak, co przepraszam, mimo że dobrze usłyszała, ale znów jest przez to wściekła, bo uważa, że Cezary jest bezczelny, skoro wtrąca się w takie sprawy, bardziej osobiste niż sprzątanie po kimś, kto równie dobrze mógłby zrobić to sam.

No wiesz, czy cię ktoś posuwa, dyma cię, penetruje, wkłada ci, chichocze Cezary, który w życiu i tak

nie uwierzy, że ktoś mógłby to robić jego siostrze, tej brzydkiej istocie, paszczy przykrytej pudrem, co i tak jej nic nie daje, bo i tak jest potwornie brzydka, o czym jej mówi i w ostatniej chwili dostrzega, że Marta rzuca w niego szmatą do podłogi, którą udaje mu się nie dostać tylko dlatego, że szybko zatrzaskuje drzwi.

Ileż w nim entuzjazmu, gdy biegnie do domu naprzeciwko, ileż słów dobrych chce mu się krzyczeć do tej, do której biegnie, a która już powinna być w domu, dostrzec jego umiłowanie wyglądu, czystości, oczy płonące, napięte mięśnie, które wszystko zrobią dla komputera, a później jeszcze bardziej się napną, aby móc wykonywać kolejne czynności potwierdzające sens spotkania obojga w realnym świecie, który teraz ma nie zawieść. Jeśli nawali tym razem, Cezary gotów jest się zemścić, przystaje, patrzy na kamień leżący pod płotem domu Sabiny. Jest ciężki. Podnosi go obie rękoma. Można nim roztrzaskać głowę jednym ruchem, jeśli użyje się wystarczająco dużo siły, którą on ma, bo przecież ćwiczy wytrwale. Aby potwierdzić moc w rękach, odrzuca kamień jak najdalej, a ten spada na trawnik jakieś dwa metry przy płocie. Ten, kto by tam teraz stał i dostał w głowę, upadłby twarzą na betonowy krawężnik i jeszcze złamał szczękę, Cezary otrzepuje dłonie, uśmiecha się pod nosem. Posiadając taką sprawność fizyczną, dostanie to, po co tu przyszedł.

Jak dobrze, że jesteś, Sabina Krop otwiera drzwi do swojego domu, zanim Cezary podnosi palec, aby zadzwonić. Czekala na niego czy co? myśli, przy wizjerze warowała o siedemnastej, nie dała mu się zastanowić, co powiedzieć, gdy ją zobaczy, ale już ją widzi i nie wie, jak się zachować.

Ona otwiera mu furtkę, naciskając guzik domofonu w swoim mieszkaniu. Cezary wchodzi i wciąż nie mówi dzień dobry, bo wolałby być oryginalny, coś innego powiedzieć, na przykład, przyszedłem cię wybykać, czekałaś na mnie, więc też tego chcesz. Chcesz? Jednak nic podobnego nie mówi, kiedy przekracza próg jej domu, nawet dzień dobry nie chce się z niego wydobyć, bo spięty stał się jakiś, ale nie zawstydzony, nie, do tego w życiu by się nie przyznał i nawet nie chce do siebie dopuścić tej myśli, że tak mogłoby być. To rodzaj paraliżu, gdy ktoś wyprzedzi cię w mowie i uczynku, a ona właśnie tak zrobiła i robi nadal, bo sama mówi dzień dobry, cieszy się, że przyszedł i zaraz zaradzi coś na jej problem z komputerem, zaprasza do środka, proponuje herbatę, której on nie pija, więc wciąż nie wie, co powiedzieć, czy być szczerym, czy rzucić jej: pierdolę herbatę, tak najchętniej by zrobił, tak by powiedział, że rzygać mu się chce po herbacie, ale nici z tego, po co przyszedł, więc znów milczy, bo jak tu coś powiedzieć, gdy wszystko idzie nie po jego myśli, a ona chce myśleć za niego i tak chyba jest, bo już go sadza na krześle przy komputerze, tragedia jakaś, myśli on.



Colę poproszę, odważa się odezwać, jeśli masz, ma pani, poprawia się i robi półobrót na krześle obrotowym tak, że widzi okno swojego pokoju, w którym gra, kiedy czuje się tak jak teraz, niedobrze, niespokojnie, obco. Za grą więc tęskni, sam nie wie, dlaczego, nie po to tu przyszedł, aby tęsknić za tym, co ma w domu, nie tego tu szuka, ale czy to dostanie, czy ona w ogóle wie, jakie gorąco w nim teraz wibruje, jak mu się wszystko skręca z tej niezręczności, z tego, że nie wiedział, co powiedzieć, gdy ją zobaczył? Chowa głowę w dłonie, włosy przeczesuje palcami, oczy trze, plonie, i jeszcze pani musi do niej mówić, bo nie potrafi Sabino.

Sabina Krop niesie teraz colę i mówi, że napój jest prosto z lodówki. Stawia butelkę na biurku, gdzie jest też czarny monitor, patrzy na Cezarego z ukosa, mów mi po imieniu, śmieje się, ale co to, dobrze się czujesz, uśmiech już znika z jej twarzy, mogę ci jakoś pomóc, jakiś niewyraźny jesteś, przybity jakiś, męczący miałeś dzień?

O tak, te słowa z jej ust są jak wybawienie, przecież najłatwiej wszystko teraz zrzucić na zmęczenie, jasne, że jest zmęczony. W szkole Jan nawalił, ale teraz o palancie myśleć nie będzie i jej też o nim mówić nie zamierza.

Bardzo jestem zmęczony, mówię ci, nie boi się nagle użyć jej imienia, przytakuje i jakby się ożywia, bo wreszcie wie, co mówić, to ona mu podpowiedziała, widać, że jest doświadczona, wie, jak rozmawiać

z mężczyznami. No przecież od razu mógł udać zmęczonego, od razu mógł na ty do niej, gdyby nie otworzyła mu tak szybko, w drzwiach nie stanęła, to by się z pewnością nad tym zastanowił, sam by to wymyślił, nie wpadłby w taki nastrój podły z euforii, w jakiej był, kiedy tu szedł, kiedy jeszcze szukał Windowsa w pokoju i był w stanie oddać siostrze pół zarobku od Sabiny, jeśli zdoła naprawić jej komputer.

Już więc Cezary przy nim grzebie, uśmiecha się pod nosem, jakoś się przełamał po tym odkryciu, że jest zmęczony, od teraz zawsze już będzie w ten sposób tłumaczył się kobietom, wtedy one stają się troskliwe, nie naciskają tak bardzo, nie gadają tyle, bo po co tyle gadać, tylko baby mogą tak wszystko zepsuć swoim gadaniem, a on potrzebuje koncentracji, bo bez niej trudno coś zrobić, trudno nawet wymyślić coś prostego w tak skomplikowanej intymnej sytuacji.

I co może być z tym komputerem, dopytuje Sabina, nie włącza się, nic się z nim nie dzieje, nie mogą korzystać, gestykuluje, podnosi ręce, w głowę się drapie, a wtedy Cezary patrzy głodnym wzrokiem na jej ramię opalone, tak doskonale harmonizujące z białym opinającym ciało T-shirtem. Już chce poczuć jej zapach, zapamiętać go i pamiętać zawsze, jak to ramię, jak pachę. Cóż to za piękna pacha jest, jak wyprofilowana zmysłowo, Cezary już tęskni za tym widokiem, gdy ona opuszcza rękę. No podnieś jeszcze raz, patrzy na nią, lecz ona znów nie spełnia jego życzenia, które pojawiło się jedynie w jego głowie. Takie

życzenia mogłaby czytać z jego oczu, które on unosi co kilka sekund, aby na nią zerknąć, a później znów na komputer, na klawiaturę, na monitor, na którym rzeczywiście nic się nie dzieje.

Windows trzeba przeinstalować, ale stracisz wszystkie dane, mówi jej, nie odrywając wzroku od pustego ekranu. Teraz to dobry czas, by ona położyła dłoń na jego ramieniu, zapytała, czy na pewno straci wszystkie dane, czy nic się nie da zrobić, a przecież da się, bo może je zarchiwizować, ale nie tak za darmo, o nie, nie po to tu przyszedł, żeby tak po prostu jej pomóc. Mógłby w tej chwili podnieść na nią oczy, spojrzeć bez wstydu, powiedzieć, może i da się zarchiwizować, ale są ważniejsze sprawy między nami, czy czujesz, że się pojawiły, czujesz moje pożądanie? Później się zajmujemy archiwizowaniem, teraz zajmijmy się sobą. Sabina jednak nie pyta w ten sposób, jakby niczego nie czuła w towarzystwie pachnącego chłopca, który przecież pachnie specjalnie dla niej, czy ona węch straciła? Po prostu siada na kanapie i mówi, spodziewałam się, że tak może być, to stary komputer. Pogodziła się z utratą danych, jak można tak łatwo się pogodzić, nie walczyć o historię komputera, to logiczne przecież, zadać takie pytanie, gdy traci się wszystko, dlaczego ona go nie zadaje? Jaka ona głupia jest, musiałaby uszkodzić dysk mechanicznie, przecież nie kopała w tego kompa, żeby jej dysk się rozwalił. Korzysta ze sprzętu, a nic o nim nie wie, wszystko da sobie wmówić.

Cezary wciąż nie podnosi oczu znad komputera. Czuje, że chętnie uniósłby całe ciało ponad tę krępującą sytuację, bo Sabina w niczym nie chce mu pomóc. No, niech wreszcie się odezwie, że szkoda, że tyle danych straciła, on zacząłby jej współczuć i jemu pozwoliłoby to mówić, jeszcze by nie zaczął instalować nowego Windowsa, nie zważając na stare pliki, jeszcze mógłby je dla niej uratować. Przecież dwoje ludzi płci odmiernej, gotowych do zawarcia bliższej znajomości, nie może tak milczeć, jeśli mają wspólny temat o komputerach, o tym, co mogą im one dać, zanim oboje dadzą sobie jeszcze więcej, czy ona nie ma mu nic do zaoferowania?

A jeśli już przeinstalujesz Windowsa, ile ten komputer wytrzyma? Takie pytanie powinna mu zadać, gdy on zaczyna uzdrawiać oprogramowanie w komputerze, sprawdzać, jak mówi, przyczyny martwego ekranu.

Dysk twardy ledwie zipie, w każdej chwili może być po nim i przeinstalowanie Windowsa jest chwilowym rozwiązaniem, tłumaczy Cezary, choć Sabina wcale o to nie pyta, tylko krótkie aha wrywa się z niej.

Czy ją w ogóle coś interesuje? Siedzi tak daleko, nogę na nogę założyła, co on widzi kątem oka, mogłaby choć spódnicę założyć, a nie džinsy, nic nie widać, a powinno być, bo przyszedł tu po to, aby zobaczyć więcej, choć początkowo deklarował sąsiedzką pomoc, ale jest w końcu mężczyzną, więc ma prawo myśleć, że ona ma ładne nogi, których nie chce mu

pokazać. Dobrze, że śrubokręt wypadł mu z dłoni, może się teraz pochylić, aby go podnieść z podłogi, zerknąć na nią, może wreszcie ich oczy się spotkają i ona z nich wyczyta, jak bardzo on chce się zbliżyć, tylko nie wie jak.

Sabina wzdycha, wreszcie się złości, na złośliwość komputera narzeka, jakże by chciała nie być od niego uzależniona, od czytania poczty kilkanaście razy dziennie, od czatowania, stawiania pasjansów, spędzania długich wieczorów na gadu-gadu, mówi mu. On to z pewnością rozumie, bo też siedzi długo w nocy, ona go widzi z okna czasami.

Nie smutno ci, pyta, tak samemu siedzieć przed komputerem, nie masz przyjaciół, wyjść ci się nie chce? Dlaczego tak siedzisz?

Dlaczego tak bredzisz? - on chce zapytać, ale tym razem nic nie mówi, tak zaskoczony jest tym zarzutem, że przyjaciół nie ma, że mu się wyjść nie chce. Przecież wyszedł, jest tutaj, próbę podejmuje szaloną, aby ją zdobyć, stara się, aby zwróciła uwagę na jego męskość, którą czuć i w dodatku widać po tym, jak radzi sobie z oprogramowaniem. Już nowego Windowsa jej instaluje, ratuje komputer, aby nie musiała kupować nowego, wydawać pieniędzy, których z pewnością nie ma za dużo, sądząc po meblach, oceniając po tapetach, podłodze i dywanach. Wszystko tu stare jakieś, sprzed dziesięciu lat co najmniej, jakby nie dbała o wygląd swojego domu, choć o swój wygląd dba, co jeszcze wciąż go urzeka, tak piękna jest, choć starsza

od niego, może stać się jego pierwszym kochaniem. Wszystko teraz od niej zależy, bo on już siły nie ma do tej kobiety, która nadal go męczy pytaniami, zamknąć się nie chce, nie zauważa, że wołałby, aby sił mu dodała pytaniem o jego profesjonalizm komputerowy albo o upodobania w innym względzie, na przykład, jak chciałby, aby go całowała.

Nic nie powiesz mi na ten temat, jak żyjesz, jak chciałbyś żyć, odzywa się Sabina. Wstaje z kanapy, a z nią kurz unosi się w powietrzu, widoczny dzięki wpadającym do salonu promieniom popołudniowego słońca. Jej wstanie i podejście do biurka wyrwa Cezarego z myślenia o całowaniu, bo dociera do niego, że ona chce wiedzieć więcej o jego wizji świata, a tego powiedzieć jej nie zamierza. Jakże bowiem jej się zwierzy, że jutro plan ma z Michałem coś przeprowadzić, co może by odłożył w czasie, gdyby ona stała się bardziej czuła w słowach, nie poruszała tak osobistych tematów, jak granie w gry komputerowe, on tylko więcej chce zobaczyć, ale w tej chwili Cezary zaczyna zdawać sobie sprawę, że ona sama więcej mu nie pokaże, tak jak on jej więcej nie powie.

Nie przyszedłem tu się zwierzać, mówi i znów na krześle obrotowym się obraca, patrzy jej teraz w twarz, dostrzega jej uśmiech, nieszczerzy według niego. To uśmiech jego matki, która z góry wie, że będzie grał dziś do późnej nocy, choć ją przekonuje, że tylko kilka godzin. Sabina też tak patrzy na niego. Nie jak jego Sabina, którą mogłaby się stać, ale jak obca, co czyha

na jego zwierzenia w sprawach dla niej nieprzeznaczonych. On dziś przeznaczył dla niej swoje ciało.

Nie chcesz go, więc masz za swoje, dziwko jedna, wstaje z krzesła, podnosi koszulkę białą z rysunkiem nagiej kobiety, za głowę ją zawija, pierś pokazuje, tym się zajmij, nie moim życiem, śmieje się. Masz tu mnie na tacy, bierz, czerp, z torsu mojego spijaj, na którym włoski czarne się stroszą jak pawie pióra, to ja, dla ciebie. Mogę ci inne rzeczy opowiedzieć, znacznie ładniej, bardziej dosadnie, gdy ci wsadzę, o tak, wystaw się tylko, wypnij tyłek, od tyłu nie będę widział twojego uśmiešku, bara-bara i przejdzie ci, nara, wykonuje gest świadczący o jego gotowości seksualnej, poruszając w przód i w tył miednicą.

Spokojnie, Sabina odpycha jego odwagę niestosowną i jego rękę odsuwa od swojej talii, bo już ją zdążył tam położyć, coraz ściślej do niej przylega. Nie tak szybko, przecież to tylko pytania były. Chcesz seksu, a poznać się nie dasz lepiej? W szkole cię nie nauczyli subtelnego traktowania kobiet, czego was tam uczą, a w domu też tak tata do mamy mówi? Napalony jesteś za bardzo, tak jak na gry komputerowe, podejrzewam.

I boi się, czy sił jej starczy na obronę przed jego naporem. To tacy teraz są chłopcy, myśli pospiesznie, oddycha coraz szybciej, serce jej łomocze. Tak teraz gówniarz stara się o dorosłość, chce w nią wskoczyć jak gwałciciel. Gwałcicielem jest, urodzonym, by gwałcić, bo inaczej nie potrafi. Jak mu to łatwo przychodzi,

żadnych oporów wobec kobiety, choć ona mówi nie, nic to dla niego nie znaczy, dostać chce jedynie coś bez starania, bo mu się to należy, uważa się za pępek świata, świr młodociany.

Oj, jak mnie podnieca twój opór, znów Cezary przy-suwa się bliżej, rozłóż więc nogi, pokaż cipkę, no już, bluzkę daj zdjąć sobie, łapie ją za kark, jak pachniesz seksem, czuję twój pot, odważny jestem, co? Przy-znasz, że to wyjątkowe, tak młodym być i wiedzieć, czego się chce, daj się pocałować, przestań wciąż ga-dać, zróbmy to, nie broń się, oddaj się.

Nie! Sabina grozi, że zaraz rozwali mu łeb. Szamo-ce się, bo znów do niej doskoczył, całuje łączywie szyję, jakby gwałtownie łapał powietrze, którego ma coraz mniej w pokoju, tak mu to pożądanie oddychać nie daje. Żadnej w nim delikatności, tylko napór coraz większy, już ją na podłogę kładzie, podstawiając nogę i łapiąc w ramiona masywne, których ona wciąż nie chce czuć.

Zabieraj te żylaste ręce, zabieraj twarz z twarzy mo-jej, dzieciaku, nie będę lekiem na twoją samotność, twoją stratą dziewictwa nie chcę być. Odwaga twoja to chamstwo jest, nie moc do uzyskiwania tego, czego pragniesz, bo sam tego jeszcze nie wiesz, nie możesz wiedzieć, no bo, ile ty masz lat? Złaż ze mnie, uf, Sabi-na wyslizguje się spod Czarka, gdyż po tym, co mu powiedziała, może to zrobić. On już jak gąbka się czu-je, przez którą jej słowa się sączą i wygrywają z jego myślami i chceniem, aby ją osiąść.



Cezary wstaje, poprawia podkoszulek, włosy wygładza, podchodzi do komputera. Windows zdążył się już przeinstalować. Jeszcze kilkanaście kliknięć myszą wykona, aby usprawnić komputer, pozbiera swoje rzeczy, spakuje do kartonu i za wykonaną pracę weźmie pieniądze, które Sabina wyciąga dla niego z portfela, proszę, tu twoje pięćdziesiąt złotych za usługę.

Cezary chowa je do kieszeni, patrzy na nią z pogardą. Zamyka drzwi do jej domu z postanowieniem, że przyjdzie je otworzyć sam, kiedy będzie posiadał odpowiednie narzędzie, aby stłuc tę sukę.

**JUŻ BYLI PO KOLACJI,  
GDY UMÓWILI SIĘ, ŻEBY TO ZROBIĆ**

W piątek wieczorem Michał nie widzi sensu w dodatkowych zajęciach wuefu, ale wie, że jutro musi wyjść rankiem z domu i udać, że idzie do szkoły, aby uzyskać zaliczenie semestru. Nie zrobi tego z własnej woli, ale z woli matki Ewy, która przymusza go do szkoły, jakby sama chętnie do niej chodziła przed laty. Nie chodziła chętnie, o czym Michał wie, bo znalazł jej świadectwa szkolne, z których jasno wynika, że Ewie nie w głowie była nauka, aby być mądrzejszą i lepszą, nie chciała być lepszą, a on jest od niej lepszy, bo potrafi się przyznać do tego, że nie chce się uczyć, i nie udaje, jak ona, geniusza w budzie. Co innego geniusz stratega, który kształtuje każdego dnia podczas ćwiczeń fizycznych i ćwiczeń wyobraźni. To wyobraźnia, wzbogacona intensywnym graniem na komputerze, jest jego furtką, przez którą wyskoczą już jutro wyćwiczone bicepsy i zmasakrują wybrane słabe ciała. Cały plan jest w jego głowie, której myślenie zasila Cezarego,

bardziej nabitego wiedzą. Cezary ma lepszą pamięć, za to Michał potrafi wpaść na prosty, ale genialny pomysł, co sprawdziło się już nie raz, na przykład, kiedy Cezary miał kłopot z sikaniem do ubikacji. Wciąż kłócił się z matką o plamy na podłodze i krople moczu na desce klozetowej albo pod nią. Sikaj do zlewu albo do wanny, przestanie się czepiać, znalazł rozwiązanie Michał. Cezary stosuje je od trzech miesięcy i matka skończyła narzekać. Na tak proste rozwiązania Michał wpada od dziecka i uważa, że jest to talent, dzięki któremu często potrafi przechytryć dorosłych. Sam sika do zlewu, odkąd sięga do niego ważną męską częścią ciała. Potrafi też sprytnie sięgać na klasówkach, używając do tego Worda, w którym dzieli stronę na kolumny, wypisuje w nich wszystkie potrzebne wiadomości, drukuje, tnie na paski nożyczkami, skleja je taśmą, a później ukrywa w rękawie bluzy, siada w środkowej ławce i zżyna aż miło, kiedy nauczyciel chodzi po klasie. W ten sposób też się trochę uczy, bo kiedy opracowuje ściągę, jakaś wiedza zostaje. Po sprawdzianie i tak wyparowuje, za dużo emocji towarzyszy temu całemu zawracaniu głowy, która nie lubi być nabijana szkolnymi głupotami.

Teraz wizja porannego wyjścia do szkoły stresuje Michała tak bardzo, że jeszcze bardziej wścieka się na świat wokół, na słabość świata, w którym rządzi prawo słabych, wykonujących bezsensowne rozkazy. Dlatego Michał wyjdzie wprawdzie z domu jutro rano, ale do szkoły iść nie zamierza, bo ma zupełnie inne

plany, rozprawić się musi ze światem, z jego nicością, bylejąkością, z prawem, którego ani on, ani jego najlepszy przyjaciel Cezary nie ustanowili, więc takie prawo nie ma racji bytu, musi odejść w niebyt, musi zostać zniszczone, zresetowane jak komputer, który nawala, aby wszyscy popamiętali, czym jest prawdziwe prawo, jak łatwo zrobić coś, co innym wydaje się trudne tylko dlatego, że są słabi, że się boją. On się nie boi, nie boi się pokazać, że potrafi ustanowić inne prawo, przed którym słabi padną na kolana.

Mój pokój daje świadectwo, które w przeciwieństwie do szkolnego, wystawiłem sobie z czerwonym paskiem, gdyż każdy element wyposażenia został gruntownie przemyślany w moim unikatowym umyśle - uważa.

Ściany pomalował sam granatowoniebieską farbą, a na ścianie po prawej stronie od wejścia umieścił mandalę wielką jak okno, która służy mu do koncentracji przed wirtualną walką. Inny rodzaj koncentracji jest dla Michała stratą czasu, bo czas należy oszczędzać na budowanie siły wewnętrznej, potrzebnej do okazywania siły zewnętrznej, kiedy przyjdzie pora, aby ją okazać. Po lewej stronie od drzwi wejściowych stoi regał, na którym są tylko gry komputerowe, ułożone w porządku alfabetycznym. Jedyną książką, jaką dała mu matka, powieść o przygodach jakiegoś hrabiego Monte Christo, wspiera krzywą nogę regału, spełnia więc ważne zadanie, docenia swą pomysłowość Michał, bo utrzymuje w pionie potrzebny mebel. Kom-

puter stoi na czarnym biurku pośrodku pokoju, aby Michał mógł obserwować uważnie wszystko, co dzieje się wokół niego, a jeśli nie dzieje się nic ciekawego, może zza biurka rzucić lotkami do wielkiej tarczy, która stanowi drugą mandalę w jego pokoju wojownika. Poza tym jest tu lampa z energooszczędną żarówką, na którą uparła się matka, gdyż syn długo siedzi w nocy, a to kosztuje, jest też czarna szafa, w której są równo poukładane ciuchy, także zasługa matki lubiącej porządek. Jeśli więc tak bardzo go lubi, niech sprząta sama, bo syn nie widzi ku temu powodu. Niech matka układa, ale tylko w szafie, reszty rzeczy ma nie dotykać, poucza ją syn, a jeśli to zrobi, dotknie ją gniew dziecka.

Cały pokój sprawia wrażenie ponurego, bo chłopak rzadko odsłania żaluzje, ale również przez brak zielonych roślin, bo tych Michał sobie nie życzy, nie ma zamiaru ich podlewać. Nie jestem zresztą jakimś frajerem - uważa - żebym wytrząsał się nad roślinkami, żyjącymi dzięki mojej łasce. On łaski nie potrzebuje i innym udzielać jej też nie zamierza. Zabieraj więc to zielsko, mówi matce, i swój zad smętnie sunący po moim pokoju zabierz też, nara, pa, zamyka za nią drzwi, gdy Ewa rezygnuje w końcu z nakłonienia go do zmiany wyglądu pokoju.

Michał zadowolony może być jedynie ze swojego wyglądu i teraz właśnie ten wygląd go zachwyca, gładzi dłońmi wystrzyżone boki swojej modnej fryzury, przejeżdża po niewielkim irokezie, wpatruje się w lu-

stro, które zawsze stoi na jego biurku, gdyby przyszła mu ochota zerknąć właśnie na swoje oblicze. I teraz mu przyszła, więc obraca głowę w prawo i w lewo, raz jeden profil twarzy widzi w zwierciadle, raz drugi, delikatne rysy wypieszczone kremami i balsamami, wydelikaczone uszy, w których pierwsze włoski zaczyna wrywać już pęsetą, wypryski zakryte korektorem i baki podcięte najdokładniej przez nożyczki do paznokci, które zawsze kładzie przy lustrze. Jak miło tak na siebie popatrzeć, zobaczyć tę szczupłość twarzy, której mu zazdroszczą szerokogębni, ujrzyć pierwszy zarost i zgolić go natychmiast, aby wzmacniał się jak najszybciej, aby pozwolił mu dojrzeć w sobie męczyznię. I te palce, jakież są twarde i długie, więc ogląda je oczami swymi i okiem lustra, aby zapamiętać ich widok i aby lustro zapamiętało, polubiło je jeszcze bardziej, ileż w nich jest siły, która potrafi utrzymać najgroźniejsze narzędzie, i odporności na ból zadany różnymi ostrzami, dla treningu, na przykład żyletką albo nożem do krojenia mięsa. O tak, jego palce nie lękają się przecież skaleczeń, po których blizny są świadectwem odwagi, nieposkromienia impulsywności, właściwej młodzieńczej pracy nad swoim wyglądem.

Wreszcie uznaje, że nasycił się swym wizerunkiem, odsuwa lustro, rozsiada się przy komputerze o godzinie dwudziestej w piątek wieczorem, z postanowieniem, że dziś, dla rozgrzewki przed jutrem, które nastąpi, rozwali parę tępych łbów w Misji, ulubionej grze, w której giną ludzkie śmieci.

Śmieć idzie szarą ulicą. To mężczyzna mniej więcej trzydziestoletni. Rozgląda się wokół, ale nie widzi niczego, bo nie ma oczu, tylko puste oczodoły. Na oczodoły opada kapelusz, szary jak ulica i jak płaszcz, który śmieć ma na sobie. Śmieć jest prawnikiem, ślepym na to, co widzi, czyli dwoje kolorowo ubranych ludzi, którzy nie lubią prawa i szarości. Gdy tylko kolorowy dostrzeżę szarego, natychmiast wbija w niego nóż, ale po chwili znów wyłania się szary, tym razem jest to policjant. I jego dosięga klinga kolorowego. Kolorowi w parze przemierzają ulicę w poszukiwaniu urzędników, architektów szarości, szarych nauczycieli, miejskich strażników, dozorców i ratowników. W miejscu, gdzie dokonują zbrodni, powstaje natychmiast czerwona plama, która zabarwia szarość, dzięki czemu miasto szarych odzyskuje należne mu kolory. Kolorowi nienawidzą szarych i ich dzieci, dlatego, gdy pojawia się szary dzieciak obok urzędnika czy policjanta, kolorowy musi podciąć mu gardło albo walnąć go w głowę wielką pałą, trzy razy większą niż pała szarego policjanta. Stary system musi przestać istnieć, ażeby się nie odnowił, mają też zdechnąć szare dzieci. Wszystko się zawali, wszędzie zapanują rządy kolorowych, to oni stworzą nowy system, ale żeby to nastąpiło, należy znaleźć szarego burmistrza. Dopiero nóż w jego sercu kończy misję, a tym samym rządy śmieci.

Takie same śmieci Michał codziennie ogląda w realu i musi ich słuchać, choć wcale nie ma na to ochoty. Słuchał jednak do dziś, bo coś mu szeptało do ucha,

że lepiej słuchać jeszcze, do czasu aż nabierze ciała, będzie wzbudzał posłuch u słabych, niedołączonych dorosłych i niedorozwiniętych dzieci, ich pomiotów ludzkich, niezasługujących na długie życie, które przypadnie w udziale jedynie jemu, Cezaremu, oraz ich królestwu stworzonemu tylko dla wybranych, których wybierze Cezary, i właśnie do niego musi teraz zadzwonić, aby upewnić się, czy jutro, jak zaplanowali, wcielią swoją misję w real.

Mają już ciała gotowe do ataku w realu, żądne wrażeń bicepsy, tricepsy, mięśnie trygłowe uda, rzeźbę pośladków, potrzebne do utrzymania wyniosłej postawy ciała, na widok której ofiary językiem wyliżą podłogę, zadrzą w swej słabości nieludzkiej, niegodnej życia.

Halo, bracie, to ja, mówi do słuchawki czerwonej, którą przed chwilą nagrzała ciepłem dłoni jego matka Ewa. Kilerujesz już?

No, dobrze, że dryndasz, cieszy się Cezary głosem przechodzącym jeszcze mutację, która go podnieca tak samo jak krew z ekranu, którą ogląda, bo horror właśnie włączył wypożyczony po kryjomu przed starymi, a oni poszli do kina po kolacji, więc może spokojnie oglądać w pokoju. Rozgrzewkę zaraz planują przyjacielu misji, ty też z obowiązku się wywiąż i wytnij parę niedołąg, chłe, chłe, jutro wielki dzień. Zaraz siadam wykańczać śmieci.

A ty? Machnąłeś parę ryjów szarawych? Jutro nam graba nie może zadrzeć przy koszeniu.



Ćwiczę już, miążdżę parchatych, gotowy jestem do misji, damy im w dupę, chłe, chłe, Michał oczy szerzej rozwiera, bez świadomości, że tak się dzieje, bo prawą ręką myszą klika, na prawo i lewo ucinając nędzne głowy, które odpadają z trzaskiem od szyj i rozbryzgują się po ziemi, namalowanej na ekranie monitora, a lewą telefon ściska, palce wbija w jego plastik, w brzmienie głosu przyjaciela losu swego się wsłuchuje, wierzy w powodzenie misji, o czym mówi ściszym głosem, aby wróg nie usłyszał przekłety, matka na przykład, dodaje jeszcze ciszej do plastiku czerwonego, do mikrofonu przeznaczenia.

Opus magnum, mówi Cezary. Siecz ryje, ile wlezie, niech się tapląją we krwi, świnie.

Opus magnum, żegna się z nim Michał. Jutro o dziesiątej, rozgrzejemy się przed piętnastą, chłe, chłe. I trach, podrzyna gardło szaremu, aż mu kapelusze spada w kałużę krwi policjanta zamordowanego przed chwilą.

Jakże mu ten Cezary imponuje głosem niosącym pewność, jakiś szczególny rodzaj przekonania, że wszystko się uda, jakiś zastrzyk opanowania, które pozwala przypuszczać, że będzie dobrym wodzem nowego świata, a Michał jego doradcą, co wymyśla jeszcze doskonalsze sposoby w nowym świecie niż tylko sikanie do zlewu w starym realu.

Cezary odkłada słuchawkę, filmowy horror właśnie się skończył, ale jakiś nudny był, mało krwi się polało, a przed misją jutrzejszą trzeba się potężnie naładować

krwią, nie tak relaksacyjnie, jak na tym horrorze dla niemowlaków jakichś, wyreżyserowanym dla niedorozwojów umysłowych, którzy nie wiedzą, czym jest moc, władza absolutna nad istnieniem ludzkim, kruchym tylko dla tych, którzy władzy nie mają, a on ma przecież i to udowodni już jutro o godzinie piętnastej.

Pukałam, ale nie słyszałeś, Cezary odwraca się od DVD i widzi Sabinę w drzwiach swojego pokoju. Minę ma taką, jakby usłyszała nieprzeznaczoną dla niej rozmowę przez telefon, musiała słyszeć, wścibska, głupia cipa. Jak mogła tu wejść, kto jej pozwolił, pyta Cezary. I po co tu przyszła, wypad, chce jej zatrzaskać drzwi przed nosem, ale ona już nogę między drzwi wsadza i prosi, aby dał jej dokończyć zdanie. Gdy Sabina mówi mu, że zabrał przez pomyłkę z jej biurka pendrive'a, na którym są ważne dla niej pliki, on tylko myśli, czy słyszała, o czym rozmawiał z Michałem. Co słyszała, czy mogło coś do niej dotrzeć przez te drzwi za cienie, jak długo tu stoi, jak długo podsłuchuje?

Oddam ci pendrive'a, jeśli go wzięłam, bo nie wiem, Cezary oczy ma rozbiegane, skupić mu się trudno na jej słowach, w twarz nie patrzy, ale nie dociska już drzwi, tak że ona może wejść swobodnie do pokoju.

Twoja siostra mnie wpuściła, bardzo miła dziewczyna, mówi Sabina. Oddasz mi tego pendrive'a?

No szuka przecież tego gówna, gdzie on mógł go wsadzić, pewnie do pudełka z Windowsem, przez pomyłkę, bo przecież nie ukradł, do kieszeni nie wcisnął,

sprawdza, ma trzy pendrivy, po co mu jeszcze jeden. No, jest, w pudełku leżał, bez sensu go tam zgarnął, pewnie w złości, bo w złości się nie myśli, co się bierze, ale też nie bardzo się myśli, kiedy się nie dostaje, czego się chce, mówi jej, jakby chciał się usprawiedliwić, że zabrał nie swoją rzecz. Więc ona już może iść, najlepiej jak najszybciej, bo jej widok go męczy, uwiera w jajka, po których się drapie prawą ręką, o tak, teraz jakaś ulga chwilowa, ale i tak nie będzie kleić się ta rozmowa, mogłabyś wreszcie się wynieść?

To niełatwe dla niej, przyjść tu po tym, co się wydarzyło w jej domu, ryzykowała, wie o tym, ale nie mogła się powstrzymać, czuła, że coś jej umknęło, że skrzywdziła go słowami, które wprawdzie były odpowiedzią na jego zachowanie, ale ona mogła postąpić z większą rozwagą, nie tak ostro, nawet jeśli on był za ostry, ale przecież nie niebezpieczny, tak grzeczny na co dzień chłopak, tak dobrze o nim mówią inni sąsiedzi, ojciec go chwali, więc bardzo jej przykro, tak nie postępują dojrzałe osoby, nie kierują się impulsem wobec impulsu, ona powinna to wiedzieć, sorry. I pewnie jemu jest przykro - mówi Sabina, nie chciał się chyba tak na nią rzucić, ale okoliczności, zmęczenie, ona to rozumie.

Jakże głupia jest, Cezary uśmiecha się pod nosem, gdyby nie było Marty, dziabnąłbym jej tę chudą szyję. Ta szyja wcześniej wydawała mu się pociągająca, teraz jest obrzydliwa, zapakowana w czarną bluzkę, która nie odsłania obojczyków, nie odsłania też ma-

tego pieprzyka, który on wcześniej dostrzegł, tak mu się podobał, a teraz? Po co tu przyłazła, skoro nic nie ma mu do pokazania, nawet nie potrafi go skusić, aby na nią spojrział, bo znów przyszła gadać, walnięta kretyńka.

Dobra już, dobra, ale wynocha, idź stąd, znów ci się na gadanie zebrało, a ja nie lubię gadać bez sensu, a tym bardziej poważnie nie chce mi się, czaisz to? Po co tu włazłaś? Komputer masz naprawiony, jesteśmy kwita, pendrive'a oddałem, jeszcze coś?

Cezary siada na kanapie i bierze w dłonie hantle. Gdyby tą hantlą teraz rozwalił jej głowę, uderzył tylko raz, tak mocno, tak celnie, w skroń na przykład, skroń by się zakrwawiła, kości zgruchotały pod naporem dziesięciu kilogramów. O tak, jestem tym, co robię, zabijam ją, walę prosto w łeb, który gada, trajkocze, nie zamyka się, wypluwa słowa i zdania, nienawidzę zdań, nienawidzę tego łba, tfuj, zbliż się bardziej, przysuń się do mnie, walnę cię tylko raz, aż głowa odskoczy pod ścianę i zaleje ją krwią. Jestem tym, czego pragnę, no, chodź tu bliżej, abym osiągnął w tym pragnieniu pełnię.

Sabina stoi jednak kilka kroków od Cezarego i obserwuje go, jak ćwiczy, raz jedną ręką dźwiga hantlę, raz drugą. Cóż to za paskudne milczenie jest pomiędzy nimi, tak trudno je znieść obojgu, zwłaszcza że każde chciałoby coś powiedzieć, co skłoni drugie do zrobienia tego, co chce osiągnąć, a to mogłoby przełamać niepokój między nimi. Być może nawet Cezary

nie myślałby teraz o tym, żeby ją zabić, gdyby zdjęła stanik albo najlepiej majtki. Kiedy myśli o jej cipie, przegrywa z myślą o rozwaleniu jej głowy, zdaje sobie sprawę i odkłada hantlę na podłogę.

No, co jeszcze? - pyta i patrzy jej prosto w oczy. W ten sposób chce jej pokazać, że wcale o niej nie myśli, ona nic już dla niego nie znaczy w tej bezna-  
dziennej pozycji stojącej.

W takich sytuacjach jak nasza w moim domu mówi się: pragnę cię, szepce Sabina, i najlepiej jest cierpliwie poczekać na odpowiedź, werbalną albo cielesną, podchodzi bliżej chłopca, o którym wie, że chciałby już stać się mężczyzną, chce go pogłaskać, wyciąga rękę. Nie mogłam odpowiedzieć ciałem i powinienęś to zaakceptować. To przejaw prawdziwej dojrzałości, takich mężczyzn pragną kobiety, ja takiego pragnę.

On cofa się przed jej dłońią, jak zranione dziecko ucieka głową w bok. Tego już chyba za wiele, koleżanko pierdolona, Cezary wstaje z kanapy, co sprawia, że Sabina odsuwa się gwałtownie pod drzwi pokoju. Mogłaby teraz uciec, bo nie wie, co zrobi ten wzburzony chłopak ze swoimi zdenerwowanymi dłońmi, jak zamierza je wykorzystać. On je tymczasem zaciska w pięści: daję ci cztery sekundy na wyjście, bo jeśli nie, walnę cię tą hantlą, pokazuje jak.

Cezary wie, co mówi, już dłużej tego nie zniesie. Uciekaj, mówi jej swoim ciałem, ale usta nie wypowiadają takich słów, są zaciśnięte, zgrzytają zęby, już schyla się po hantlę, bo tylko tak może ją przecież wystraszyć,

skoro nie chciała jego ciała, niech dostanie ciałem obcym, poczuje ból, który teraz go trawi, który tak mu dokucza przez jej tu obecność i nieobecność jego fiuta w jej cipce, jakże potrzebnej mu, czego ona wcale nie rozumie, niech go wreszcie zostawi samego.

Co chcesz zrobić? Boję się o ciebie, boję się też o tego, z którym rozmawiałeś, Sabina otwiera drzwi, aby wyjść. Nie rób jutro nic, czego będziesz żałował, mówi to tak, jakby sama żałowała, że go poznała, bo w ten sposób stała się częścią jego zamierzeń, podejrzewa, a przy tym widzi w nim swoją własną samotność, której groźna twarz odbija się w nim jak w lustrze. Nie rób głupstw z powodu jakiegoś chwilowego pragnienia, którego motywacji nie jesteś świadomy, bo myli ci się świat realny z wirtualnymi podnietami.

Ale co ona może wiedzieć o moich pragnieniach, myśli Cezary, skoro jedno z nich odrzuciła tak boleśnie, nie dając się dotknąć tam, gdzie bym chciał. Jednak ona wie za dużo, zdaje sobie sprawę, ta suka podsłuchała, zna godzinę i miejsce, wtrąca się w opus magnum, podstępem tu weszła i udaje zatroskaną. Gdy Cezary odprowadza ją i zamyka za nią drzwi domu, zdaje mu się, że słyszy jeszcze z ust Sabiny, znajdę cię, zobaczę, jaka to gra i kto w niej wygra.

Chcesz stać się jednym z pionków, które zesrają się ze strachu? Tak mówi chłopiec, którego ręka nie odważyła się podnieść hantli dziś, ale jutro jego waleczność podniesie z beznadziei wszystko, co tylko zdoła udźwignąć umysł.

W tej grze, Sabina podejmuje decyzję, gdy otwiera furtkę swojego domu, nie zamierza być pionkiem, zwłaszcza że nie zapowiada królewskiej gry w szachy.

Cezary musi teraz odpocząć, więc kładzie się na łóżku, aby przemyśleć, co zrobić ze wścibską sąsiadką. Nie trwa to długo, bo w jego szczególnym wieku trwałość czegokolwiek prowadzi do uspienia mózgu, uważa. Dlatego czas się ruszyć i wziąć za przygotowania.

Cezary skanduje swoje imię głośno, wstając z łóżka w swoim pokoju. Przechadza się po nim wzdłuż i w szerz, skanduje jeszcze głośniej, aby usłyszał duch walki jego, walki ze słabymi. To trans wojownika, marsz po pokoju-celi, po pokoju-niepokoju, krok za krokiem, w przód i w tył, o tak, i jeszcze w tę samą stronę, i w drugą, i znów.

Jego pokój ma kształt pociągu, z którego Cezary najchętniej by wyskoczył na peron, gdzie czeka inny pociąg, najlepiej tak szeroki jak boeing, który zabrałby go do wymarzonego królestwa mocy. Cezary obecnego pokoju nie znosi, choć zgromadził w nim wszystko, czego potrzeba walecznemu kreatorowi nowej rzeczywistości, jest przekonany.

Ma różne gatunki broni zrobionej własnoręcznie i na zamówienie, wszystko drewniane, więc niewiele warte i dlatego Cezary nie ma ochoty przyglądać się dłużej tym atrapom. Odwraca od nich wzrok, skupia go na mięśniach, na które pada teraz blask żarówki

niezabezpieczonej kloszem, gdyż klosz poległ niedawno podczas ćwiczeń kopów i wyskoków, a że były one efektowne, nie jego wina, głupi klosz miał pecha, Cezary tylko przez moment pozwala myśli zatrzymać się na kloszu, aby nie tracić czasu przeznaczonego na ćwiczenia fizyczne.

Podnosi ciężarki, dwie hantle po dziesięć kilogramów, i przypomina sobie, że pożyczył dwie hantle po pięć kilogramów temu dupkowi Janowi Majowi, zdrajcy, mięczakowi, który już w Misję grać nie chce, w grę wielkich mistrzów ceremonii przemocy, mocy strachu, bo się wystraszył, że gra go odciąga od jego dziewczyny, dureń jeden, nie wie, co stracił, jutro te hantle Cezary sobie odbierze, mruczy pod nosem, pakuje po dziesięć kilogramów na rękę, wciąż chodząc po pokoju i recytując swoje imię, i słowa opus magnum przez zęby ciskając, jak pioruny dodające mocy wewnętrznemu ogniovi, który go rozpała od środka, roznosi, rozprzestrzenia się na przestrzeń pokoju znie-nawidzonego, pustelni jego przygotowań do zadania ostatecznego ciosu światu zbrukanemu beznadzieją, szkołą, żarciem, starymi, nauczycielami, siostrą tępą, dziewczynami, które niczego nie rozumieją. Kilka z nich jednak sobie zostawi, aby dostarczyły mu przyjemności, gdy obejmie już rządy w królestwie swoim, nie na długo je zostawi, będzie wymieniał je może, a może uśmierci, to jeszcze musi przemyśleć, zastanowić się spokojnie. Pomyśli o tym, gdy już osiągnie cel, który jest na wyciągnięcie ręki, zbawienie duszy



jego, uzdrowienie z tego świata, na którego formę się nie godzi. Jutro tę formę zmieni, oswobodzi siebie, ochroni najlepszych, tych, którzy pójdą za nim, za jego światłem wewnętrznym, którzy je dostrzegą, rozmyśla, wciąż pakując po dziesięć kilogramów na rękę, policzki mu różowieją, ciemne włosy dosięga pot, którego woń wnika w pokój nastolatka.

I gdy rodzice wchodzą do domu, on już pompki z klaśnięciem kończy, na pięćdziesiątej pierwszej się zawiesza, myśli, że jest coraz lepszy, myśli, że już może umyć te pieprzone naczynia po kolacji, które czekają od czasu wyjścia rodziców do kina. Obiecałeś - przypominają, jedno przez drugie paplając, że syn musi pomagać w domu. Matka dodaje, gdy Cezary już myje te naczynia z obrzydzeniem, że obowiązki domowe wykształcą mu charakter, będziesz dobrym mężem kiedyś, uśmiecha się i gładzi go po włosach. On wzdyga się pod jej czułością i mówi, wiesz, mamo, nigdy nie chciałbym być taki słaby jak ty - patrzy jej w oczy, a w rękach trzyma gąbkę do mycia naczyń. A ona nie wie, co oznaczają dla niej te słowa, przykre, niepojęte w jego ustach wykrzywionych, jakby chciały ją ukarać, ale za co, ona nie wie, może za to, że wymaga od niego, co jest dla niej przejawem troski o syna, tak samo wymaga od córki, chce, żeby dzieci dały sobie radę w świecie, gdy już pójdą wyświadczać światu przysługi, porządkować go, objaśniać innym, poznawać jego różnorodne oblicza.

Matka wie, że nie wychowuje dzieci dla siebie, ale właśnie dla świata, dlatego, kiedy syn powiedział jej dwa miesiące temu, że ma lęki, posłała go do psychologa.

Może ten psycholog mu się nie podoba, ale teraz nie może Cezarego o to zapytać, bo czuje, że to nie jest dobry moment, bo teraz, gdy jest taki rozgorączkowany po ćwiczeniach i zły na to, że musi myć naczynia, z pewnością nie odpowie jej na pytanie.

Laura boi się o niego, pełnego lęków, bo przyznał przecież, że je ma, że lęka się dziury ozonowej, odcięcia dopływu gazu, jeśli Rosja kurek zakreśli, boi się terrorystów, hiv i aids, ptasiej grypy, wrzodów żołądka, głodu światowego w obliczu kryzysu, zanieczyszczenia środowiska, skażenia wody pitnej, boi się o siostrę, boi się oglądać wiadomości wieczorem, bo jeszcze bardziej staje się po nich nerwowy.

To wszystko powiedział matce, przyciśnięty dwa miesiące temu do muru, gdy odzywał się opryskliwie, przeklinał pod nosem, a ona usłyszała, zapytała dlaczego, i nie odpowiedział od razu, dopiero gdy drążyć zaczęła, jak czynić nie zwykła dotychczas, o co mu chodzi, co złego mu zrobiła, że mówi do niej spierdaj półgębkiem, w oczy nie patrząc, jak powinien syn ukochany, wykarmiony piersią, wycelowany w niemowlęctwie w każdą część ciała, wynoszony na rękach podczas nocy płaczących. Wtedy jej wykrzyczał, że czuje się zerem, że cały jest strachem, ze strachu

zbudowany, strachem naoliwiany każdego dnia, jak zawiasy, z których wypaść mogą w każdej chwili drzwi do jego wnętrza, że już sił nie ma na walkę ze sobą, że chciałby, aby coś zrobiła, aby ktoś mu pomógł, dał tabletki jakieś, jakiś roztwór, truciznę może, aby skończyła się jego udręka.

I co teraz, po dwóch miesiącach wizyt u psychologa? Cezary wciąż ma lęki? Matka nie wie tego na pewno, ale patrzeć nie może, jak myje te naczynia z niechęcią, wodę rozchlapuje na boki, płynu zużywa za dużo, bo tyle nie potrzeba przecież, wystarczy nalać do zlewu razem z wodą, a nie co chwilę, nerwowo, na gąbkę wylewać. Poucza go w końcu, że inaczej należy myć naczynia, i widzi, jak ust do niej nie otwiera, tylko zęby zaciska, aż szczęka mu fałduje, skóra na nią naciągnięta, cienka, młodzieńcza, blada, jeszcze bardziej się naciąga.

Co ci jest synku, pyta, on burczy, że nic, i wciąż myje talerze, nie odrywając od nich wzroku, oczy jednak mruży, na co dzień takie błękitne, źródlane, takie radosne niegdyś, gdy był małym chłopcem, gdy razem chodzili na spacer, gdy biegał po parku, zachwycając się świeżym powietrzem, kwiatami mleczu, liśćmi topoli, ptakami na jej gałęziach. Wtedy matka czuła, że syn jest jej częścią, dziś traci go niczym zamazujący się w pamięci obraz jego dzieciństwa, dziś jest kimś obcym, już nie w niej, nie przy niej, ale poza nią, poza jej duchem opiekuńczym, który chciałby go chronić w każdej sekundzie, powiedzieć mu, że to

jest dobre, a to jest złe, powtórzyć to, co ona mu niedawno jeszcze mówiła. Ale matka wie, że teraz on nie chce jej już słuchać, że jej słowa nie mają dla niego żadnej mocy, że on tych słów nie usłyszy, bo zagłuszą je słowa rówieśników, gier komputerowych i filmów, które uczą go być tym, kim się staje na jej oczach, kimś, kto wirtualną rzeczywistością zagłusza realne przeżywanie i nie chce słyszeć o wyłączeniu komputera, aż nie przejdzie kolejnej misji i jeszcze jednej, i następnej, i tak do utraty sił, do omdlenia ciała, do końca młodzieńczej wytrwałości nerwów.

Gdy Cezary kończy myć naczynia, ojciec w salonie komentuje z córką wieczorne wiadomości. Cezary słyszy jego słowa, pokój jest najważniejszy, dlatego nie rozumieją tego ani Izraelczycy, ani Palestyńczycy, nie szukają konsensusu, tak, córeczko, konsensusu, ciągle tylko słyszymy słowo „kompromis”, a na kompromisie zawsze ktoś traci, zawsze jedna strona musi z czegoś zrezygnować, a przecież żadna nie chce rezygnować, dlatego się tak nienawidzą, tak mordują. Obie strony muszą chcieć bardzo pokoju, zrozumieć, czym jest konsensus.

Córka nie wie, czym jest konsensus, więc pyta ojca o znaczenie tego słowa, a gdy się dowiaduje, że to porozumienie, które polega na tym, że nikt nie musi niczego poświęcać, aby być zadowolonym, mówi, że to niemożliwe. Nie da się tego zrobić, tato, śmieje się i zawija na palcu jasne włosy, wtulając się w oparcie skórzanego fotela. Tylko ty z mamą możecie się tak

dogadać, bo znacie się dobrze i nie przeszkadza wam, że macie różne pomysły spędzenia wakacji. Mama jedzie nad morze ze mną i Czarkiem, a ty w góry, bo to cię bardziej kręci. I nikt nie cierpi, więc macie konsensus, a wystarczyłoby, aby mama robiła ci wymówki, dlaczego wybierasz góry, skoro ona chce z tobą nad morze, całą rodziną, bo tak powinno być, i byłoby po waszym konsensusie.

No to wtedy szukalibyśmy kompromisu, żartuje ojciec i wyłącza telewizor.

Ale wtedy nie byłoby pokoju, bo każdy by czuł, że coś stracił, że coś musi poświęcić, aby zadowolić drugiego i czułby się sfrustrowany, przegrany, tryumfuje córka.

Z tego właśnie biorą się wojny, przyznaje ojciec i wyciąga z szafy swoją gitarę.

Matka w kuchni próbuje zapytać syna, czy pamięta, że jutro ma fakultet z wuefu. Ojciec mówi córce, że na sytuację w Strefie Gazy niewiele można poradzić, bo to konflikt trwający od wieków, że muszą się w końcu kiedyś dogadać, a jak nie, to wytną się w pień, po czym zaczyna grać, porusza struny łagodnie najpierw, coraz mocniej i mocniej, i znów łagodnie, znów ciszej, po czym bardziej stanowczo i rockowo, muzyka już rządzi w całym mieszkaniu. Cezary mówi matce, że pójdzie tam, pójdzie do tej głupiej budy i wie, że musi iść, że nie trzeba mu ciągle przypominać tego samego. Dodaje, że nie może już słuchać tych dźwięków ojca, że to kaleczy mu uszy, że struny pęknąć powinny na

oczach Marty, bo ojca nic nie obchodzi, że w Strefie Gazy znów jest jatka, nie obchodzi go, kto zaczął, czy Żydzi, czy Palestyńczycy.

Niech ojciec przestanie wreszcie grać na tej gitarze, mamó, Cezaremu znów zaciska się szczęka ze złości. Świat się wali, a on gra na gitarze. Zawsze taki był, słaby, inni rządzą, a on manifestował, że czegoś nie chce, że mu się nie podoba. Żal się robi. Idę do siebie.

Matka, po chwili osłupienia z powodu wypowiedzianych przez syna ostrych słów, idzie za nim do pokoju, ale gdy jej palec chce zapukać w drzwi, Laura już wie, że nie uda jej się dziś porozmawiać z synem, że przegrała z grą komputerową, która już zapowiada swoje rządy dźwiękiem mieczy, bryzganiem krwi, płaczem mordowanych dzieci, podistów, które syn uśmierca kliknięciem komputerowej myszy.

Już Czarek nie słyszy ojca grania, już mu ono nie przeszkadza, już dźwięk nie kaleczy mu uszu, bo teraz ma w słuchawkach jedyny dźwięk, który koi jego nerwy. To odgłos zemsty na słabych, których obraz zamazuje się pod mieczem jego cierpienia, jego nienawiści do świata marionetek, zasad, norm i przywilejów dla ułomnych. Ich koniec jest nieunikniony i Cezary to wie, gdy atakuje potwory na ekranie komputera, gdy ekran jest jego jedyną perspektywą, ale nowy początek, który wprowadzi, również jest nieuchronny, już jutro sprawi, że zacznie się inny świat, już jutro nastanie świat stworzony przez niego, zapoczątkowa-

ny przez jego spektakularny czyn, symbol jego mocy, siły wewnętrznej, sprawczej. Jutro należeć będzie do niego, jak żaden inny dzień przedtem, bo jutro on udowodni, jak łatwo można znieść prawo ustanowione przez kaleki realu.

O północy matka puka do drzwi Czarka i prosi, aby wyłączył komputer, bo rano musi iść do szkoły.

Laura jest senna, już chce zasnąć w sypialni, u boku męża, który właśnie był się wysikać i z ulgą opróżnionego pęcherza przykrywa się kołdrą do pasa, zaczyna czytać i czeka na żonę z rozpiętą górą od piżamy.

No chodź już, nie stój pod jego drzwiami, nie stój tak, jak nie posłucha, wyłączę prąd, Dawid pokrzykuje na żonę, zapina guziki od piżamy i nie odrywa wzroku od książki. Ileż można mówić i prosić, on wie, że jak będzie grał tak długo, wstanie rano nieprzytomny.

Ależ nie mogę go tak zostawić, nie mogę spać, kiedy on gra i gra, spać nie mogę, Laura traci cierpliwość, w oczach łzy jej się błyszczą, połyskują w świetle lampy wiszącej w przedpokoju, ale wypłynąć nie chcą. To łzy bezradności matki, która boi się wejść do pokoju syna, aby nie zaznać jego furii, nie dostać w twarz krzykiem zniecierpliwienia, bo przeszkadza, a przecież nie powinna się wtrącać, bo Cezary ma swój rozum, tak jej zawsze powtarza, a ona nie wierzy, bo nie ma podstaw, aby wierzyć, bo widzi, że oddaje się po nocach uzależniającej rozrywce.

Idź, zrób coś. Laura wchodzi do sypialni i siada zrezygnowana na brzegu łóżka.

Co mam zrobić? Dawid odkłada na bok książkę. Mogę tylko wyłączyć prąd, mówi wściekły, i chce wstać z łóżka.

Nie rób tego, nie wyłączaj, prosi matka i łapie męża za nogę. Będzie nas nienawidził, znów awantura, nie chcę awantury, nie chcę krzyków w nocy, sąsiedzi już się nasłuchali, gdyśmy próbowali, a próbowaliśmy nieraz, odciągnąć go od komputera, ileż razy go odciągaliśmy?

No to daj sobie spokój. Dawid chowa nogi pod kołdrę i bierze książkę. Jutro go rano zerwę z łóżka, żeby nie pomylił mu się dzień z nocą. Jak zaboli go przebudzenie, a musi, bo pewnie spędzi tę noc przed komputerem, to odechce mu się następnym razem tak długo siedzieć.

Ale tak już robięś i nic to nie dało, nie wydarzyło się nic, nie zadziało. Laura wsuwa się pod kołdrę, ale czytać nie chce, nie może skupić się na śnie, bo sen odszedł od niej zbyt daleko, w pokoju syna usiadł, pilnuje go, nasłuchuje, namawia, położy się do łóżka, chce szepnąć dziecku do ucha, nie męcz tak ciała, umysłu nie katuj, emocje oszczędź, proszę cię.

I tak matka leży długie godziny i słyszy te dźwięki dobiegające do niej nawet przez słuchawki, które syn ma na uszach, dręczące ją jak koszmar nocy nieprzespanej.

Ojciec już chrapie z książką na piersiach, więc matka nie chce go budzić, bo wie, że ciężko pracuje, sumienia nie ma go namawiać, aby poszedł porozma-



wiać z synem. Jutro porozmawia, jutro po powrocie ze szkoły, do której Czarek pójdzie trochę sportu zażyć, wylecą z niego te bity szkodliwe, potwory zabijane, mózg przewietrzy sobie dziecko i na obiad wróci w lepszym nastroju, porozmawiają po deserze, po puddingu jego ulubionym, czekoladowym, ustanowią jakieś zasady korzystania z komputera, bo nie może tak być dłużej, aby komputer rządził jego życiem i całą rodzinę męczył swoją obecnością. Tylko jak będzie z nim rozmawiała? Nie wie jeszcze, nie ma pojęcia, jak mu powiedzieć, co czuje, gdy on zatracą się w grach komputerowych, których atrakcji nie rozumieją ani matka, ani ojciec. Nie chcą na nie patrzeć, nie chcieli ich nawet synowi kupić, ale tak prosił, namawiał, tak obiecywał, że będzie się starał nie przesadzać z granicami, że nadal będzie się dobrze uczył. No i przecież uczy się na samych piątkach, pretensji do niego mieć nie można, tylko o jedno można, że tak bardzo przejmują się wszystkim, że wszystko chciałby zmienić, tak jak zmienił swoje uszy.

Dała mu przecież na operację, odkładali z ojcem, chcieli mu pomóc, bo mówił, że ich nienawidzi, swoich uszu odstających, wstrętnych, że przez nie nikt go nigdy nie pokocha. I już mu nie odstają, tylko dlatego musiał dojrzeć te małe kreseczki, blizny po operacji, których normalni ludzie, jak matka, ojciec i siostra, wcale nie widzą, nie rzucają im się w oczy, niczyj wzrok podczas rozmowy na tych kresczkach się nie zawiesza, ale Cezary myśli, że wszyscy je dostrzegają.

ją, że to jest jego przekleństwo, szpetota jego twarzy uprzykrzonej.

Dlaczego on tak się przejmuje? Matka zasnąć nie może, przewraca się z boku na bok po pościeli białej. Sen wciąż jest od niej daleko, nawet o trzeciej nad ranem, gdy już ucichły dźwięki z komputera, gdy już usłyszała odłączanie sprzętu od prądu i gaszenie światła w pokoju dziecka. Dopiero o czwartej nad ranem usypia, ale jest to sen niespokojny, który nie może ukoić jej myśli o jutrzejszym dniu, nie może dać upragnionego spokojnego oddechu, jaki miała, gdy urodził się Cezary, gdy po raz pierwszy otworzył oczy i spojrzał na nią ich głębokim błękitem, budząc w niej instynkt.

Matki instynkt znów budzi się rankiem, aby zrobić Cezaremu kanapki, które syn zabierze ze sobą na fakultety. Zje je po ćwiczeniach, aby nabrać tęczy, sił potrzebnych do dobrego nastroju, który będzie miał, gdy wróci do domu na obiad, na deser ulubiony.

Kiedy ojciec budzi syna twardo jeszcze śpiącego, matka nasłuchuje, jak to ojcu wychodzi. Zanim wszedł do pokoju syna, matka prosiła ojca o łagodność, bo łagodność łagodzi stresujące życie nastolatka, przypomniała ojcu słowa psychologa, który zajmuje się Czarakiem. Ojciec łagodny jest z natury, ale nie zamierza odpuszczać synowi rankiem, delikatnie ściąga z niego kołdrę, ale stanowczo każe mu wstać i iść do szkoły. Syn burczy pod nosem, ale wstaje, bo wie, że jeszcze musi posłuchać, a od niesłuchania dzięką go już

tylko godziny. Matka cieszy się w duchu, że ojcu dobrze poszło, ojciec uspokaja matkę w kuchni, że nie jest źle, bo Cezary wstał, więc ma poczucie obowiązku, dobrze wpojone przez ojca.

No, odsuń się, kurwo, Cezary przepycha się z siostrą w łazience. Zamyka się na klucz i pokazuje Marcie środkowy palec przez szybę. Ona nie może tego zobaczyć, bo szyba jest karbowana. Siostra mówi mu cicho, że jest debilem i powinien się leczyć, a brat tryumfuje, bo powiedział jej ważne słowo, które wyraża jego stosunek do niej, głupiej kurwy, a starzy nie słyszeli.

Cezary już dawno nauczył się mówić do siostry słowa, które miały jej uzmysłwić, kim jest, tak cicho, aby starzy nie słyszeli. Tak samo mówił do dziewczyn w klasie, tych, które nie wpadały w zachwyt na jego widok, co Cezary potrafił wyczuć natychmiast od czasu, gdy Patrycja w szóstej klasie nazwała go najbrzydszym chłopcem, jakiego kiedykolwiek widziała. Podobała mi się ta dziwka, mówił Michałowi, a ona tak się zachowała, zupełnie jak głupia wychowawczyni w trzeciej klasie, bo nazwała go wiejskim bobkiem, któremu słoma z butów wystaje. Za co go tak nazwała, już Cezary nie pamięta, ale fakt, że tak zrobiła, kazał mu nienawidzić jej do końca życia i pierwszą uśmiercić, kiedy już będzie miał władzę. Poderżnie jej gardło szybko, precyzyjnie, bo nie będzie mu się chciało poświęcać jej więcej uwagi. W ogóle będę musiał rozliczyć się ze szkolnymi oprawcami, planuje pod

prysznicem w sobotni poranek, i zrobi to sukcesywnie, wraz z możliwościami rosnącymi z dnia na dzień podczas władania światem. Sabina Krop też dostanie za swoje, ale myli się, sucz, że trafi do lasu, w którym Cezary z Michałem umówili się dziś z dziewczynami.

Cezary namydla ciało trzy razy, bo to przynieść ma mu szczęście dzisiejszego dnia, tak jak zamyka trzy razy drzwi każdego ranka przed wyjściem do szkoły, co chronić ma jego rodzinę przed złem, przynosić jej bogactwo, aby matka miała dla niego najlepsze kąski ze świata materii, ważnego dla posiadających władzę, takich jak on.

Cezary nie wyobraża sobie, żeby kiedykolwiek jeszcze matka zajechała po niego pod szkołę starym samochodem, jakim przyjechała w czwartej klasie, przez co musiał chować twarz za tornistrem, wstydzić się przed całą klasą. Na razie wszystko układa się dobrze, jego czary działają, bo dzięki temu, że zamyka drzwi trzy razy, dostał już komputer z pamięcią cztery giga ramu i nową play station, ma też markowe dzinisy, aż trzy pary, i markowe adidasy oraz bluzy, które wzbudzają podziw kolegów.

Gdy wychodzi wreszcie z łazienki po czterdziestominutowym jej zajmowaniu i nie może znaleźć swoich markowych skarpetek, krzyczy z pokoju do matki, aby pomogła mu ich szukać. Matka też ich nie znajduje, więc podaje mu zwykłe, mówiąc, że są ciepłe, a ojciec dziwi się, jak można przywiązywać tak dużą wagę do rzeczy tak mało ważnych, i że szkoda pieniędzy na

takie skarpetki. Matka w przedpokoju głaszcze ojca po policzku: My tego, kochanie, już nie zrozumiemy. Syn uderza w jej słowa słowami: Nie masz żadnej władzy, kobieto, ale ona tego nie słyszy, bo on oddala się do schowka z bielizną i przetrząsa go w poszukiwaniu markowych skarpet. Znajduje je w chwili, gdy matka podaje mu bułki z sałata, serem i szynką. Wyszła po te bułki specjalnie rankiem, kiedy jeszcze wszyscy spali, mówi, bo wiedziała, że będzie to miłe dla męża i zdrowe dla syna. Poza tym dzisiejszego poranka była jej kolej, dwa dni wcześniej po bułki był Cezary, wczoraj zaś jego ojciec.

Syn wrzuca bułki do plecaka, nie mówi dziękuję, tylko pyta, z czym są, dowiaduje się, że z tym, co lubi, więc mówi nara, słyszy, że na obiad jego ulubione zrazy i kluski, więc ma się nie spóźnić, mówi spoko, wrzuć na luz, w nowomowie bowiem znajduje jedyny sposób na zakończenie z matką komunikacji, której sobie nie życzy, ona mówi smaruj wrotki, w nowomowie bowiem poszukuje komunikacji z synem, której pragnie, po czym Cezary wychodzi z domu, do którego już nigdy nie będzie mu dane wrócić.

W domu Grunwaldów rozpoczynają się sobotnie przygotowania do obiadu z nadzieją, że zjedzą go wspólnie, tak jak wspólnie wychowują dzieci, które kochają i których szczęście jest dla nich najważniejsze.

**WYBIERALI SIĘ DO TEATRU,  
GDY PRZYSZLI TO ZROBIĆ**

No, w którym krawacie będzie mi bardziej do twarzy, Gerard Maj stoi przed lustrem w sypialni i pyta żonę Teresę o to, na czym się zna. Jakże przytulne to ich gniazdko. Na podłodze leżą białe, miękkie dywany, lampy pulsują białym światłem i białe firany otulają okna niczym długie rzęsy duże oczy, które patrzą na ich zadbany ogród, gdzie mąż z żoną odpoczywają, gdy tylko sprzyja temu pogoda. Ona dba o kwiaty, on o to, aby miała je za co kupować, gdyż wie, jak ona je uwielbia, kiedy jej pachną pod nosem sypialni, wprawiają w dobry humor, co pozwala jej cieszyć się także mężem, ale nie teraz, bo teraz marudny jest, głowę jej zawraca, a ona przecież leży w białej sypialni, otulona światłem i spokojem drewnianych, jasnych mebli, i czyta.

Doradź mi szybko, no, powiedz już, bo jeszcze muszę skończyć sprawozdanie, niecierpliwi się mąż, który krawat? Wyciąga ręce z krawatami w oczekiwaniu na odpowiedź.

Ojej, przecież sam potrafisz, żona nie odrywa wzroku od kobiecego pisma, daj mi dokończyć.

Gerard patrzy w lustro. Ma na sobie tylko białą koszulkę na ramiączkach, nie zakłada jeszcze koszuli, gdyż golił się przed chwilą i nie chce, aby krew z małego zacięcia pobrudziła biały kołnierzyk. Ten mężczyzna zdaje sobie sprawę ze swojej nieuwagi w codziennych sprawach, ale wie, że w życiu zawsze jest coś za coś, jeśli bowiem pracuje się głową, nie można jej przeciążać takimi głupstwami jak codzienne ubieranie się stosownie do sytuacji, mizdrzenie się do lustra i pilnowanie, aby w pośpiechu nie pobrudzić koszuli. To pośpiech właśnie jest piętą achillesową Gerarda, architekta cieszącego się opinią człowieka punktualnego i dotrzymującego terminów, mającego wpływ na wygląd dwustutysięcznego miasta, w którym mieszka i którego wygląd podziwia, bo włożył weń kawał dobrej roboty, jest tego, nie bez racji, pewien.

Teresa jest panią domu, ale i panią wyglądu Gerarda i ich syna, siedemnastoletniego Jana, dlatego to do niej należy dobranie dziś krawatu mężowi, z którym idzie wieczorem do teatru. Po raz pierwszy idą do teatru marionetek, w którym zobaczą przedstawienie kukielkowe dla dorosłych. To interesująca propozycja, gdyż każde z obojga małżonków zachowało w sobie jeszcze piękne wspomnienie z dzieciństwa, w którym szmaciane lub drewniane postaci pełniły rolę bezpiecznych przytulank, pozwalały zasnąć i obudzić się w znanym towarzystwie z ulubionych bajek.

No więc, jaki krawat mam założyć, Gerard przykłada do szyi krawat w kolorze czerwonym, ale w drugiej ręce trzyma żółty, w zielone, geometryczne wzory. Teresa jest pewna, że w czerwonym będzie mu bardziej do twarzy, bo czerwony podkreśli jego masywną, bardzo męską szczękę i ciemny zarost, który Gerard zostawia jedynie na brodzie i nad górną wargą. Mówi mu, co myśli, ale nie rusza się z łóżka, bo przecież czyta magazyn dla kobiet, w którym szuka inspiracji na wieczorny makijaż. Leży w białym szlafroku, z odsłoniętymi nogami i na wpół obnażonymi piersiami, widocznymi spod koronkowej koszulki, wciąż wystawiona na pokuszenie męża, który nie chce się skusić, bo ma co robić przed spokojnym pójściem do teatru, więc ją prosi, aby zakryła nogi, a jeszcze lepiej i piersi, bo nie może się skoncentrować i nie będzie mógł przy biurku, gdy będzie pisał sprawozdanie o odrestaurowanych budynkach, bo wciąż będzie myślał, co stracił w sypialni.

To wezmę czerwony, ale zakryj się wreszcie, przecież Jan tu chodzi przy naszej sypialni, mówi Gerard, szybko jednak decyduje się odrzucić krawaty na bok, tak, że te upadają bezładnie na krzesło, i wskakuje na łóżko, aż spada z niego pled i napięcie z męża, który pragnie natychmiast wtulić się w nogi żony. Ależ z ciebie kusicielka, całuje jej stopy, z których spadają teraz niebieskie domowe pantofle, jak nie chciałaś się zakryć, to teraz musisz ponieść konsekwencje. Teresa śmieje się, bo pocałunki z brodą łaskoczą jej ciało



zamiast łaskotać jej podniecenie. Zwija w rulon magazyn dla pań i wali nim męża na oślep, zachowując przy tym wszelką ostrożność, aby go nie bolało. Tylko ona wie, jak rozbudzić go jeszcze mocniej, pokazując mu, że na niczym, o czym on myśli i czego pragnie w tej chwili, jej nie zależy. Oto prawdziwa kobieta, przekonany jest mąż, wie, jak rozmawiać z mężczyzną, z którym się liczy. Jej odczep się, odczep się wreszcie, brzmi mało przekonująco dla kogoś, kim jest zdecydowany Gerard, więc mąż wtula się jeszcze mocniej, przywierając palcami do jej wypiełgnowanego ciała, nie wij się tak, wężycy moja kochana, czas nam zabierasz, sami przecież nie jesteśmy, drzwi może zamknę, podnosi się, zostawiając ją na posłaniu wśród pogniecionych poduszek i pogniecionej gazety. W ruchach jego jest tyle męskości, pewności w stawianiu kroków, pożądanej przez dojrzałą kobietę, która rozkwitła przy nim przez dwadzieścia lat w stabilnym domu, który on jej na co dzień gwarantuje, dlatego chętnie odda mu się natychmiast i zaspokoi jego żądze, gdy tylko on podbiegnie do niej, jak zamknie drzwi, jak znikną jej z oczu jego poślądki, o których myśli teraz, gdy widzi go, jak chwyta za klamkę, aby zadbać o małżeńską intymność.

Czy mogę pograć, tato, w progu staje Jan, ich drobny syn, wpatrując się w ojca oczami matki, bo tak bardzo są do niej podobne, przenikliwie brązowe, duże i dobre, więc ojciec nie chce utracić dobroci ich spojrzenia, a wie, że tak mogłoby się stać, gdyby teraz pozwolił

mu zagrać, przesycić mózg młody przesadą, choć sam chciałby teraz przesadzić, gdy spogląda to na syna, to na żonę, zgodzić się, bo kusicielka czeka wygnieciona przez niego wstępnie, na poduszkach i z wymiętym dla pań magazynem, ale Jan grał już przecież dwie godziny, a tyle tylko może dziennie klikać, więc nie, mówi Gerard, dla którego zasady nie podlegają dyskusji, a najważniejszą zasadą wychowawczą jest dwugodzinnna tylko gra na komputerze i żadnych ustępstw. Żegnaj więc, kusicielko, decyduje mąż mówiąc żonie głośno, że z namiętności nici, bo drzwi teraz nie zamknie przed nosem dziecku, które musi znaleźć sobie jakieś zajęcie, bo zajmować nie może się hyle czym jak tracenie czasu przy komputerze.

To co mam robić, tato, nudzę się, Jan pyta o coś, co ojciec przewidział, i dlatego natychmiast znajduje mu zajęcie, czytaj, mówi i odwiesza krawaty na miejsce do dębowej szafy, do której także chowa wyprasowaną przez żonę białą koszulę. Nie lubi, gdy sypialnia staje się widoczną garderobą, nawet jeśli za cztery godziny wychodzą z żoną do teatru. Porządek jest ważny ze względu na przewidywalność uporządkowanych rzeczy i spraw, o czym ojciec mówi synowi, nakazując mu uporządkować szafę w swoim pokoju i przeczytać dwa rozdziały zadanej w szkole lektury. Na razie więc ani ojciec, ani syn nie osiągają swojej przyjemności. Na zegarze w salonie na dole wybija piętnasta.

Za dwadzieścia minut Jan będzie kończył pierwszy rozdział książki, która go nudzi i marzył o grze, której

mu zabronił ojciec w obawie przed zakłóceniem ustanowionego porządku. Gerard kończąc w salonie swoje sprawozdanie, będzie myślał o żonie w sypialni, która starając się wygładzić magazyn dla kobiet, będzie myślała o wspólnym wieczorze z mężem, którego nie zakłóci powinność wobec syna, który będzie już spał po przeczytanej lekturze, gdy wrócą z teatru. I nic nie zmienić ma tego stanu rzeczy, bo mąż i ojciec przewidział, że syn, podczas nieobecności rodziców, może zbuntować się na panujące porządki i próbować uruchomić komputer. Tak jednak stać się nie może, bo znane tylko ojcu hasło uratować ma duszę dziecka.

Wszystko więc w tej rodzinie jest zaplanowane przez ojca i wszystko to ma doprowadzić do spełnienia rodzinnych pragnień - zawieść matkę do ojca, ojca do matki, a syna do lepszej edukacji poprzez wyznaczone zadania, tak jak wyznaczał je dziadek architekt i pradiadek architekt, co uchroniło ród Majów przed popełnianiem zaniechań i błędów prowadzących do konsekwencji, które słabi, pozbawieni silnej woli ludzie, odczuwają do końca życia.

Jeden fałszywy ruch w dobrze przygotowanym planie i życie zmienić może swój tor, uznaje ojciec i idzie prosto do drzwi wejściowych, bo właśnie rozległ się dzwonek.

## ROZWIĄZANIE KWESTII SŁABYCH

Sabina Krop czeka już pół godziny na skraju lasu, gdzie umówili się wczoraj na dziesiątą Cezary z Michałem. Schowała się za drzewem, ma przy sobie lornetkę, aby dobrze widzieć wszystko, co zaraz może się tu wydarzyć. Nikt jej nie powinien tu zobaczyć, co ją podnieca, ale i przestrasza, i śmieszy chwilami, bo jakże można stać od godziny za drzewem, robić z siebie idiotkę, naiwną jakąś pannę, której się здаje, że zapobiegnie tragedii. Ale jeszcze wierzy, że nie wszystko stracone, więc czeka. Samochód zaparkowała w pobliżu, przy miejskim szpitalu, tak, aby nie było go widać od strony wejścia do lasu. Idzie ktoś, dwie postacie w bluzach, kaptury zakrywają im głowy, zbliżają się do drzewa, przy którym Sabina wierci się już niespokojnie, bo stoi już zbyt długo w oczekiwaniu, że coś się wydarzy. Dwie postacie rozmawiają głośno, dzielą się papierosami, chichoczą, spluwają, tak

drażni ich ślina z nikotyną, do której nie są jeszcze przyzwyczajone ich młode organizmy.

Co to za fajki bez filtra, mówi jeden z nich i nie jest to Cezary. Takie gówno tylko udało się zdobyć, z kieszonkowego trudno kupować markowe szlugi, mówi drugi, którego głos również nie należy do Cezarego. Przez lornetkę Sabina potwierdza przypuszczenie, że to nie są ci, których chce śledzić, bo widzi kawałek twarzy zakapturzonych młodocianych palaczy, którzy oddalają się ścieżką w lewo.

Trzeba chyba wiać z tego lasu, ale jeszcze chwilę, jeszcze pięć minut, a później pojedzie do innego, poszuka ich, liczy na szczęście w tych poszukiwaniach, bo jak można znaleźć kogoś, jeśli nie wie się, gdzie szukać, zwłaszcza że wśród gęstych drzew łatwo zabłądzić. Tak gęsto rosnące drzewa są jak ludzie, tyle ich jest, są tak blisko, tworzą las, jak ludzką masę tworzą jednostki, a jednak każda rośnie osobno do momentu stania się okazem i wtedy wszyscy widzą, co z niej wyrosło.

Mija kolejne pół godziny i gdy Sabina już traci na dobre cierpliwość, znów widzi, że do lasu wchodzi dwie osoby. To dziewczyna i chłopak, który w ruchach przypomina chyba Cezarego. Tak, to musi być on, tak wozi się od prawa do lewa i co ta dziewczyna tak się go uczepiła, Sabina już lornetkę przystawia, aby przybliżyć sobie zbytnią bliskość tych dwoje. W tym momencie jednak dziewczyna uczepia się ust chłopca, zakrywa mu głowę splecionymi rękoma,

jeszcze do lasu nie weszli, a już go całuje, jaka sprytna, jaka łatwa, tak łatwo chce się oddać, jakby miała coś specjalnego do oddania temu chłopcu, który już ją łapie za pośladek, za pas, za biust, i w pół wygina, jakby tańczyć z nią chciał, rozruszać, zanim w lesie na dobre rozłoży jej nogi na boki. I gdy chłopiec podnosi głowę z tego tańca, który zapewne jest ich tańcem godowym w ukryciu przed rodzicami, Sabina z rezygnacją odsuwa lornetkę od oczu. To nie Cezary, nie jego widzi w tym tańcu, teraz to naprawdę czas się zbierać, niech tylko maolaty roztańczą się na dobre w głębi lasu. Weszli, zniknęli, więc i ona chce już stąd odejść, zła, że nie ujrzała sylwetek chłopców, którzy już w innym miejscu odwalają jakiś numer, jest tego pewna. Dlaczego chłopcy umówili się rankiem, czym jest opus magnum i o co chodzi w tej grze, którą chcą rozegrać w realnym życiu? Zerka nerwowo na zegarek i coraz bardziej niepokoi ją spokój wokół. Żaden człowiek tędy nie idzie, żadne zwierzę nie biegnie, tylko czas mknie szybko, ale z tego jak na razie wynika tylko tyle, że Sabina ten czas traci, a w jakimś miejscu, w otoczeniu drzew, dzieją się rzeczy, które ona musi zobaczyć, przeszkodzić temu, co może się stać. Nie po to wstała tak wcześnie, zmoczyła buty poranną rosą, oj, jak mokro w butach ma, jak zimno, do diabła, przestępuje z nogi na nogę.

Mogli wejść od innej strony do lasu, ale to mało prawdopodobne, rozważa pod nosem, gdy ręce opiera na biodrach i rozgląda się wokół jeszcze raz. Mogli też

zmienić godzinę albo wybrać inny las, cholera, właśnie, inny las. Patrzy znów na zegarek, bez sensu tak długo tu czekać, pędzi do samochodu, lornetka podskakuje jej na piersiach, uderza nawet zbyt mocno, tak że musi złapać ją w dłonie, aby osłabić moc uderzeń.

I gdy dobiega do samochodu zaparkowanego pod latarnią nieopodal szpitala, znów widzi młodych zakapurturzonych chłopców, czterech ich idzie, śmieją się. Jeszcze jej nie widzą, więc kryje się za swoim samochodem po stronie pasażera, przez szybę obserwuje znów, czy to twarz Cezarego, ta najbardziej roześmiana, choć śmiać się nie ma z czego, tak głupią prowadzą rozmowę, jej zdaniem, tak walą na oślep słowami, jak ślepakami lufy karabinów maszynowych, które muszą sobie postrzelać, bo do tego zostały stworzone.

Czterech chłopców, najprawdopodobniej w wieku Cezarego, przystaje blisko samochodu Sabiny. Widzi ich teraz jak na dłoni, a oni wciąż jej nie dostrzegają, tak dobrze się ukryła albo tak bardzo są zajęci tym, o czym mówią. Dresy mają na sobie, kolorowe, z zamkami błyskawicznymi, wiszące na ich wydrylowanych z mięśni sylwetkach, dresy za duże, jakby szyte na starszych braci, góra i dół niedopasowane do siebie, tak jak nie pasuje jeden drugiemu, ale to, co robią i jak mówią, pasuje do dresowego stylu, którym chłopcy chwają się jeden drugiemu. Dresiarstwo jest sublimacją niewysublimowanych potrzeb, o czym Sabina wie, bo gdy jej potrzeby stają się bardziej wysublimowane, zmienia swój strój i język na ascetyczny - jak najmniej

szczegółów, jak najmniej słów, które rzucać się będą w oczy i w uszy, by nie wędły w uszach innych i nie odwracały wzroku od przesady.

Kupę muszę, mówi jeden.

A drugi, że zaraz las będzie, więc niech poczeka jeszcze trochę, tu wszyscy czekają też, aż reszta dojdzie.

A kiedy reszta dojdzie do nas, pyta trzeci.

Jak się wysram, mówi pierwszy.

Po twoim sraniu, śmieje się czwarty, już nikt do lasu nie wejdzie, tak jak nie wejdzie nikt do twojej chaty śmierdzącej gównem.

Gównem to śmierdzisz ty, pojebie, i cała twoja rodzina z klasy robotniczo-chłopskiej, co się przez przypadek znalazła w mieście, śmieje się pierwszy, wykazując się znawstwem terminologii klasowej, co ma go teraz wywyżżyć przed kolegami, bo wie więcej niż oni, i dodaje jeszcze, że nie wytrzyma tak tu stać, bo sranie nie wybiera godziny, podobnie jak człowiek nie wybiera sobie rodziny, w jakiej się urodził, więc nie łam się, stary, wybaczam ci pochodzenie, każdy zasługuje na pierdolenie.

To będziemy w lesie bzyk, bzyk, pyta drugi i łapie trzeciego kolegę od tyłu, udając, że robi mu to, o czym wszyscy już mówią i myślą.

Trzeci na to zadowolony: O, bzykanie jest równie przyjemne co sranie.

A komu stanie, jak nie młodzieży stanie, czynność fizjologiczna, automatyczna, wrodzona, nienasycona,



normalna potrzeba z osiedla pojeba, rymuje pierwszy, który właśnie zaczął przebierać nogami, do lasu muszę biec - krzyczy.

I wszyscy zanoszą się znów śmiechem, tak ich ta seksualność z fizjologią rozbawiła, takie to naturalne dla nich, bez granic jest ta rozmowa, bo komu granice są potrzebne, gdy zdrowo jest je przekraczać, bo tylko wtedy ma się dobry humor, zwłaszcza że cztery dziewczyny już się zbliżają, równie głośno się śmieją, też o fizjologii i seksualności dużo wiedzą, lubią takich chłopców i takie stanie pod lasem otoczonym blokami.

Podchodzą do chłopców panny osiedlowe.

A ty, Marek, co? Znów ci tylko jedno po łbie się kotłuje? Mała blondynka pyta tego, który przebiera nogami. Ona więc deklaruje, że ulży mu w cierpieniu, ale najpierw wali go w łeb, który trzeba obudzić, bo w uśpieniu był za długo, do teraz jest uśpiony, dlatego wali go znów, mówi mu, w końcu miał zadzwonić, a nie zadzwonił o umówionej godzinie. Z czasem trzeba się liczyć, a nie, żeby dziewczyna musiała dzwonić do innych i pytać, o której ma przyjść.

Ten łeb mógłby być łbem Cezarego, przygląda się Sabina, ale dojrzeć go zza szyby nie może dokładnie i zza kaptura chłopaka. Z głosem też coś nie tak, inaczej mutację przechodzi, choć mówi w podobny sposób, nie licząc się ze słowami, ale licząc minuty spóźnienia małej blondynki, no bo skoro już się dowiedziała, o której się spotykają, powinna stawić się

o czasie, a nie, żeby on czekał tak długo ze swoją potrzebą fizjologiczną i męczył się psychicznie też z powodu martwienia się o nią, do lasu wejść nie mógł, z szacunku do niej, bo czeka.

Dopiero gdy blondynka ściąga mu gwałtownie kaptur i znów wali go w łeb, Sabina widzi, że nie jest to twarz Cezarego.

No za co mnie lejesz, lejesz za co? Pyta on, walnąć cię też? Zaciska pięść, ale nie wali, bo jednak musi do lasu, szybko, już nie wytrzyma, ale jak skończy z tym, co go gniecie, to się z małą blondynką rozprawi, już on jej pokaże, kto tu rządzi, auu, do lasu muszę, i biegnie, a za nim cała gromada ze śmiechem.

Czekajcie chłopcy! Sabina wychodzi z za samochodu.

Skąd ona się tu wzięła, obraca się zgraja, tylko nie ten, który już biegnie szybciej, bo musi, za potrzebą.

Kto pani?

Jak pani?

Skąd się tu wzięła? Dziwią się.

Znacie Cezarego Grunwalda? Umówił się tu z wami? Podchodzi do chłopców, a jej podejście jest ostrożne, jakby się bała, że któryś rzuci się w jej stronę, bo agresywni są w tym swoim rozchichotaniu, w tej non-szalancji blokarskiej, z zaciśniętymi pięściami.

A kto to?

Co z nim?

Nie znamy.

Nie znam ja.

Ani ja.

Ani ja.

Każdy po kolei się dziwi, bo pierwszy raz słyszą to nazwisko, łby w kapturach ciemnych.

Szpieguje nas pani czy co? Pyta drugi.

To teren prywatny, wstęp tu wzbroniony jest dla obcych, a pani obca jest, nie przyjmujemy tu z innych osiedli, lepiej się stąd zabieraj, paniusiu, z tą lornetką, mówi trzeci.

Czwarty jest jednak innego zdania, a zdanie to odsuwa gwałtownie Sabinę od chłopców.

Ale lornetka fajna jest, przydałaby się nam, no, daj ją nam, zbliża się, aby sobie odebrać to, co Sabina ma na szyi, a co już, uważa, jest jego własnością, podobnie jak to osiedle.

To na razie! Sabina ucieka w stronę samochodu, otwiera drzwi, zatrząskuje się w środku, uruchamia silnik i odjeżdża z kilkoma chłopakami na masce, bo tak bardzo podoba im się lornetka, że chętnie jeszcze przejadą się kawałek w niewygodnych pozycjach, dlatego atakują jej auto, może panusia zmieni zdanie, rzą ze śmiechu, którego gardłowe brzmienie zagłusza nawet silnik samochodu.

Sabina cofa gwałtownie, niech spadną łby na asfalt, poruszone ciśnieniem gazu i hamulca, niech się obijają, gnojki blokowe, już ona wie, co oni w tym lesie z pannienkami robić będą, które teraz przyglądają się całej tej akcji, śmieją się, dopingują swoich chłopaków, którzy w końcu zsuwają się z samochodu, już tak chętnie się go nie przytrzymują, już im miny zrzedły, bo nie

dostali tego, co do nich nie należy, ale są przekonani, że im się należy. Wymyka im się zdobycz, która nie przewidziała niebezpieczeństwa, po co do ich dzielnicy się wpakowała, udaje, że szuka czegoś, więc znalazła guza prawie, szczęście miała, że jej lornetki nie zajebali, uf, jak szybko odetchnąć można w swoim wozie, który ją wiezie do drugiego lasu, obok jej domu.

W tym mieście młodzież rządzi tylko w lasach przynależnych do ich dzielnic, że też wcześniej na to nie wpadła. Sabina jedzie teraz powoli, pije wodę mineralną z plastikowej butelki, ręce jej drżą i nogi, ale nadal zachowuje zimną krew, o czym świadczą według niej jej lodowate dłonie. Zakręca wodę, odrzuca butelkę na tylne siedzenie, dociska pedał gazu, aby jak najszybciej znaleźć się tam, gdzie powinna być o godzinie dziesiątej.

Cezary wyszedł z domu w sobotę rano przez tylne drzwi, prowadzące z kotłowni prosto do ogrodu, aby tylko nie natknąć się przypadkiem na Sabinę Knop. Później poszedł przez łąkę, przez jedną krótką ulicę, jedną długą i do lasu. Już w nocy na gadu-gadu ustalili z Michałem, że opus magnum zacznie się w lesie bliżej domu Cezarego, bo zaczynać takie rzeczy pod nosem jest dużo łatwiej niż na cudzym terenie ze względu na różne ześwirowane elementy ludzkie, które mogą się kręcić w swoich rewirach. Poza tym wróg Sabina w życiu się nie domyśli, bo za mało w niej spontaniczności, co Cezary ocenia po tym, z jakim trudem

przyszło jej ściąganie biustonosza, który w ostateczności został na jej nieruszonych właściwie przez niego cymbałach.

Teraz wchodzi razem do lasu, dwóch przyjaciół - Cezary i Michał. Jak dobrze pooddychać świeżym powietrzem, które rozrzedza napięcie w ich ciałach, lokując je w tej chwili głównie w nogach, które poruszają się niemal równym krokiem, tak jak podobnie myślą chłopcy o tym, co zaraz zrobią.

Las gęsty w drzewa na chwilę zmniejsza wewnętrzną samotność chłopców, gdyż czują, że znaleźli się w przytulnej samotni przyrody. Uderzenie wewnętrznej samotności w zewnętrzną samotność może powodować bardzo głośne efekty, o czym chłopcy dowiadują się już na skraju lasu, bo cisza każe im natychmiast otworzyć niewyparzone gęby. Piękne, wymodelowane ciała Cezarego i Michała, ubrane jedynie w T-shirty, podskakują i nie zamierzają opanować nadmiaru ruchów ani wypowiedzianych słów. Tych dwóch właśnie zaczyna dyskutować w języku, który najlepiej wyraża ich prawdziwe osobowości i dzisiejsze zamiary, z którymi się zmierzają w głębi lasu, pogłębiając swoją życiową przestrzeń.

Cezary: Rzygałeś kiedyś na kilometr? Kopie kamień, który odbija się od drzewa.

Michał: Do kibla rzygałem, myślałem, że umrę. Kopie ten sam kamień, bo wpadł pod jego stopy.

Cezary: Ja rzygałem dalej, bo przez okno pokoju, spadało na parapet sutereny, ale była jazda, też śmierć

miałem w oczach, myślałem, że wyskoczę za tymi rzygami, bebechy mi wypruwało, zanosi się śmiechem, w którym dominuje krtaniowy pogłos, właściwy przechodzonej właśnie mutacji. Rano starzy myśleli, że ptak nasrał, tarli to szczotką ryżową.

Michał: Matka też kibel tarła po mnie, bo zaschło, rzygałem w nocy, jak spała, a rano zauważyła. A twój razem tarli?

Cezary: Jak razem? Jedną szczotką?

Michał: Nie, czy oboje ze szczotkami wystąpili?

Cezary: Jakoś tak, matka panikowała, że wiesz, obrzydlistwo ptasie, a to moje tarła, a później ojciec w tej swojej koszuli w kratkę zabrał jej szczotkę, że niby więcej ma siły, mówił. A co piłeś, że rzygałeś?

Michał: Nic nie piłem, brzuch mnie bolał. A co stary twój mówił?

Cezary: Nic nie mówił, nie kapnął się. Piłem jakieś wino z jego piwnicy, nie liczy butelek, frajer, ja bym liczył.

Michał: Po co byś liczył?

Cezary: Żeby kontrolować moje wino, on niczego nie kontroluje, śmierć takim, co nie wiedzą, że trzeba mieć kontrolę. Robi wyskok, jakby chciał kopnąć z pięty tego, o którym mówi.

Michał: A nad czym kontrolę?

Cezary: Jak nad czym? Nad światem kontrolę trzeba mieć, żeby ci nie nasrał na głowę, świat jebany.

Michał: Wyciąć trzeba spedalone łby, żeby srały pod siebie ze strachu.

Cezary kopie gałąź, która stanęła mu na drodze: Sranie ze strachu jest lepsze niż rzyganie w naszym przypadku, bo to będzie dziś dla nich ostatnie sranie.

Chłopcy, nakarmieni nowomową, puszczają do siebie oko, już wiedzą, co teraz zrobią. Nie muszą o tym więcej rozprawiać, bo potrafią, oprócz chamskiej rozmowy, posługiwać się subtelnym językiem ciała, któremu do porozumienia wystarczą jedynie znaki oczu, głodnych tego, co zaplanowali zobaczyć. Umówili się wcześniej nie po to, aby rozmawiać o szczegółach przed akcją, bo one już zostały przedyskutowane i każdy wie, co ma robić. Zaraz się okaże, jak dobra jest ich pamięć i czy warto tak dobrą pamięć posiadać dla zabawy.

Gdzie one są, Cezary pyta Michała o trzy dziewczyny, które jego wierny wasal miał przyprowadzić na leśną polanę. Już kilka razy odprawiali na tej polanie magiczne harce, wiązali dziewczyny włosami do drzew, dlatego warunkiem ich obecności podczas rytuałów musiały być długie włosy, niekoniecznie gęste, ale takie, aby dawały się przywiązać do gałęzi.

Są tylko dwie, bo trzecia wybrała real, chichocze Michał i wskazuje na polanę, na której dziewczyny już siedzą i plotą wianek z ostatnich tego roku leśnych kwiatów.

Głupia geś, Cezary wchodzi głębiej w krzaki, które są ostatnią granicą oddzielającą go od magicznego rytuału. Odgarnia drobne gałęzie, suche patyki trzesz-

czą pod jego markowymi butami. Dobrze, że te dwie mają długie włosy i nie były jeszcze u nas, nie wiedzą, nie spodziewają się dziwki, że rankiem można zrobić coś takiego, co można zrobić łatwo tak zupełnie, zdanie wymawia w taki sposób, że zdaje mu się, że śpiewa, zwłaszcza że mutacja rządzi jego głosem, ubarwia słowa, które chłopak z siebie wyrzuca, podobnie jak bułki matki rzuca w krzaki, bo główna jeść nie będzie, oświadcza, więc i ty wyrzuć te kanapki parszywe, zwraca się do Michała, a Michał posłusznie wyjmuje prowiant i ciska go na ziemię, po czym kopie zawinięte w folię aluminiową świństwo tak, że świństwo wpada na małe drzewko i wystrasza ptaka, którego chłopak nazwy nie zna, ale po co mu znać, skoro nawet ptak by tego nie zżarł, więc nie ma nawet co odwijać, żaden ptak na czymś takim dzioba nie połamie, dzioba nie zanurzy w coś takiego, fuj, ohyda jebana, do widzenia kanapeczki dla mięczaków, pa, pa.

Przetrzymamy je tu do wieczora, pyta Michał i odsuwa gałęzie swojemu wodzowi.

Nie, teraz zaczerpniemy sił i ruszamy na akcję, decyduje Cezary. Masz wino na mszę?

Jasne, pamiętam zawsze o takich podstawowych sprawach, Michał wyjmuje z plecaka butelkę, ale tylko pokazuje jej szyjkę i z powrotem chowa wino. Nie chce, aby ktoś wino zobaczył, bo ktoś zawsze może się przechadzać po okolicy w tak słoneczny dzień.

Chłopcy dochodzą do polany i informują dziewczyny, że znalazły się tu po to, aby pomóc wojownikom



wyruszyć na słuszną wojnę z ludzkimi śmieciami. Dziewczyny chichoczą, bo znają już takich, wyglądających na pewnych siebie nastolatków, spotykają ich na co dzień, a o Cezarym wiedzą od dawna, że jest mięczakiem. Zwłaszcza jasnowłosa Weronika wie, bo chodzi z Cezarym do klasy od czterech lat.

Jeszcze cztery lata temu Cezary nie potrafił nawet odpyskować, nie umiał się bronić przed atakiem kolegów z klasy, stał jak słupek soli, kiedy inni śmiali się z niego, że nie ma spodni z firmy, która obecnie jest modna, że jego buty cuchną podróbką i że jego starzy nigdy nie kupią mu tego, co powinien nosić prawdziwy dowódca klasowy, bo jego starzy są przedstawicielami ruchu ekologicznego, wyznawcami zdrowej żywności, elity pogardzającej symbolami statusu. Są po prostu niepraktyczni, a Weronika to wie akurat od Marty, siostry Cezarego. Rudowłosa Sylwia wie tak samo dużo o Cezarym, bo jest koleżanką Weroniki z podwórka i zna szkołę, do której chodzi pozostała trójka. Sylwia ma też brata, który bawi się w wojowników, i dlatego Sylwia twierdzi, że te szczeniackie zabawy nie bawią dziewczyn. Mówi to chłopcom i znów chichocze, pyta przy tym, czy przynieśli coś dobrego, bo na wagarach od wuefu nie wypada się nudzić. Cezary mrugnięciem oka daje znać Michałowi, aby pokazał więcej niż szyjkę butelki z winem, bo ten pokaz stanie się zapowiedzią najlepszej zabawy w ich życiu, nawet jeśli dziewczyny na razie są niechętne temu, co oni dla nich przygotowali. Sylwia drapie się po twarzy

nakrapianej piegami i pyta, jakie to wino, czy przypadkiem nie najtańsze. Nie powinna mieć wątpliwości, podkreśla Michał, jeśli przestaje z wojownikami, których ubiór zaświadcza o dobrym pochodzeniu trunku zakupionego na sobotni poranek.

Pokaż etykietkę, nalepkę pokaż nam, Weronika sięga ręką do plecaka Michała, ale ten już sprytnie wkłada butelkę do tylnej kieszeni spodni, która jest tak duża, że bez problemu mieści się w niej wino. Ale ścierna, Weronika z rezygnacją obraca się na pięcie. Nie będziemy tego pić.

Będziecie, będziecie, Cezary pstryka palcami i w jednej chwili Michał wyciąga z plecaka plastikowe kubeczki. Chłopcy nalewają do nich wina i piją jednym haustem.

Dooobre, obaj ocierają usta i brody rękawem markowych bluz, które jeszcze przed chwilą mieli przewiązane na biodrach.

Teraz wy, mówi Cezary. Teraz Sylwia, dodaje, nalewając czerwonego płynu do kubeczka, który wygina się w połowie pod jego palcami, wdzięcznie, jak kobieta talia. To dobre i zdrowe, zobaczcie, zachęca, nam nic się nie stało, jesteśmy wojownikami, którzy poją kobiety tylko wysokogatunkowym trunkiem, jak ten, wręcza Sylwii plastikowy puchar mocy, zaznacza z dumą, aby nie miała wątpliwości, że pić będzie coś wyjątkowego. Sylwia już chce sięgnąć, ale Weronika jej odradza: Nie pij tego, bo w tym są złe zaklęcia wojowników, to krew myszy, zanoszą się od śmiechu.

Bajki opowiadasz jakieś, co za głupoty, komu by się chciało spuszczać krew z myszy, Sylwia ośmiela się, bo słowa koleżanki sprawiają, że postanowiła zrobić jej na przekór.

Grzeczna dziewczynka, chwali Cezary, gdy Sylwia wychyla duszkiem zawartość kubeczka. Teraz Weronika, zachęca ją z uśmiechem, a jego białe zęby błyszczą w blasku słońca. Nalewa jej do połowy, aby się nie zniechęciła.

Weronika mimo tego odmawia. Nie chcę, mówi, i grzebie butem w mchowym pokryciu. Pij, twoja porcja jest z krwi szczura, kopyta dzika i jadu żmii, która zginęła po tym, jak została zapłodniona przez padalca, śmieje się Michał. Weronika też zaczyna się śmiać, traktując słowa Michała podobnie, jak potraktowała jej słowa wcześniej Sylwia. Do drugiej kolejki chłopcy już nie namawiają dziewczyn, bo same pytają, kiedy wojownicy rozleją ten magiczny trunek, który smakuje całkiem dobrze jak na napój z taniego supermarketu. Dziewczynom szybko różowieją policzki, wzorowe uczennice też czasami się rumienia, mówią zgodnie, też czasami nie chcą być grzeczne, tylko zrobić coś strasznego, co je same przestraszy, co każe im się bać swojej odwagi, co sprawi, że przestaną czuć presję zdobywania coraz lepszych ocen, coraz lepszych notowań u nauczycieli, coraz lepszych ciuchów od rodziców za oceny, bo te ciuchy są już nudne, ciągle tylko ciuchy i ciuchy, tylko oceny i oceny, i pokazywanie, że są grzecznymi dziewczynkami.

Teraz chcą być wolne od chcenia innych, zwłaszcza dorosłych, więc mają zamiar dziś stać się dorosłe, aby przekonać się, czy warto jeszcze wracać do postaci dziecka. Zaraz się przekonają, okaże się, czy jest to tak podniecające, jak myślą o dorosłości. Jeszcze tylko Cezary pójdzie się odlać, no, niech wreszcie strzepnie ostatnie kropelki, no, w końcu wraca, gdzie byłś tak długo, nawołują, kiedy wraca z krzaków, chodź wreszcie, gdzie te obiecane atrakcje, co tam jeszcze masz ciekawego, pewnie ci pomysłów zabrakło - Sylwia zanosí się od śmiechu, bo dostrzega kilka kropli moczu na spodniach i rozpięty rozporek, ależ z ciebie niechluj, woła.

Cezary jednak nic sobie nie robi z jej słów, bo właśnie do niego dotarło, że słowa nie mają żadnej mocy sprawczej, liczy się tylko czyn, a on taki przewidział, spektakularny, opus magnum go nazwał, już się zbliża, aby go zaprezentować, zapina rozporek.

Słońce świeci mocno, jakby chciało ugotować polanę, zbyt mocno świeci jak na jesień, jak na dzień, w którym wszystko się zmieni, decydują chłopcy i zabierają resztkę w butelce i plastikowe kubki oraz dziewczyny w zacienione miejsce, pod gęstość młodych dębów, przy których można dokonać oczyszczającego rytuału.

Dziewczyny zaróżowiły się już wystarczająco mocno, aby przestać myśleć o tym, że są zaróżowione. Już zrobiły coś okropnego, co pozwoliło im się wystraszyć własnej odwagi, już chętnie podnoszą ręce

do góry i dają się przywiązać do drzewa, już rzemie-  
nie przyniesione w plecakach przez młodych wojow-  
ników oplatają ich szczupłe, dziewczęce nadgarstki,  
już ich włosy wplatają się w gałęzie wielkiego dębu,  
który przygląda się scenie uwodzenia młodości przez  
młodość, przez bicepsy i tricepsy, które prężą się ko-  
gucio w dwóch pijanych szczupłych postaciach, wija-  
cych się przy brzuchu drzewa, ocierających się o jego  
twardy konar nieruchomego spojrzenia na okrzyki  
zwycięskie, na źrenice rozszerzone w oczach żądnym  
widoku uległości.

Uległy nam, uległy, woła Cezary, popijając resztki  
wina. Jego kolana wyginają się, ręce unoszą się w prze-  
strzeni wolnej, niczym nieograniczonej, niezawłasz-  
czonej, tylko drzewa patrzeć mogą, ale nie mogą nic  
uczynić, zabronić, powiedzieć, że tak się nie robi, że  
nie wolno więzić człowieka, że tak bawić się nie należy.  
Dwie istoty płci żeńskiej są teraz podwładnymi wodza  
i jego wasala, oni teraz mogą zrobić z nimi, co zechcą,  
ale najpierw muszą wiedzieć, czego od nich chcą, więc  
naradzają się obaj, co teraz zrobią, jaki ciuch z nich ze-  
drą najpierw, jaki gest wykonają w ich stronę, bo tego  
nie było w scenariuszu, bo wcześniej, w poprzednich  
scenariuszach, był wieczór, a wieczór wyzwala inne  
emocje, inny strach rodzi się wieczorem, inaczej wi-  
dzi się to, co nazywa się wcześniej czymś strasznym,  
straszna jest sama noc, która należy do lęku od wie-  
ków. Teraz jest dzień, więc wrażenia są zbyt płytkie, no  
bo po co one tak się wiją, tak proszą, aby już skończyć

tę zabawę, już je odwiązać od tego drzewa, bo im niewygodnie, a może być wygodniej, na polanie, na mchu może nawet, pod drzewem, ale nie przy nim, już chcą położyć się, a nie tak stać przywiązane, już im się to nie podoba, już je ten las znudził, do kina by poszły.

Cisza! Zarządza Cezary. Nie będzie żadnego kina, żadnego leżenia, teraz musicie błagać o litość.

Sam sobie błagaj, pacanie jeden, Weronika nie zamierza o nic błagać, bo wszystko, co do tej pory udało jej się zdobyć, nie jest owocem błagań, ona potrafi dostawać, czego chce, bo zasługuje na to, nawet jeśli zrobiła coś strasznego, czego sama się teraz przestraszyła, chce być odwiązana, bo to coś strasznego przestaje działać i pojawia się jeszcze straszniejsze, świadomość, że jest we władzy rzemieni, które pętają jej dłonie, które nie pozwalają jej decydować o sobie.

Ty będziesz błagać, oznajmia Sylwii Cezary, a Michał całuje Weronikę w usta.

Nie chcę twoich pocałunków, bo mnie związałeś, krzyczy Weronika. Całuj mnie odwiązaną. Odwiążę ją, bo zgodziła się być uległa, mówi Michał, patrząc pytająco na Cezarego.

Twoja sprawa, ona jest twoja, rozkazująco mówi Cezary i podchodzi do Sylwii. A ona jest moja, patrzy Sylwii w oczy. W tym czasie Michał odwiązuje Weronikę, ale wciąż ją całuje, natarczywie, po całej twarzy, dziewczyna ze wstrętem zaciska usta, ale stoi nieruchoma, z rozwichrzonymi włosami, które wraz z oswobodzonymi rękoma odplątują się z gałęzi dębu.

Gdy tylko Weronika zostaje oswobodzona przez Michała, zaczyna uciekać w głąb lasu.

Łap ją, nie daj uciec suce! Cezary krzyczy do Michała. No, zobacz, spieprza z lasu, złap i przywiąż z powrotem. Michał zaczyna biec, ale po pięciu susach rezygnuje.

Nie chce mi się, szkoda na nią czasu, nie chcę tracić sił przed opus magnum, macha rękoma i podchodzi do Cezarego i Sylwii. Nic do niej nie czuję, oświadcza Michał, a mamy przecież zadanie do wykonania. Tak się tylko chciałem zabawić.

Twoja sprawa, ja tam swojej zdobyczy nie puszczam, Cezary zbliża twarz do Sylwii. Będzie naszą zakładniczką.

Cezary łapie Sylwię za włosy, delikatnie nimi porusza, a one rozplątują się z gałęzi, spadając jasną rudością na Sylwii ramiona. Dziewczyna patrzy na niego nieruchomym wzrokiem, jakby chciała coś powiedzieć, ale strach paraliżuje jej język, zakleszcza go w ustach, do których Cezary tylko zbliża swoje usta, ale nie dotyka ich, oddycha blisko i szepce: Wszyscy potrzebujemy miłości, uhm - na twarzy pojawia mu się uśmiech, który jest jedynie grymasem, bo nie kryje się pod nim żaden rodzaj wesołości, który uspokoić mógłby młodą dziewczynę, pozwoliłby uwierzyć, że ten rodzaj zabawy zaraz się skończy.

Czego chcesz? Wrywa się z Sylwii.

Bezwzględne uwielbienia? Wrywa się pytająco z Cezarego, który właściwie nie wie, czy chce jej

uwielbienia, czy raczej strachu, dzięki któremu będzie robiła to, co on jej każe.

Aby nie rozpoznała jego lekkiej niepewności, uderza ją w twarz i nakazuje: Tylko mi tu nie rycz.

Rękę ma ciężką, twardą, jej cios rozcina lekko Sylwii usta, ale dziewczyna nie płacze, połknęła strach, który nie ma odwagi się z niej wydobyć najmniejszym dźwiękiem.

Widzisz, jakie mam bicepsy, Cezary pręży mięśnie przed jej oczami. Sylwia widzi, więc kiwa głową, dzięki czemu zaspokaja jego pragnienie uznania. On uznaje, że stała się jego poddaną, więc w tej chwili ulgi zamyka oczy i prawą ręką, trzymając rękę Sylwii, lewą odwiązuje ją od drzewa, zostawiając jednak rzemienie oplatające jej dłonie.

Pójdiesz teraz grzecznie z nami, aby się przyglądać wielkiemu widowisku. Tylko masz milczeć, bo inaczej popamiętasz, przystawia jej nóż do twarzy, który pojawia się nagle, wychylając się zza pleców chłopaka. Ostra, srebrna klinga każe Sylwii nie wrywać się, gdy Cezary ciągnie ją za sobą do brzegu lasu, ona wołałaby tu zostać, aby nie dowiedzieć się nigdy, co szalony wojownik chce zrobić, jakie przygotował dla niej widowisko w swych obłąkanych myślach.

Dziś zobaczysz trupy i milcz, pamiętaj, odwraca się do niej, gdy już zbliżają się do skraju lasu, by na powrót wejść w rzeczywistość, która jeszcze przed czterema godzinami była dla Sylwii znaną jej rzeczywistością, bezpieczną codziennością, możliwą do przewidzenia



ostoją losu, jej losem jedynym, jaki znała, jaki jej codziennie przygotowywali troskliwi rodzice.

Wierny wasal Michał podąża za swym przywódcą i rozgląda się, czy nikt nie idzie, nie patrzy, nie podgląda, bo jeszcze podglądać nie może, za wcześnie, za szybko, za trzeźwo. Chłopcy więc przystają i wtedy Michał rozsuwa plecak, szuka w nim czegoś, po czym wyciąga i otwiera drugą butelkę wina, z inną szyjką, innym korkiem i inną etykietą. Pociągają po kilka łyków z butelki, a wtedy dziewczyna zaczyna płakać i prosi, aby puścili ją wolno, ona nikomu nic nie powie, nie piśnie słówka, zaknebluje się na wieki, aby zachować pamięć o najlepszych wojownikach, jakich kiedykolwiek poznała.

Za późno. Cezary popycha ją przed siebie, przystawia jej do pleców nóż, który ukrywa w taki sposób pod kurtką, że teraz żaden zewnętrzny obserwator, żaden przeszkadzacz, żaden przypadkowy przechodzień nie jest w stanie dojrzeć narzędzia, które chłopak przyłożył do nerki dziewczyny. Zamknij się i idź przed siebie, nakazuje i popycha ją tak, że musi skrócić w lewą stronę.

Czy powiesz mi chociaż, dokąd idziemy? Sylwia ośmiela się zapytać, ale nie wie jeszcze, że kosztować ją to będzie ukłucie nożem na tyle delikatne, że nie wypłynie krew, ale na tyle wyraźne, że już więcej się nie odezwie.

Las już nie kryje żadnej tajemnicy spotkania młodości z niestosowną pewnością siebie, żadne poruszenie

liścia nie zdradza, że dzieje się coś, co nie powinno się wydarzyć, bo lasu już nie ma wokół nich, oddalił się, tak jak oni oddalili się od niego, niebezpiecznie daleko, na tyle niebezpiecznie, by iść szybciej, bo zbyt dużo oczu patrzy i dostrzec może ten nóż, który Cezary dziś rano zabrał z kuchni swojego domu, nóż, którego matka używa na co dzień do przyrządzania obiadów, którym chętnie patroszy, sieka, wbija go w ciała zwierząt, które później cała jego rodzina zjada na obiad.

W piętnaście minut mijają domy, w których bawili się z kolegami, ścieżki, którymi jeździli na rowerach, trawniki, na których grali w piłkę, place, gdzie bawili się w berka i osiedla, na których mieszkają ich szkolni koledzy. Słońce wciąż ogrzewa ich karki wystawione na jego dobroczynne promieniowanie. Może zrezygnują, gdy słońce tak pięknie świeci, może sobotni dzień, który przynieść mógłby wybawienie, przekona ich, że wystarczy tylko odstawić nóż, aby ich zaplanowana droga stała się planem niewartym realizacji.

Tego pragnie Sylwia, której nogi zaczynają mdleć z powodu utraty poczucia bezpieczeństwa. Już nie powinna pytać, co zamierzają dalej zrobić, bo wciąż czuje chłód noża przystawionego ostrzem do jej pleców. W głowie czuje jeszcze resztki alkoholu, którego nie powinna pić - zdaje sobie teraz z tego sprawę, a nóż coraz bardziej uwiera ją w plecy - a który piła pierwszy raz w życiu, bo chciała sobie udowodnić, że nie jest dziewczynką zawłaszczoną przez powinności szkolne i domowe, jeśli tego nie chce. Nie chciała jed-

nak także tego, co stało się w wyniku wypicia alkoholu, ale tego nie potrafiła przewidzieć, bo nie przewiduje się przecież doświadczeń, których się wcześniej nie doświadczyło. Przewidywalność sytuacji jest warunkiem dojrzałości, dorosłości, a ona jeszcze nie jest dorosła, jeszcze nigdy wcześniej nie zmierzyła się z tak potężnym lękiem. I gdy Cezary kłuje ją mocniej, kierując jednocześnie w prawo, wie już, że skręcając do domu Majów, w którym mieszka ich wspólny kolega Jan, z którym Cezary i Michał grali zawsze w gry komputerowe. I gdy już myśli, że ucieknie im za chwilę, kiedy Jan otworzy drzwi, Cezary dzwoni właśnie do domu Majów, każąc w tym czasie Michałowi przytrzymać Sylwię za obie ręce. Tylko jej nie wypuść, bo będzie nam potrzebna, poucza Cezary i dzwoni jeszcze raz, bo nikt nie otwiera. Drzwi są mocne, pięknie zdobione, bo Gerard Maj jest architektem, więc i do swoich drzwi ma stosunek zabytkowy. Dom otacza ogród, którego krzewy zielonością wkradają się w pręty ogrodzenia, furtka jest jednak u Majów otwarta, bo tak samo otwarty na gości jest zawsze ich dom, a pan domu nie zawracał sobie od kilku tygodni głowy tym, aby zreperować uszkodzony zamek w furtce. Wciąż odwlekał tę naprawę, ale z pewnością gdyby wiedział, że dziś o piętnastej przyjdą tutaj ci żądni doznań chłopcy, naprawiłby go.

Sabina ma już dość tego lasu, w którym od kilku godzin daremnie szuka chłopców. Uwzięłaś się, aby

ich znaleźć, jakbyś chciała ich zbawić, a kim ty, do cholery, jesteś? Mówi głośno do siebie, otrzepując się z kory drzewa, o które stała oparta. Mogłabyś zająć się sobą w tym czasie, myśli, bo przecież nie pójdziesz na policję z twoimi rewelacyjnymi doniesieniami, proszę panów policjantów, dwóch nastolatków planuje coś paskudnego, ale nie wiem, co to będzie, mam tylko przecucie, a z tym nie ma co dyskutować, bo na przecuciach oparty jest świat wielkich dokonań. W końcu gdyby nie ono, Archimedes nie sformułowałby swojego prawa, Newton teorii grawitacji, a Einstein teorii względności. Ale jak wytłumaczysz policjantom, że warto ci uwierzyć, kogo weźmiesz na świadka, oprócz swojej wyobraźni, która mogła cię przecież wystawić do wiatru, tak jak zawiodła cię w przypadku twojego życia, spędzanego w taki sam sposób każdego wieczoru przed ekranem komputera. Wyjedź w końcu z tego lasu, pogania się w myślach. Nie grzęźnij w kolejnych piaszczystych drogach, bo zaraz możesz tu ugrzęznąć na dobre, nie dowiadując się niczego ani o sobie, ani o tych, których tak gorączkowo szukasz. Przeszukiwanie chaszczy nie jest twoim ulubionym zajęciem, zwłaszcza że pełno tu robactwa, którego się brzydzisz od dziecka, odkąd brat włożył ci do łóżka pajaka, aby po tobie chodził i wystraszył cię w środku nocy, łaskoczając w nogę. Pełno tu kosmatych pajaków, które tylko czyhają, aż je dotkniesz przez pomyłkę, aby mogły cię dotknąć celowo, obrzydzić ci życie jeszcze bardziej, wystraszyć twoją wewnętrzną delikatność, wejść na

twoją zewnętrzną szorstkość, którą w pracy pokazujesz tym, o których piszesz, we włosy, pod spodnie, w majtki nawet, abyś zaczęła krzyczeć, jak wtedy w dziecięcym łóżku, jeszcze mocniej się wystraszyła, zaczęła machać rękoma, stała się zupełnie bezradna, całkowicie zniewolona przez pajęczą wszędobylskość, ohydność pajęczego poruszania się po zakamarkach twojego ciała, które teraz całe miota się i odgarnia pajęczyny, aby nie weszły mu do oczu, bo te chcą zobaczyć wreszcie coś rzeczywistego, co mogą zrobić inni ze swoim życiem, z którym ty nie potrafiłaś do dziś zrobić nic szczególnego, nic ważnego, co nadałoby mu wagę życia przeżywanego naprawdę, całym twym ciałem, które właśnie zaplątało się w pajęczynę, bo nie dostrzegły jej twoje oczy, które przecież nie mogą być tu i tam, mówi do siebie w myślach.

Zawraca wreszcie, strzepuje pajęczyny. Dobrze, że jej dłonie nie straciły jeszcze przytomności, potrafią reagować, jak sobie życzy, choć wzdraga się na widok pajęczych nici, ale już coraz mniej ma ich na sobie, żadna na szczęście nie oplotła jej twarzy.

Twarz jest bardzo ważna, z niej można wiele wyczytać, ty to potrafisz, wyczytałaś w końcu z twarzy tego chłopca, sąsiada, pewien niepokój, który i tobie się udzielił, uświadamia sobie. Szkoda, że nie potrafiłaś niczego wyczytać z własnej twarzy, ale do tego musiałabyś cały czas nosić przy sobie lustro, zamontować je przy ramieniu, jak przy twoim aucie zamontowane jest boczne lusterko, aby w nie patrzeć podczas jazdy,

obserwować drogę. Być może przez brak lustra przy sobie nie miałaś szansy poznać swojej drogi, nie widziałaś, co tak naprawdę się na niej dzieje, jak wiele jest na niej niebezpieczeństw, które czasem odganiały nudę samotnych wieczorów.

Jeszcze nie jest za późno, uświadamia sobie, wsiadając do samochodu i wycofuje się z lasu. Jeszcze może ich spotkać po drodze do domu, gdy będą szli tam, dokąd iść zapragnęli. Może jeszcze najgorsze się nie stało, jest przecież dopiero piętnasta, a o tej godzinie nie dzieją się raczej straszne rzeczy, strach należy do nocy, o czym Sabina wie, bo często bała się właśnie nocą, zwłaszcza wtedy, gdy brat opowiadał jej straszne bajki, po których nie sposób było zasnąć, zapomnieć o strachu, o którym nie mogła powiedzieć ojcu, bo wzbudziłby w niej jeszcze większy strach, zbił brata mocniej paskiem ze sprzączką, a wtedy jego ból bolałby ją jeszcze bardziej, bo brat płakałby i bał się nawet bardziej niż ona.

Ulice, którymi jedzie, zbliżając się do swojego domu, muszą być ulicami, na których mieszkają szkolni koledzy Cezarego. Jeśli wyteży wzrok, może go zobaczy, jak wychodzi z jednego z domów, zwycięski, po udanej grze, która była tylko grą, w którą zagrał dla zabawy, dla lepszego nastroju, tak jak ona siedzi co wieczór na czacie, aby poprawić swój nastrój. I już dostrzega grupkę chłopców, nie mają kapturów, bo to inne osiedle, jej, na którym kapturów jest mniej niż na osiedlu po przeciwległej stronie miasta. Stoją, żartu-

ją, jest ich czterech, więc zwalnia, może jeden z nich to Cezary, może uda jej się rozwiać teraz lęk, że już go więcej nie zobaczy, bo takie myśli przychodzą jej do głowy pełnej złych przeczuc. Jakże bardzo chciałaby ich nie mieć, nie czuć nic, aby nie cierpieć, jak wtedy, gdy widziała krew od sprzączki na udach brata i nie mogła niczego zrobić. Ale trudno coś temu zaradzić, bo myśli same przychodzą, nie chcą odejść, natrętnie nie pozwalają o sobie zapomnieć, to migrena, która bije głowę, kiedy jestem tak bardzo zmęczona, że nie mogę pracować, ale też nie mogę myśleć, a muszę, tak bardzo myśli pulsują mi w głowie, tak bardzo chciałabym dowiedzieć się, co się stało z moim bratem.

Nie, to nie Cezary, to inne dzieciaki z osiedla domków jednorodzinnych. Patrzy na nich i rezygnuje już z poszukiwań, bo trudno jej uwierzyć, że znajdzie to, czego szuka. Odjeżdża i czuje, że osiąga jakiś rodzaj spokoju, który jednocześnie ją niepokoi, tak inny jest od spokoju, który ma w sobie człowiek prawdziwie zrelaksowany, opanowany, pogodzony ze sobą i z tym, czego mieć nie może. Ona osiąga stan, w którym zdaje sobie sprawę, że nie może mieć wpływu na to, co się już wydarzyło bez jej udziału. Chyba że zamieszanie przy ulicy, do której podjeżdża, a która jest szóstą ulicą od tej, na której mieszka, i na której mieszka Cezary, dotyczy tego, po co wyjechała z domu? Ludzie się zbiegli, odganiają swoje dzieci, niektórzy krzyczą, tak dużo ich wokół posiadłości

architekta, którego zna, bo wiele razy wypowiadał się do jej gazety w sprawie zmian w zabudowie dwustutysięcznego miasta. Niektórzy odchodzą łapiąc się za głowę, inni stoją, jakby nie mogli się ruszyć, choć na co dzień ruszają się sprawnie, zwawo, bo spotyka ich, jak robią zakupy w supermarketach, teraz są sparaliżowani tym, co widzą. Też chce to zobaczyć, parkuje auto na przeciwległej ulicy, która także zapełnia się ludźmi, co przyszli popatrzeć na to, na co patrzeć się nie da, bo kto zniesie widok tak wielkiego chaosu, Sabina łapie się rękoma ogrodzenia domu. Wreszcie go znalazła, lecz to, co widzi, każe jej skulić się przy płocie i w sobie. Czuje, że jeszcze większy strach wpadł na jej trop.

Mija kilka chwil, zanim Gerard Maj otwiera drzwi po dzwonku, który rozległ się w przedpokoju. Pan domu stoi przed intruzami w spodniach od garnituru i białej koszulce na ramiączkach.

Co jest chłopcy? Wita z uśmiechem Cezarego i Michała.

Cezary zmienia gwałtownie wyraz twarzy na grymas złowrogi i nieprzyjemny zdaniem Gerarda.

Na kolana! Okaż pokorę i błagaj o litość w tej wielkiej godzinie, krzyczy, i zanim Gerard Maj zdoła cokolwiek powiedzieć, dosięga go cios noża Cezarego, który z błyskiem słonecznego promienia wbija się prosto w pierś gospodarza. Oto scena z ulubionej *gry* Cezarego, Misji, którą chłopak właśnie przeniósł w real.



Chryste... otwiera usta Gerard, ale już w tym momencie Cezary wpycha go do mieszkania, aby w przedpokoju rzucić go na podłogę.

W tym czasie matka Cezarego zawija zrazy wołowe, które rano pokroiła właśnie tym nożem, ale tego Cezary nie widział, bo spał, zbierając siły przed ostatecznym rozwiązaniem kwestii słabych ludzi.

Giń, Cezary zadaje drugi cios swojej ofierze prosto w szyję. Murako! Krzyczy przy trzecim ciosie, a wypowiedziane słowo odbija się echem po całym domu. To znów hasło z Misji w której słabe istoty zostają oddane śmierci. To twój koniec! Zadaje kolejny cios w brzuch i gdy mężczyzna pada w konwulsjach, Michał wbiega z Sylwią do przedpokoju. Puszcza ją z uścisku, a wtedy dobija leżącego Gerarda nożem, który wcześniej wyciągnął z plecaka, a którym jego matka kroić rano karkówkę, aby ją upiec dla syna, tak jak lubi, którą zje, kiedy wróci ze szkoły w sobotnie popołudnie, ale tego Michał nie mógł wiedzieć, bo spał dziś rano, gdy matka przyrządzała mięso, gdy nakłuwała je nożem, aby wbić weń czosnek sprawiający, że każde mięso zyskuje wspaniały aromat po upieczeniu. Tym samym nożem jej syn dokonuje teraz zbrodni, zabija człowieka, którego uważa za słabego, niegodnego życia, ale godnego wbijania kuchennego noża, służącego do sprawiania mięsa.

Michał wali nożem na oślep w Gerarda, pana domu w białym podkoszulku na ramiączkach, który nasiąka krwią wypływającą z bezbronnego, bo zaskoczonego

człowieka. Sylwia tuli się do ściany, bo pojąć nie może zbrodni dokonywanej na ojcu jej kolegi. Nie może zrozumieć, dlaczego Cezary wbija klingę noża w oczy Gerarda, w jego ramiona i uda, skoro już wbił ją wcześniej w serce, głowę i w podbrzusze.

Sylwia nie wierzy, że jest w tym miejscu, że chłopcy, jej koledzy, użyli noży do uśmiercenia człowieka, dlatego szuka ściany, która ochronić ma ją przed uczuciem, że to, co widzi, jest wybrykiem jej umysłu. Odwraca więc głowę do ściany, której zimno jednak nie koi jej gorącego z przerażenia czoła. Po chwili Michał znów łapie ją za rękę i ciągnie za sobą, bo w czasie, gdy Gerard wydobywa z siebie ostatnie tchnienie, chłopcy szukają już jego żony. Wpadają na górę, a wtedy Teresa, żona Gerarda, wybiega w panice z sypialni. Natychmiast klingi chłopców dziurawią ją, natychmiast kobieta osuwa się na dywan rozpostarty w przedpokoju, przed swoją sypialnią, w której jeszcze przed chwilą znajdowała się ze swoim mężem i dobierała mu krawat na dzisiejsze wyjście do teatru. Teresa otrzymuje od chłopców czterdzieści cztery uderzenia nożem. Jej śmiertelne krzyki podniecają Cezarego, którego wzrok wciąż jeszcze żąda wrażeń, więc z całej siły kopie ją w twarz.

Ale gdzie jest Jan, ten mięczak, który przestał grać w Misję, bo odciągała go od jego dziewczyny? O, hantle moje widzę pod mamusi sypialnią, później je sobie wezmę, jak z tym dupkiem skończę, śmieje się Cezary.

Cezary i Michał gorączkowo wrzeszczą, aby się odezwał, wylazł ze swojej szcurzej nory i zobaczył, jak skończyli jego rodzice, jak wyglądają dwa podziurawione ścierwa na arenie końca i tak zbyt długiego życia - ich zdaniem.

Jan z przerażenia targa swoje brązowe włosy, których kolor odziedziczył po matce, słyszy ich, przez drzwi pokoju, w którym zabarykadował się, kiedy tylko uświadomił sobie śmiertelne niebezpieczeństwo. To pokój znajdujący się obok sypialni rodziców, w którym na szczęście jest telefon i napisany na nim numer do straży pożarnej. Numeru policji Jan nie pamięta, a może pamięta, ale nie teraz, nie jest w stanie go sobie przypomnieć, więc wykręca ten numer, który może go uratować, a który widzi przez załzawione oczy. I gdy po drugiej stronie słyszy głos dyżurnego strażaka, błaga go, aby natychmiast przyjechał i zakończył ten horror, który odbywa się w jego domu, w sobotnie popołudnie, po godzinie piętnastej, w czasie, kiedy wielu obywateli dwustutysięcznego miasta je właśnie obiad. Strażak zapewnia Jana, że jeśli to żart, gorzko tego pożałuje i zapłaci, a już z pewnością drogo zapłacą jego rodzice, i wcale nie zamierza wysłać tam służb patrolowych. Przekonuje go jednak hałas dochodzący zza zabarykadowanych drzwi, które wściekle nożem dźga Cezary.

Dopiero wobec tego odgłosu strażak decyduje się uwierzyć chłopcu, że znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Drzwi wciąż nie chcą się otwo-

rzyć pod uderzeniami dwóch rozwścieczonych nastolatków, których wściekłość wzmagają spojrzenie na matkę Jana, która jeszcze żyje, bo rzeź, a to oznacza, że należy zakończyć jej rzeź. Cezary podchodzi do kobiety, konającej z otwartymi oczyma i zmusza Sylwię, aby patrzyła na to, jak on zatapia w twarz Teresy swój i tak całkowicie już zakrwawiony nóż. Cezary wbija go czterokrotnie, dla niego jest to jedynie dokończenie masakry ludzkiego śmiecia, ale dla Sylwii to czterokrotne wbicie noża w ostatnie tchnienie życia kobiety, której mówiła dzień dobry podczas szkolnych uroczystości i gdy ją spotykała w autobusie, w parku i sklepie spożywczym. Sylwia odwraca więc głowę, bowiem zdaje sobie sprawę, że będzie następną, że i z niej wypłynie zaraz życie na dywan przed sypialnią rodziców Jana, który nie odzywa się z pokoju obok, ale który z pewnością tam jest, bo Sylwia słyszy jego oddech w swoim sercu, zakłutym z powodu cierpienia jego rodziny.

Kiedy Cezary wykonuje ostatni zamach nożem w twarz Teresy, która już tego nie widzi i najprawdopodobniej nie czuje, bo nie żyje, Sylwia płacze wtulona w balustradę schodów przy sypialni.

No dobra, już wystarczy, już koniec, Michał zaczyna panikować, a nóż wypada mu z ręki. Słyszy sygnał radiowozów, o czym mówi Cezaremu, który wydaje się opanowany, nawet kiedy krew zadźganej przez niego i jego przyjaciela kobiety zaczyna dopływać do jego butów. Cezary wstaje, patrzy w oczy Michałowi, jest

wściekły, że ten wpadł w panikę. Trzyma swój nóż mocno.

Chłopcy nie przyglądają się zmasakrowanym zwłokom pod swoimi nogami. Nie chcą odwrócić głowy, bo wtedy zobaczyliby, że Teresa nie ma już twarzy, tylko bezkształtną miazgę, że nie widać koloru jej szlafroka, gdyż przybrał on barwę krwi wciąż z niej wypływającej pod stopy dzieci, które jej to zrobiły.

Trzech policjantów wpada do domu, ale gdy dobiegają do schodów, widzą już, że nie będą w stanie zakończyć szybko swojej wizyty u rodziny Majów, bo Cezary trzyma Sylwię lewą ręką za włosy, a w prawej ma nóż, który przystawia jej do gardła.

Jeden wasz ruch i ona zginie, dyszy przez zęby, a policjanci postanawiają najpierw go uspokoić, zanim niepokój jego dłoni popchnie nóż do zadania ciosu w miękką szyję dziewczyny.

Tylko spokojnie, wypowiedziane przez policjantów słowa, które zawsze padają w podobnych okolicznościach, to znaczy, gdy policjanci wiedzą, że niepokój sprawcy może wyrządzić komuś krzywdę, nie uspokajają jednak Cezarego całkowicie. Nie uspokajają go na tyle, by odrzucił nóż, ale jedynie na tyle, by go nie wepchnął tam, gdzie nie chce ani Sylwia, ani policjanci, a teraz już też Michał, który prosi Cezarego, aby przestał straszyć Sylwię, bo jest piękna i mogłaby się jeszcze przydać. Do czego mogłaby się przydać, Michał nie definiuje, ponieważ już się domyśla, że

tam, dokąd może teraz pójść, nie przyda mu się żadna dziewczyna, bo ich tam po prostu nie ma. O tym też mówi Cezaremu.

To koniec, już po naszej misji, Michał patrzy na Cezarego w taki sposób, że ten już wie, że powinien odrzucić nóż na bok. Nie zamierza jednak tego zrobić, bo nie znosi żadnego przymusu, tym bardziej nie posłucha swego wasala.

Podnieś ten nóż, bądź wierny misji do końca, skaczemy przez okno i do wozu, stoi zaparkowany pod domem, Cezary przestrzeliwuje wzrokiem Michała i ten czuje, że powinien się teraz pochylić i podnieść nóż, bo inaczej straci przyjaźń jedyne go wodza, jakiego w życiu miał, którego zachowanie zawsze mu imponowało, więc i tym razem, zgodnie z zasadą wierności i konsekwencji podnosi nóż i skacze przez okno. Za nim skacze Cezary, ciągnąc za sobą przerażoną dziewczynę. Udało się, na szczęście to niskie pierwsze piętro, chłopcy tylko lekko się poobijali, ale Sylwia kuleje, chyba kostkę skręciła, syczy z bólu, mimo to Cezary wlecze ją do samochodu i wrzeszczy zamknij się, nie udawaj, bo cię dobiję.

Gdy chłopcy docierają do zaparkowanego pod domem zamordowanych białego mercedesa i wskakują na siedzenia - Cezary z dziewczyną z przodu, a Michał z tyłu, policjanci są już na dole. Otaczają wóz z każdej strony i nawołują, poddajcie się, nie macie szans. Cezary przekonuje Michała, że w świecie, w jakim do tej pory spędzali czas, też nie mieli szans, więc

niech Michał nie słucha słów wypowiedzianych przez manipulujących nimi policjantów, bo dzieło trzeba doprowadzić do końca, opus magnum musi zostać zwieńczone miłosnym wyznaniem dziewicy, i mówi do dziewicy, za którą ma Sylwię, i która w istocie nią jest, że ją kocha, i pyta, a ty, czy mnie kochasz?

Sylwii płacz jest teraz płaczem bezradności, bowiem dziewczynę boli noga, a poza tym nie potrafi powiedzieć takich słów do swego oprawcy, do kata tych, którzy nic mu nie zrobili, których zadźgał tylko dla zabawy, dla jakiejś dzikiej igraszki, którą zdaje się mu życie. Sylwia nie mówi Kocham cię, co doprowadza Cezarego do furii, więc wbija nóż w tapicerkę wozu i rozkazuje Sylwii, aby posłuchała głosu rozsądku, bo jeśli nie powie tego, co Cezary pragnie usłyszeć, nóż przeszyje jej dziewiczą szyję.

Ale w tym czasie Michała głowa odzyskuje pewien rodzaj sprawności, którą nazwać można byłoby dochodzeniem do trzeźwości umysłu po spożytych alkoholu, już ostatnie procenty wylatują z niego obrzygując tapicerkę w wysprzątanym samochodzie i rękaw Cezarego T-shirta. Cezary wzdryga się przed obrzydlistwem, otrzepuje rękaw, znów wbija z wściekłością nóż w tapicerkę i łaje Michała, ty Świnio, zejźdź mi z oczu. Michał chce zejść z oczu Cezarego, tym bardziej że nie może znieść tego, że Sylwia miałaby wyznać mu miłość. Michał nie wie jednak, jak wyjść z wozu, bo nogi odmawiają mu posłuszeństwa, a do umysłu dociera powoli, że jego wyjście z wozu będzie ostatnim wyj-

ściem z czegoś, z czego zapragnie wyjść sam, dzięki sile woli, zdaje sobie bowiem sprawę, że popełni! podwójne morderstwo i że zaraz będzie sprawcą trzeciego, jeśli natychmiast nie przerwie tego piekła. Już czuje się trzeźwy, już wie, że sprawy zaszły za daleko, że to nie jest bezkarna gra, w którą zagrał z przyjacielem na wirtualnym podwórku. Podwórko jest prawdziwe, a w domu są dwa trupy. Zostaw ją, mówi Cezaremu, chyba nas pojebało, chyba nas całkiem popierdoliło. Wystawia lewą nogę za drzwi, kątem oka dostrzega kordon policji, a wciąż nadjeżdżające nowe wozy na sygnale budzą w nim ostatnie odruchy człowieczeństwa. Nie zwraca już uwagi na wrzask Cezarego, który grozi mu, że jeśli wyjdzie, zabije dziewczynę. Michał wychodzi z samochodu z podniesionymi rękoma i błaga, padając twarzą na ziemię, nie strzelajcie, bo ona zginie, nie strzelajcie...

Michał płacze, wtulając policzki w trawę ogrodu zamordowanej rodziny. Jego rozpacz wzbudza ostatni zryw agresji Cezarego, który rąbie nożem na oślep w tapicerkę wozu, jakby chciał zagłuszyć krzyk Sylwii, która jest teraz w głębokiej hysterii, w jakiej być może jedynie dziewczyna, która nie wierzy już w swoje ocalenie. Dopiero złamany nóż, którego ostrze zostaje w tapicerce, sprawia, że Cezary uświadamia sobie swoje fatalne położenie. Wychodzi z samochodu i krzyczy, zabijcie mnie, zastrzelcie, bo nie dokończyłem opus magnum, nie zabrałem jej w podróż do wieczności. Rozkłada ręce na boki i czeka, aż dosięgną



go sprawiedliwe kule policjantów, stojących z gotowymi pistoletami, aż poczuje ich chłód w swoim ciele i upadnie na ziemię po drugiej stronie wozu, z dala od Michała, naprzeciw sędziów swej nikczemności, z której nadal nie zdaje sobie sprawy, bo jeszcze by się na nich rzucił, jeszcze by zobaczył, jak po zakłuciu nożem krew zalewa ich szarość, a dzięki temu świat wokół staje się inny, system się wykrwawia, a Cezary rządzi, jak chce.

Nic takiego jednak się nie dzieje, policjanci tylko w niego celują, a chłód wiatru wkradającego się pod T-shirt chłopaka uświadamia mu, że nie zginie tu, na miejscu popełnionej przez siebie zbrodni, ale w miejscu, w którym umierać będzie codziennie, gdy zmierzy się z życiem w zamknięciu. Znów więc nie może osiągnąć tego, czego pragnie, tym razem swojej własnej śmierci.

Policjanci opuszczają broń i podbiegają do Cezarego. W tym czasie Michał już jest w ich władzy, skuty kajdankami, płacze na tylnym siedzeniu niebieskiego wozu policyjnego, który wiezie go do miejscowej komendy policji. To samo za chwilę stanie się z Cezarym, który skuwany kajdankami właśnie myśli, że nóż, wbijany przez niego w ciała rodziny Majów, wbił tak naprawdę w swoje serce.

Nie zdążyłam, Sabina uczepiła się palcami ogrodzenia domu Majów. Jeździłam i czekałam tyle godzin, aby nie dojechać na czas. Patrzy na skuwanego Ce-

zarego, którego oślepia blask policyjnych wozów. Tak wiele reflektorów skierowanych jest na niego, że zaczyna krzyczeć, zgaście to światło, ale wtedy jasność jego czynu zdaje się być jeszcze większa, bo najbliższy znajdujący się niego policjant uderza chłopaka pałką w plecy, zamknij się, morderco, syczy przez zęby.

Co tu się stało, Sabina pyta policjanta, który stoi przy płocie. Podwójne morderstwo, mówi jej, dzieci zabiły ojca i matkę kolegi, kuchennymi nożami.

Dlaczego? Sabina wie, że niepotrzebnie zadała to pytanie, bo nie pyta się o coś, co nawet gdyby miało źródło, nie powinno się ujawnić.

Kurwa, policjant drapie się w głowę prawą ręką, a lewą poprawia pasek na wystającym brzuchu, niech pani spojrzy na tę gębę niewiniątka, wskazuje na Cezarego, chuj wie, co mu strzeliło do łba.

W tym momencie Sabina uświadamia sobie, że jeżdżąc w poszukiwaniu chłopców, stała się uczestniczką ich zabawy. Chciała coś zrobić, aby ich uratować. Już jest jednak za późno. Gdy za Cezarym zamykają się drzwi policyjnego wozu, Sabina wie, że to koniec ich gry. Ona jednak jeszcze w niej tkwi, jeszcze musi się dowiedzieć, o co w tej grze chodziło, bo nie da jej to spokoju.

Cezary odjeżdża w eskorcie dwóch policjantów, którzy nawet nie myślą o tym, że należałoby go uśmiercić, tak jak on uśmiercił niewinnych ludzi, bo myśli, podobnie jak mowę, im odjęło. Ci policjanci nie mogą

uwierzyć, że zobaczyli krwawą rzeźnię, i dziękują Bogu, że nie byli jej świadkami, dziękują sobie i swoim żonom, że nie mają takich dzieci.

## UTRACONE PIĘKNO ŚWIĄTYNI

Niebo nad dwustutysięcznym miastem jest o godzinie siedemnastej tak samo jasne jak wczoraj, myśli Dawid, który wyszedł przed komendę policji i zapalił papierosa.

Przed chwilą prokurator postawił jego synowi zarzut podwójnego morderstwa z premedytacją. Sprawy potoczyły się zbyt szybko, aby Dawid zdążył pojąć, co się stało. Jeszcze nie dociera do niego, że to koniec wychowawczego trudu ponoszonego wobec syna, ale dociera, że skończyło się coś ważnego w jego życiu.

Gdy zaciąga się dymem, myśli, że wolałby, aby jego syn Cezary nie żył, wolałby, aby leżał martwy, a on opłakiwałby jego zwłoki, tak jak opłakują je ojcowie synów zabitych niewinnie i słusznie, ale martwych, co jest dla rodzica zwiastunem śmierci również ich samych, bo to znak końca dotychczasowego życia.

Dawid na co dzień nie pali, więc dym z papierosa drapie go w krtani tak mocno, że jego oczy szklą się od lez, a wtedy uświadamia sobie, że nie miał dziś rano żadnego złego przeczucia.

Nie miał go ani wczoraj, ani przedwczoraj, wcale nie miał przeczuć wobec swojego syna, więc jego umysł nie jest jeszcze w stanie uwierzyć, że ów syn dokonał podwójnej zbrodni.

Czy mój syn tam rzeczywiście był? Dawid patrzy w niebo, które jest teraz prawie takie samo, jak było jeszcze wczoraj, kiedy na nie patrzył, ale wtedy nie widział na nim samolotu. Teraz wielka maszyna przelatuje nad miastem i przywołuje ostatnie dobre wspomnienie. Mieli wybrać się na rodzinną wycieczkę do Barcelony. Samolotem. Wszyscy cieszyli się na myśl o słońcu, owocach morza, słodkim lenistwie. Czy takiego czynu może dokonać ktoś, kto grzecznie pozdrowia sąsiadów i uczy się prawie na samych piątkach, potrafi marzyć o słońcu nad morzem i o lataniu, myśli Dawid.

W uszach mu dudni, że przecież mógł zapobiec tej tragedii, mógł kontrolować syna bardziej, sprawdzać, co robi, gdy robił to wszystko, co skłoniło go do pójścia do rodziny Majów.

Co mógł zrobić wcześniej, aby jego syn, który nigdy nie pił, nie mówił brzydkich słów, nie chodził na prywatki do kolegów, nie wdawał się w młodzieżowe awantury, nie popełnił podwójnego morderstwa?

Mogłem wyłączyć prąd, kiedy grał tak długo w gry komputerowe, Dawid szuka w głowie wszystkich powinności, których zaniechał wiedziony przekonaniem, że Cezary jest w gruncie rzeczy rozsądnym chłopcem, niemyślącym o władzy nad ludzkim życiem. Dawid przecież nigdy do władzy nie dążył, nie ubolewał nad jej brakiem, nad wyższością posiadania czegokolwiek, nawet wzdrgał się przed potwierdzeniem głośno do innych, że posiada dzieci, ale może gdyby je posiadał, nigdy by jednego z nich nie utracił na zawsze, rozważa ojciec, stojąc pod komendą policji, na jednym z trzech prowadzących do niej schodków.

Gdy gasi papierosa na ziemi, bo nie chce mu się szukać kosza na śmieci, czuje już, że zaraz nie będzie sam na sam ze swoją hańbą, bo tak odczuwa czyn syna, za chwilę będzie musiał zmierzyć się jeszcze z hańbą, którą przyniosą mu na przerażonym obliczu żona i córka oraz kobieta, która jest matką drugiego chłopca, sprawcy morderstwa, które uczyniło i jej syna bezwartościowym więźniem najniższych instynktów. I gdy obraca się na pięcie, aby spojrzeć na budynek komendy, świeżo pomalowany, jakby policjantom zależało na przedłużeniu jego istnienia dla przesłuchiwania takich, jak jego syn, widzi przed sobą żonę, która patrzy na niego wzrokiem pełnym bólu, i wygląda to tak, jakby wcale na niego nie patrzyła, tylko zawiesiła wzrok w pustej przestrzeni, którą on jej się wydaje.

Co się stało z twoimi włosami, Lauro, pyta patrząc na jej jeszcze rankiem ciemne skronie. Teraz są białe, jawią się niczym dwa skrzydła anioła przy jej pozornie majestatycznej twarzy.

Oto jego żona, która zawsze czytała w jego myślach, zanim zdążył powiedzieć, czego potrzebuje, matka jego syna najdroższego na świecie, stoi przed nim, a on nie potrafi odgadnąć, czy zaraz będzie płakać, czy upadnie rzeczywiście, jedynie czuje bezmiar jej bólu. Obejmuje ją więc, bo tylko tyle może zrobić. Milczy, wiedziony przekonaniem, że wszystko, co powie, stanie się przyczyną jeszcze większego bólu w nim i w jego Laurze. To ona jednak przerywa ciszę, bo chce powiedzieć coś najwyraźniej, jak to widzi w chwili, w której dojrzeć cokolwiek jest trudno, gdyż spojrzenie jest zbyt subiektywne, aby mogło nosić znamiona jakiegokolwiek prawdy.

Umieliśmy się od siebie oddalić, aby wciąż na nowo odkrywać nasze małżeństwo, Dawidzie, Laura trwa w uścisku męża, nie oddając mu go jednak, ale nie potrafiliśmy zbliżyć się do naszych dzieci.

I wtedy, gdy wypowiada te słowa, płacze głośno, a Dawid nie do końca rozumie ich znaczenie, podchodzi do nich Ewa, matka Michała, która pragnęłaby tak mocnego uścisku, w jakim jest teraz Laura, u boku męża. Nie dotrwała jednak w małżeństwie chwili, w której mężczyzna podzieliłby jej rozpacz, przejął część odpowiedzialności, rozpadłby się na kawałki, jak ona teraz, co czuje wyraźnie, a czego nikt nie może zo-

baczyć, tak jak nikt nie widział codziennego rozpadu osobowości jej syna, nawet ona sama go nie dostrzegła, teraz zaś go doświadcza, bo dotyczy jej samej.

Ewa nic nie mówi, tylko przygląda się Laurze i Dawidowi z grymasem półuśmiechu na twarzy, to uśmiech hysterii, która nie może jeszcze znaleźć ujścia, gdyż jest zbyt świeża, aby matka, wierząca nadal w odzyskanie dziecka, pozwoliła jej wydostać się na powierzchnię z wnętrza dygocącego ciała.

Marta także wychodzi z budynku i siada na pierwszym stopniu schodków prowadzących do środka. Zaplata dłonie na kolanach, z nikim mówić nie chce, bo nie mam o czym, uznaje. Wszystko już się wydarzyło, nic więcej zdarzyć się nie może, nic gorszego nie stanie się już nigdy moim udziałem, choć udziału nie wzięłam w katowaniu ofiar. Chyba nigdy już nie wyjdę z domu, myśli, chowając głowę w ramionach. A może jednak wzięłam, zastanawia się, ocierając łzy rękawem bluzy. Może powinnam powiedzieć rodzicom, że Cezary planował stworzyć królestwo genetycznie zmodyfikowanych ludzi, osiłków, niezniszczalnych wojowników, którzy słabych pograżą w ciemnościach, jak mówił. Wtedy jednak brała te słowa za fantasmagorię brata, który mając miękkie serce, bo przecież tak martwił się głośno o wszystkich, chciał pokazać światu waleczne oblicze. Teraz Marta nie chce już widzieć żadnej z jego twarzy, bo brat przestał dla niej istnieć, od teraz boi się go naprawdę, teraz cieszy się, że nie stała się jego ofiarą, a mogłaby nią być, bo jest



siostrą człowieka, który żył w świecie, z którego jakby nie był i którego nie rozumiał.

Marta podnosi wzrok na chwilę, obraca głowę w stronę drzwi wejściowych, bo zaskrzypiały właśnie głośniejszy, zwróciły jej uwagę, odrywają ją od uporczywego zastanawiania się, dlaczego to wszystko się wydarzyło.

W drzwiach staje Sylwia, na którą Marta jednak decyduje się nie patrzeć dłużej, więc każe głowie znów schować się w ramiona, aby nie myśleć, co przeżyła ta dziewczyna, choć słyszy, co przeżywa teraz.

Sylwia, drżąca, trzyma się kurczowo swojej matki, bizneswoman, która na co dzień jest szefową hotelu, więc umie rządzić i w tej chwili też zarządza, trzymając się mnie mocniej, córko, jakby obfite kształty matki mogły ukoić cierpienie dziecka. Ale to matka teraz przywiera ściślej do jedynej córki. Sylwia wciąż ma na sobie koc, gdy wychodzi z komendy policji po przesłuchaniu. Nie kuleje już, choć noga ją jeszcze boli po skoku z pierwszego piętra.

Kobieta z córką, świadkiem morderstwa, zatrzymują się przed wejściem. Matka, której elegancko przycięte włosy w modnym odcieniu brązu rozwiewa teraz wiatr, stara się uspokoić córkę, stanowczym uspokój się, choć trudno powiedzieć, dlaczego robi to akurat na oczach innych. Dopiero po chwili sytuacja się wyjaśnia, Sylwia nie może oddychać wewnątrz budynku, musi zaczerpnąć świeżego powietrza, czerpie je więc,

otwierając szeroko usta i wzdycha, patrząc w niebo, jak mi ciężko oddychać, mamó. Dziewczyna wciąż trzęsie się ze strachu, choć ten minął i nie może pojawić się ponownie, bo sprawcy nie mają możliwości już nikogo skrzywdzić, mówi jej matka. Sylwia jednak w tym momencie nie myśli racjonalnie, trudno się jej zresztą dziwić, w końcu śmierć rodziców Jana Maja też nie miała nic wspólnego z rozsądkiem, dlatego Sylwia przestaje w niego wierzyć, mówi matce, nawet jeśli rozum nie ma nic wspólnego z wiarą, z którą Sylwia również nie chce mieć już nic wspólnego. W tym wypadku zawiodła Sylwii szkolna dedukcja, że coś jest po coś, że wszystko czemuś służy, czegoś nas uczy, nawet na religii ksiądz tak uczył, któremu teraz Sylwia już nie ufa, co mówi matce głośno, aby wszyscy słyszeli i aby przestali ufać, bo ufność nieuchronnie prowadzi do doświadczenia, braku zaufania, a gdyby nie było ufnych ludzi nie byłoby rozczarowań, każdy byłby bardziej ostrożny, nie dał się zaskoczyć ani wierze, ani tym, którzy żądają zaufania wiernych. I zaczyna płakać.

Nic lepszego nie przychodzi jej do głowy, ale płacz zawsze jest rozwiązaniem najlepszym, mówi jej matka i z nienawiścią spogląda na rodziców Cezarego i matkę Michała. Przytula córkę, popłacz sobie, mówi, poklepuje po ją plecach, gdy Sylwia coraz mocniej ściska koc w kratkę.

Jak mogę teraz o tym zapomnieć, mamó, to jest takie żywe przed moimi oczyma, a przecież powinno umrzeć razem z tymi ludźmi, którzy umarli. Chciała-

bym, aby moje oczy umarły też, oczy, które zabrałam z ich domu, wciąż widzę to wszystko, jakbym ich krew miała w oczach, choć nie mam jej na rękach, i ręce pokazuje matce, żyć mi się nie chce, to moja wina wszystko jest, mogłam się wyrwać spod noża, nie dopuścić do tych zbrodni, uciec, na policję dzwonić.

Nie mów głupstw, matka odsuwa córkę od świadków rozmowy, jednocześnie odsuwając dłonią pasmo modnych włosów ze swojego czoła. Proszę nie patrzeć, proszę odejść, precz od mojego dziecka! Nie chce, aby na nią patrzyli rodzice morderców. Niech zabierają te wstrętne oczy, bo im je wydłubie, wykołę im własnymi palcami, a palce ma silne, z długimi paznokciami akryłowymi, gotowymi do walki o córkę, tak jak walczyła z jej ojcem, aby nie mógł spotykać Sylwii, teraz już może, teraz się zgadza, bo to inna sytuacja, bo sama nie da rady dźwigać córki traumy. No, gdzie on jest, patrzy nerwowo na zegarek, już tu powinien być, przylecieć z Rzymu po tylu latach nieobecności, wspierać ją, kanalia, jakże matka go nienawidzi, bo się z nią rozwiódł, więc musiał za to zapłacić, nie jest powiedziane, że jeszcze płacić nie będzie, ona tego dopilnuje, kontrolę mieć będzie nad wszystkim, nad ojcem i traumą jedynaczki, jak nad hotelem, którym rządzi wzorowo, i dzieckiem swym, którym odważył się rządzić przez chwilę nóż młodocianego bandyty płci męskiej, co jasno wykazuje, że mężczyźni nie niewarci są, nie radzą sobie, rad kobiet nie słuchają. W tym kraju to kobiety dźwigają trud wychowania do-

brych dzieci, zwłaszcza córek, to one są bohaterkami, myśli matka i tak też mówi do córki, moja bohaterko, po matce masz co najlepsze, nie po ojcu. Niech się ojciec cieszy, że teraz może córkę ujrzeć, może pomóc, bo teraz jest naprawdę potrzebny, wcześniej nie był, po co jej byłby taki ojciec, który rzuca matkę, a skoro matkę, to do córki nie ma prawa się zbliżyć, chyba że w tak wyjątkowej chwili. Wyjątek wynika z potrzeby matki, nie córki. Potrzeby córki względem ojca nie były ważne dla matki do tej pory, ale teraz matka ma potrzebę podzielić się tym kłopotem, no bo co sama zrobię z poharataną psychicznie córką, dodaje jeszcze raz głośno.

Jakim trzeba być potworem, aby wychować tak potworne dzieci, mówi matka dobrej dziewczyny do złych rodziców morderców i rzuca ku nim kolejne złowrogie spojrzenie, a macie, poczujcie tę moc nienawiści, za krzywdę mojej córki i za moją krzywdę, którą mi także uczynił jej ojciec, dlaczego wciąż go tu nie ma, a powinien, natychmiast, gdy tylko się dowiedział, co zrobiły wasze złe dzieci, być tu. Jak straszni ludzie to być muszą, że z ich domu dzieci wyniosły strach, wniosły go do innego domu i jeszcze wlały w serce jej córki, tak delikatne, tak wrażliwe, bo jak ona to wszystko teraz ocenia, jak mądrze się wysławia, jak widzi głęboko cały aspekt tej sprawy, dobro od zła oddziela, jak mleko od kożucha, zła nie wolno czynić, można czasem źle myśleć, powiedzieć nawet, jeśli jest to subiektywnie uzasadnione, jak matka ją uczyła,

mądra córeczka, dobrze wychowana, moja kochana, moja jedyna, tuli ją jeszcze mocniej, jeszcze czulej do piersi dorodnej przyciska. Nie płacz, mamusia nie pozwoli ci już cierpieć, mamusia zajmie się wszystkim, całuje jej oczy, jak popatrzyś na piękne rzeczy, na piękną przyrodę, zapomnisz o tej tragedii, obiecuję ci, tatuś zaraz tu będzie, już wraca z Rzymu, aby być przy tobie, tak jak ja byłam, całe życie, dlatego jesteś tak dobrym dzieckiem, tak mądrym, dobro zawsze dobrem odpłaca, zawsze zwycięża, matka gada i gada, zamknąć się nie chce. Teraz Sylwia by ją najchętniej zepchnęła ze schodów, aby skończyła tę słowną tyradę. Niech wreszcie stuli głowę, chce jej wykrzyknąć, ale tylko wyzwala się z jej uścisku i płacze. Mamo, co ty mówisz, ty nic nie wiesz, to nieprawda, że zło rodzi zło, a dobro dobrem odpłaca! Nie ma dobra i zła. Zginęła dobra rodzina Majów, zły człowiek dorastał w dobrej rodzinie, dobry człowiek w złej, Sylwia chowa głowę w ramionach, są tylko oczy, które widzą, i oczy, które widzieć nie chcą, a moje, a moje właśnie oślepyły.

Co ty mówisz, co mówisz dziecko?! Matka macha nerwowo dłońmi przed oczami jedynej córki, musisz widzieć, przed chwilą widziałas, patrzyłaś na mnie, no, popatrz raz jeszcze, zmusz się, zmuszę cię! Potrząsa córką ślepa, pomocy woła, lecz gdy przybiegają rodzice morderców z pomocą, odtrąca ich, wynocha stąd, łapy precz od mojego dziecka, nienawidzę was, zobaczcie, co zrobiliście, ona nic nie widzi!

Na szczęście już psycholog policyjny jest z pomocą, bo właśnie przyjechał karetką. Zajmuje się najpierw matką, na córkę przyjdzie czas za chwilę, bo chwila dla matki znaczy znacznie więcej niż dla jej córki, która przy matce zachowuje względny spokój, po prostu siedzi w kucki i milczy, podczas gdy matka wrzeszczy wniebogłose, dlaczego nie widzisz?! Jak mogłaś mi to zrobić! Jak możesz mnie nie widzieć?!

Już ją sanitariusze związują białym kaftanem bezpieczeństwa, cienką igłę wbijają, zastrzyk uspokajający aplikują, och, jaki spokój ogarnia matkę, na nosze ją kładą jak kłodę na barcę, gotową, by odpłynąć. Matka na córkę nawet nie patrzy, jakby jej wcale nie miała, pod kocem w kratkę ją zostawia, w bezpiecznych rękach psychologa, a sama swoje ciało powierza sanitariuszom, swój umysł umysłom innych, którzy się znają na umyśle takich jak ona.

Drzwi karetki zamykają się za matką, córka pojedzie tą drugą, przy odrobinie szczęścia jutro przejrzy na oczy.

To efekt szoku po psychicznym urazie, mówi rzeczowo lekarz psychiatra, który też właśnie przyjechał w drugiej karetce. Wprowadza dziewczynę do samochodu z napisem ambulans. Ten rudowłosy lekarz po czterdziestce wie, że w przypadku hysterii należy zachować spokój na zewnątrz, pozwolić dziewczynie oślepnąć, by uspokoiło się wewnątrz, które zderzyło się z widokiem bez perspektyw, więc mówi jej, aby sama zdecydowała, kiedy zechce widzieć, być może wtedy,

gdy ojciec zabierze ją od matki na zawsze, o czym Sylwia marzy, odkąd skończyła pięć lat, bo wtedy właśnie matka zabroniła jej widywać tatę.

Rodzice morderców zostają sami na schodach komendy policji. Zaraz przewiozą ich do aresztu, Ewa decyduje się otworzyć usta do Laury i Dawida, choć zdaje sobie sprawę, że lepiej by było, aby nie otwierała ich nigdy więcej. I tak nikt nie zrozumie cierpienia matki mordercy. Płacze. Co uczyniliśmy, że to się stało, pyta, unosząc oczy do góry, jakby chciała wraz z nimi unieść dziecko z tej beznadziejnej sytuacji. Czego im nie daliśmy, że tak nam odpłacili, że chcieli zostać samotnymi bohaterami?

Laura i Dawid nie potrafią jej odpowiedzieć na to pytanie, bo nie są jeszcze gotowi szukać na nie odpowiedzi. Dawid, który wypuścił Laurę z ramion, wie, że nie będzie w stanie jeszcze długo jej objąć, bo teraz są sobie jak obcy, choć łączy ich to samo cierpienie z powodu utraconego na zawsze dobrego dziecka. Dawid wykona jeszcze ostatnie obowiązki wobec syna - dowiezie mu do aresztu szczoteczkę do zębów, ręcznik, książki, których nie czytał, bieliznę osobistą, skarpetki, ołówek, kartki, nie, ołówek mu nie dowiezie, bo takich rzeczy chłopak nie może mieć przy sobie. Ołówek ma osiem centymetrów długości i jest wystarczająco cienki, aby zrobić sobie nim krzywdę, a na to nie zgodzą się ci, którzy będą Czarka pilnować, aby go chronić przed śmiercią, zupełnie inaczej niż postąpił jego

syn, który nie chronił istnienia innych, ale ich go pozabawił.

Odwieziemy panią do domu, proponuje bez sensu Dawid i łapie Ewę pod rękę.

Nie! Kobieta wyrywa się gwałtownie. Pójdę pieszo.

Odchodzi, przewidując, że pięć kilometrów drogi do domu będzie najdłuższym w jej życiu dystansem do pokonania, nie pozwoli jej ani na chwilę zapomnieć, ani przez sekundę nie przyniesie ukojenia, jedynie przedłuży moment odczucia z całą mocą, że jej syn stał się samotnym bohaterem niczym Herostrates, który zburzył dla kaprysu świątynię w Efezie. I mimo że nigdy o nim nie czytał i nie słyszał, los jego stał się podobny - wszyscy zapamiętają, jak obszedł się z życiem, które wziął w swoje ręce w momencie, gdy wziął w nie nóż. I zapamiętają go tak, jak pamiętają Herostratesa, o pięknie świątyni nie dowiedziawszy się nigdy.

Marta wstaje ze schodów i podchodzi do ojca. Łapie go za rękę.

Chodź, tato, jeszcze masz mnie.

Ojciec chciałby w tej chwili, aby niewinna Marta była niewinnym Cezarym. Patrzy na córkę z uśmiechem, który wyraża zawód. Nie pozwala jednak go córce odczytać, tak szybko łapie ją za głowę i wtula w swoje piersi. Laura nie może znieść ich widoku. Ru-sza do domu drugą stroną ulicy.

Ojca dłonie zamierają w jasnych włosach córki.



## A CZEGO PANI TAM, DO CHOLERY, SZUKA?

Prokurator Tomasz Habros kładzie nogi na biurko i opiera się całym ciężarem pleców o wezglowie czarnego fotela. Mimo dużego brzucha udaje mu się tak usadowić, aby w wygodnej pozycji przeczytać lokalną gazetę. Jego małe niebieskie oczka, głęboko osadzone pod wystającym lekko czołem, szybko biegają po papierze w poszukiwaniu miejscowych sensacji. Jest zadowolony, gdy czyta tekst o wczorajszej zbrodni w domu Majów, drapie się po głowie, układa przedzone włosy palcami. Dziennikarka napisała tylko tyle, ile jej powiedział, ani słowa więcej. Czyli to oznacza, że czegoś się te pismaki nauczyły, mruczy pod nosem. Jakże łatwo byłoby ludziom przekazać to, co dwaj młodzi zabójcy mówili podczas przesłuchania, ale po co, zastanawia się prokurator. Zabiłem, bo tak wyszło, mówił Cezary. Zabiłem, bo to zaplanowaliśmy, przyznał się Michał. Obaj nie mieli nic więcej do powiedzenia. Taka motywacja nie mieści się w głowie pro-

kuratora, ale innej też nie widzi w tym bezsensownym jego zdaniem czynie. Teraz ściąga nogi z biurka i wykręca numer swojej ulubionej restauracji, chciałbym zamówić carpaccio z kaczuszki, mówi do słuchawki, mam nadzieję, że będzie takie jak ostatnio, i dlatego dzwonię specjalnie, abyście zdążyli przygotować. Będę za godzinę.

Prokurator ma dziś dużo pracy i zdaje sobie sprawę, że powinien zamówić danie na wynos, ale coś takiego nie korespondowałoby jednak z jego umiłowaniem do bywania w miejskich restauracjach. Pochlebia mu odkłanianie się na lewo i prawo, kiedy spotyka znane twarze, często użyteczne w codziennym życiu, a kto wie, kiedy mogą się przydać w przyszłości.

Gdy przegląda wyniki sekcji zwłok Laury i Gerarda Majów, jest zaskoczony okrucieństwem młodych morderców. Jeszcze większe zdziwienie ogarnia go na myśl o tym, że przecież zna ojca Cezarego Grunwalda, i trudno mu uwierzyć, by to wydarzyło się w tej rodzinie. Chłopaki wpieprzyły się na amen i nic ich nie uratuje, a ja im jeszcze dołożę. Na jego twarzy pojawia się wyraz zadowolenia, który świadczy o pewności tego, co zamierza zrobić. Prokurator Habros nie ma jednak czasu się nad tym dalej zastanawiać, bo właśnie ochrona informuje, że przyszła dziennikarka Sabina Krop. O Boże, myśli prokurator, wstając od biurka i poprawiając pasek pod brzuchem. Ta znowu węszy, a niedługo wychodzę, myśli prędko, do restau-

racji jest piętnaście minut spacerkiem, przez nią będę musiał się spieszyć.

O, witam panią, prokurator jest jak zawsze nienaturalnie ugrzeczniony, myśli Sabina.

Tomasz Habros siada na swym fotelu, który pod jego ciężarem lekko skrzypi, co zwraca uwagę Sabiny na jego zbyt obfitą masę.

Czyżby w sprawie naszych młodych morderców, mówi drwiąco prokurator. Tym razem nie telefonicznie, że tak powiem.

Tak, dzień dobry, Sabina Krop pyta, czy może usiąść, i siada szybko, nie czekając na odpowiedź, bo widzi pan, panie prokuratorze, chciałabym dostać zgodę na widzenie z chłopcami, jeszcze przed procesem.

Wybaczy pani, ale chyba pani oszalała, prokurator nachyla się nieznacznie nad biurkiem. To niemożliwe, odsuwa się gwałtownie, mam nadzieję, że pani rozumie.

W jego nalanej twarzy trudno Sabinie rozpoznać rzeczywiste rysy, podobnie jak w jego sztucznej grzeczności, myśli Sabina, trudno znaleźć coś prawdziwego.

Wierzyłam, że skoro się znamy, pójdzie mi pan na rękę, mówi Sabina i uśmiecha się mimo odczuwanego wstępu do fizjonomii prokuratora.

Pani Sabino, za rękę, to ja mogę panią potrzymać, na przykład, gdyby mi pani towarzyszyła przy carpaccio z kaczuski, które właśnie zamówiłem w jednej z najlepszych naszych restauracji, prokurator podnosi

wysoko krzaczaste brwi i przyciska drobne, pulchne dłonie jedną do drugiej, jakby w ten sposób chciał zachęcić Sabinę do dzielenia z nim posiłku. Mógłbym ją też pani odrąbać, gdyby ją pani wkładała gdzie nie trzeba, nagle zmienia wyraz twarzy, marszczy czoło.

A fuj, Sabina wzdryga się na myśl o tym, jak gruby prokurator obżera się tłustą kaczką pokrojoną specjalnie dla niego.

Dziękuję, nie jadam carpaccia z kaczuszki, mówi z uśmiechem, mimo to nalegam, proszę, poprawia się, aby wydał pan tę zgodę, bez odrąbywania mi dłoni.

A ja słyszałem, że pani ostatnio niezłego dymu narobiła, o koledze moim, serdecznym, bankowcu, źle napisała i o naszym radnym też niezbyt pochlebnie, wycelowuje w Sabinę palec wskazujący. Opiera się o fotel, teraz dłonie na brzuchu zaplata. Przybiera pozę, jakby czekał, co Sabina powie na swoją obronę.

Pozwoli pan, że przemilczę ten temat, to nie ma nic wspólnego ze sprawą, odchyła głowę w bok, nie chcąc spotkać wzroku tego dyspozycyjnego politycznie prokuratora, bo tak o nim mówią w mieście, w którym lubi jadać codziennie z innym politykiem czy biznesmenem.

Ależ ma, ma, wiele ma wspólnego, prokurator nie daje za wygraną, chcąc odciągnąć dziennikarkę od tego, po co tu przyszła. Wstaje, podchodzi do niej, przysuwa głowę do jej twarzy, opiera się jedną dłonią o biurko. Bo widzi pani, pani przecież wie, że nikt

z nas nie jest bez winy, no bo kto jest? Pani jest? Też by się coś znalazło, gdyby dobrze poszukać, prawda? Ludziom trzeba wybaczać drobne potknięcia, wszyscy musimy jakoś ze sobą żyć w tym mieście, jakoś się dogadywać, pomagać sobie nawzajem, zwłaszcza gdy mamy zobowiązania finansowe, tu kredycik, tam kredycik, nieprawdaż? Prokurator odsuwa twarz od Sabiny, obraca się na pięcie, patrzy w okno. Sabina stara się zachować spokój. Milczy, ale czuje w sobie głęboką pogardę dla tego człowieka.

Jak to jest, że pani porządnym ludziom troszkę szkodzi, prokurator znów się do niej przysuwa, no, może mały błąd zrobili, w porządku, ale kto ich nie robi? A złym chłopakom pani chce pomóc, kręci się pani koło nich. Przecież oni są już przegrani. Po co? Czego pani tam, do cholery, szuka? Ktoś może w końcu pani zaszkodzić.

Bo chcę o nich napisać, mówi spokojnie Sabina. Prawdę.

Już jej się zdaje, że wie, o co mu chodzi, co mu po głowie krąży, chciałby ubić interes, zrobić z niej cielę na usługi, ale nie da się sprowokować, postanawia. Prawdę, rozumie pan, prawdę, powtarza, patrząc mu teraz w oczy. Pan jako człowiek prawa wie chyba, o czym mówię.

A czym jest prawda, droga pani Sabino? Prokurator podnosi głos, policzki mu płoną, prostuje się gwałtownie, znów podciąga spodnie, poprawia krawat, krew uderza mu do głowy. Z dyrektora banku i radnego

miasto ma jeszcze jakiś pożytek, mówi, a przecież z tych chłopaków już nie będzie. Każdy z nas musi jakoś żyć w tym świecie i każdy z nas chce żyć na przyzwoitym poziomie. Widziała pani, co oni zrobili? Przeczytam pani z raportu sekcji zwłok, prokurator sięga po papier z biurka. Proszę bardzo: kobieta, pięć ran kłutych podbrzusza, przebita wątroba, trzustka, żołądek, jelita; sześć ran kłutych kończyn dolnych, cztery kończyn górnych, rany kłute twarzy: oczy, czoło, gardło, miazga. Mężczyzna: liczne rany kłute podbrzusza, przekłuty worek mosznowy, prącie; rany kłute klatki piersiowej: serca, płuc, przebita aorta...

To straszne, ma pan rację, przyznaje Sabina, ale czy to powód, abym nie pisała o tym do gazety, że dwóch chłopców dokonało takiej masakry?

Pani Sabino, no niechże pani pisze, prokurator wciąż trzyma raport w dłoni i zmienia ton na bardziej życzliwy, przecież ja pani osobiście udzieliłem tych informacji, że oni to zrobili i co zrobili. Ale po cóż pisać więcej, babrać się w tym temacie, chodzić do nich do aresztu, po co to wszystko? Co pani chce, ludzi straszyć? Oj, żeby pani ktoś nie wystraszył porządnie! Grozi jej palcem.

Nie, nie, przed chwilą to pan mnie straszył, mówi odważnie Sabina, choć zdaje sobie sprawę, że ta odwaga odsuwa ją od osiągnięcia celu, w jakim tu przysłała. Znałam jednego z tych chłopców. Był z porządnej rodziny. Chcę się dowiedzieć, co ich do tego skłoniło, czego się spodziewali po tym, co zrobią.

Ja pani nie straszę, ale pani dobrze wie, że mógłbym, gdybym tylko chciał, na przykład doczepić się, co wazsza rodzina zrobiła z pani bratem. No co, замуrowało panią? Myśli pani, że ma pani tajemnicę, o której nikt nie wie? To małe miasto.

A co pan może wiedzieć o moim bracie? Ja sama nie wiem, co się z nim stało, spuszcza głowę Sabina. Prokurator trafił w jej słaby punkt.

Na pani brata przyjdzie jeszcze czas, twarz prokuratora jest teraz wykrzywiona tryumfem. Ale póki co, niech pani wie, że też znam ojca jednego z zabójców, no i co z tego, prokurator nie będzie się długo zastanawiał nad przegranymi, jestem tego pewien. Do mnie należą inne obowiązki, ukarać tych, którzy są aspołeczni, nie ma z nich pożytku, podnosi głos. Syn Grunwalda dokonał podwójnego zabójstwa, nie wyjdzie z tego. Zresztą, po co o tym dyskutujemy, ich wina jest oczywista, zostali złapani na gorącym uczynku.

To tym bardziej może mi pan pozwolić, abym się z nimi spotkała, Sabina podnosi głowę. Już sobie tłumaczy, że nie może dać się ponieść emocjom. Nie ma obaw mataczenia w śledztwie, no i przyznali się, jak sam pan powiedział.

Sabina nie rozumie, dlaczego prokurator tak się uparł. Mógłby to dla niej zrobić natychmiast, bo nawet sędzia w tym mieście nie sprzeciwiłby się Tomaszowi Habrosowi. Z tego, co wie, łączą ich wspólne sprawy, jak na przykład wyprawy na dziwki. A może

chodzi mu o dyrektora banku i radnego, może coś za coś by chciał, kanalia, niech się udławi tym carpaccio z kaczuszki, patrzy na niego, nie ukrywając już, że źle o nim myśli.

Zawsze są obawy, że będą mataczyć, mówi prokurator nieugięcie, a ja mam procedury, obowiązują mnie do końca procesu. Nie dam pani zgody, nie ma takiej możliwości.

Procedury, parska Sabina, ja też mogę coś dla pana zrobić, i przymilnym głosem sugeruje prokuratorowi, że zostawi w spokoju kolegę z banku i rady miasta. Przynajmniej na jakiś czas, na przykład na czas zajmowania się sprawą chłopców.

No, to zająć może pani przynajmniej kilka lat, śmieje się głośno prokurator. Poza tym, wie pani, moja zgoda to jeszcze pół biedy, pani zapomina o tym, że ci mordercy też muszą się zgodzić na rozmowę z panią, bo oni wciąż mają swoje prawa.

Racja, przyznaje Sabina, ale jeśli pana nie przekonam, nie ma sensu przekonywać ich. Zakłada nogę na nogę, prostuje ramiona, eksponuje dekolt, unosi lewą rękę i kładzie ją na krześle, a do tego mogą dorzucić, panie prokuratorze, moje towarzystwo przy następnym carpaccio.

Tu prokurator Tomasz Habros odchrząkuje zdecydowanie, zapina guziki czarnej marynarki, przejeżdża pulchną dłonią po nalanych policzkach. Zaoszczędziłby jeden raz na dziwkach, do tego paliwo, bo przecież nie można za dużo dupczyć w mieście, w którym



się mieszka, kilka drinków dla kurew, podsumowuje szybko, no i dziennikarka miałaby wobec niego dług wdzięczności.

Dobrze, mówi z przekąsem, przekonam sędziego.

## SILNE ZĘBY TEŻ GO ZAWIODŁY

To nie jest dobry pomysł, aby chłopcy siedzieli w jednej celi, uznaje dyrektor aresztu i oddziela przyjaciół od siebie tak, jak oni oddzielili się od życia na zewnątrz - radykalnie.

Dyrektor jest wąsatym, siwiejącym mężczyzną po pięćdziesiątce, który nigdy wcześniej nie słyszał o zbrodni podobnej do tej, jakiej dokonali ci nastolatki wyglądający na zadbanych chłopaków. Dotychczas dyrektor spotykał tu i przyglądał się dzieciakom w ich wieku zaniedbanym rodzicielsko - uzmysławia sobie, zamykając drzwi do swojego gabinetu. Ci, którzy tu siedzieli i jeszcze siedzą, nie mieli łatwego życia, porzucały ich matki, odchodzili od nich ojcowie, gwałcili ich krewni, musieli żebrać, kraść, kłamać i zabijać dla własnego bezpieczeństwa albo zysku. Nauczyli się tego w procesie przystosowawczym, który w ich wypadku się nie powiódł. Nigdy jednak nie siedział tu nikt w tak młodym wieku, kto zabiłby bez wyraźnego

motywu, za nikim, kto rąbał nożem dla zabawy, nie zatrzasnęły się drzwi celi. Tym bardziej trudno dyrektorowi zrozumieć, co tak naprawdę się stało w głowach tych dzieci, które siedzą już w areszcie od miesiąca i siedzieć mają do końca życia w więzieniu.

Michał zaczął czytać, co dyrektora cieszy za każdym razem, gdy zagłąda do jego celi. Książki przygodowe, science fiction, kryminały, o miłości nawet, lekkiej, nieskomplikowanej. Ten chłopak wydaje się pogodzony z życiem, jakie musi tu wieść. Uśmiecha się nawet do dyrektora, co go dziwi, więc nie może odwzajemnić tego uśmiechu, gdyż oznaczałoby to aprobatę dla wyrzutka, akceptację tego, że żywi go państwo, a to on powinien pracować na państwa potrzeby, bo jest młody i mógłby to robić, gdyby nie zrobił tego, z powodu czego dyrektor nie może się do niego uśmiechnąć. Karol Sycz musi być groźnym dyrektorem, za to mu płacą. W ten sposób zgniłe wnętrza więźniów, zwłaszcza morderców, zmuszane są homeopatycznie do refleksji, której dyrektor od nich oczekuje, aby zdrowy świat zewnętrzny wiedział, że w więzieniu proces resocjalizacji przebiega prawidłowo, co dyrektor zapisuje codziennie w dzienniku.

U Michała ten proces przebiega nawet wzorcowo, ocenia dyrektor, bo nie dość, że chłopak czyta, to jeszcze przestaje się uśmiechać, kiedy dyrektor mówi mu, żeby zabrał ten ryj i przestał go głupio wykrzywiać, bo jak nie, to klawisz mu go przytrzaśnie pięścią trzydziestoletnią, która niejedną ryj już stłukła za

uśmiech nie na miejscu. I gdy klawisz przychodzi na polecenie dyrektora, aby Michał przyjął zadowolającą mimikę, oto profilaktyka, trzask, trach, szczękę chłopakowi przestawia w jedną stronę i w drugą dla równowagi, by zachować wyraz twarzy pożądaną, Michał wdzięczny jest następnym razem, kiedy widzi się z dyrektorem. Nad uśmiechem panuje, nos złamany na przykład w książkę chowa albo ucho naderwane palcami chroni, kocem się nakrywa, głową lekko kiwa na dzień dobry i widać, że refleksja w nim się jakaś rodzi, że jakiś strach odczuwa, zgniliznę stopniowo nim zasłania, a przecież to dobrze, bo właśnie przez to, że strachu nie czuł wcześniej, analizuje dyrektor, zabił.

Dlatego też zakaz bicia więźniów dyrektor uważa za niepoważny, bo ustalili go ci, którzy nigdy nie pracowali w tak trudnych warunkach, nie wiedzą, jak ciężko więźnia wychować i jak niewielki byłby z niebitego pożytek, gdyby wyszedł na wolność, bez strachu znów by poszedł czynić zło. Więźniowie, którymi opiekuje się dyrektor tego aresztu, mają większą szansę uniknąć tych samych błędów, a będą je chcieli popełniać już w więzieniu, do którego niebawem trafiają, bo taką mają naturę, podejrzewa. On im pomaga z naturą walczyć, naturę okiełznać, która jest niczym innym, tylko groźnym, nierozpoznanym zwierzęciem w człowieku, a zwierzęciu się nie wytłumaczy słowami, trzeba je traktować karą i nagrodą. To jest możliwe, jeśli trafi się na twardą rękę, której osadzonym brak było całe

zycie. Tu ją mają. Dyrektor to wie, gdyż ma właściwe doświadczenie. Zdobywał je w wojsku, gdzie łamało się charaktery zakazem i nakazem, kruszyło się w silnych palcach ostatnie okruchy niesubordynacji, łapiąc za szczęki gęb pyskatych, zamieniając je w gęby prostolinijne, jak chcą przełożeni, w myśl zasady, że życie jest proste i tylko głupcy je niepotrzebnie komplikują, jeśli za dużo myślą, kombinują, nie godzą się na świat biało-czarny, a przecież tak jest świat lepiej postrzegać, wtedy i on potraktuje nas bez udziwnień, do więzienia nie zaprowadzi, wolność nam zagwarantuje. Trzeba tylko dokonać wyboru, czy chce się być po stronie białej, czy czarnej, bo po jakiejś być trzeba, coś trzeba wybrać, aby za nas nie wybrano, trzeba się zdecydować, aby decyzja innych nie stała się naszym przeznaczeniem.

Takie myślenie dyrektora zaprowadziło go do pracy, w której za dużo myśleć nie trzeba, lecz trzeba działać, aby ograniczyć działanie tych, którzy zawiedli w myśleniu. Dlatego pewnie Karol Sycz tak bardzo odczuwa brak intelektualnego zajęcia, więc gdy nalewa sobie koniaku, siadając za szerokim biurkiem i uruchamiając komputer, aby zrobić codzienny raport, myśli, że porozmawiałby z Cezarym i Michałem o tym, co się stało. Ma przecież syna niewiele starszego, bo osiemnastoletniego, i młodszego, dwunastoletniego, jednak odraza do czynu, jakiego dokonali ci młodzi mordercy, obrzydza mu tę myśl.

Dyrektor nie chciałby nawet przez chwilę pomyśleć, że któryś z jego synów zrobić mógłby to samo. Zdaje mu się, że nie jest to możliwe w normalnym domu, a taki, w jego absolutnym przeświadczeniu, tworzy na co dzień wraz ze swoją żoną.

Już dyrektor zamyśla się głęboko, sadowiąc się w swoim skórzanym, czarnym fotelu, już mu raport idzie szybko, bo niewiele się dziś wydarzyło, ale nawet jeśli się nie wydarzyło nic szczególnego, trzeba poddać się formalnościom i napisać o codziennym, nudnym przebiegu codzienności. Już planuje, co zdarzy się za godzinę, gdy będzie w domu, bo dyrektor zawsze planuje jedynie to, co stanie się w nieodległym czasie, już wie, że kiedy wróci do domu, poświęci się najpierw grze na play station z młodszym synem, bo tak robi codziennie, ponieważ jest przywiązany do codziennych rytuałów, które lubi i które go relaksują.

No, przynieś nam prażoną kukurydzę, Ireno, tak mówi do żony podczas relaksu przy grach, oj, jak dobrze, że wreszcie pograć możemy, codziennie tarłosi dwunastoletniego Patryka za włosy, rozsiadając się na podłodze w salonie. Patryk już trzyma dżojstik, ręka mu się poci, jakby brał udział w rzeczywistej formule jeden i przekonany był, że zaraz ojca ogra, zwycięży z nim, pierwszy dojedzie swym wirtualnym samochodem, który widzi gotowy do startu na ekranie telewizora w salonie, warkot silników dobija matki nerwy, która słyszy ten dźwięk w kuchni, i nie zagłusza go nawet skwierczący na patelni popcorn, ale matka mil-

czy, bo nie chce przeszkadzać swoim mężczyznom, cieszy się, że robią coś razem.

No, szybciej, co z tym popcornem, ponagla dyrektor żonę, który pogania rodzinę w domu tak jak pogania w pracy strażników, no, rusz się wreszcie, kobieto, życia w tobie za mało, my tu startować musimy.

Przecież jadłeś obiad dopiero, mówi ona, drapiąc się po krągłych ramionach, jeszcze ci się nie strawił dobrze, już wam ten popcorn niosę, nie dyryguj, pasek rozepnij chociaż u spodni, odetchnąć daj żołądkowi, flaków nie gnieć.

Dobłą ma żonę dyrektor, porządek w domu utrzymuje i siebie też w korbach codziennego ładu. Ładnie się nosi po domu, w fartuszkach zakrywającym wystający brzuszek, symbol panującej w domu obfitości. Włosy ma zawsze ułożone, jak w szafie ubrania, jak buty w przedpokoju ustawione w kuwetach, aby błoto się nie nosiło, aby męża nieporządek nie drażnił, by czasu nie tracił na zwracanie jej uwagi, ale mógł przyjąć uwagę żony na temat zgniecionego brzucha przez za ciasne dżinsy.

Mąż rozpina więc posłusznie spodnie, bo wie, że problem ma z trawieniem, za długo siedzi przy biurku i jeszcze siedzi przy grzech, ale jakże to przyjemne, jak miło tak siedzieć na podłodze z rozpiętymi spodniami, podrapać się tu i ówdzie, gdy nikt nie widzi, gdy jedzenie doniesione, pod nos podstawione, ciało zrelaksowane, mięśnie napięte inaczej niż w pracy, bo tylko ręce muszą manewrować, zwieracze puszczają,

bąk za bąkiem może na dywan wylecieć, relaks pełny, w domu, z synem u boku przypilnowanym, uczestniczącym w rytuale, żadnej samotności dziecka, żadnej nieuwagi ojca, bo ojciec skupiony jest na tym, co robią wspólnie, choć każdy dba o swój cel na ekranie, każdy trzyma swój dżojstik, swoją metę tylko dostrzega, gdy już do niej dociera, ale ich samochody są obok siebie, jadą tą samą drogą, krętą, ocierają się o bandy tak, jak oni siedzą na tym samym dywanie, ocierając się o siebie, gdy ciała ich falują poruszane tempem narzucanym przez partnera rodzinnej rozrywki.

Ta myśl uspokaja dyrektora. Dzwoni do żony powiedzieć, aby wstawiała ziemniaki, bo za pół godziny wraca z pracy. Jeszcze tylko kilka linijek tekstu w ramkach, o wydanych posiłkach, wypożyczonych książkach przez aresztantów, ich dzisiejszym sprawowaniu, jeszcze tylko założenie marynarki, rzut okiem za okno, gdzie czeka czerwona toyota. Ale gdy w spokoju kończy ostatnie zdanie raportu, do jego gabinetu wpada strażnik. Mówi szybko, że dyrektor musi rzuścić raport albo cokolwiek innego teraz robi, bo w celi numer osiem Cezary Grunwald podciął sobie przeguby dłoni ostrym narzędziem, że lekarz zaraz będzie, a chłopak chyba nie żyje.

Na Boga, skąd on wytrzasnął ostre narzędzie, dziwi się dyrektor, czerwieniejąc ze złości, bowiem, odkąd jest dyrektorem tego aresztu, żaden z aresztantów nie wpadł na pomysł równie głupi, aby zadawać



sobie inny ból niż ból siedzenia tutaj, i to jeszcze przy użyciu ostrego narzędzia. Być może jednak jest dyrektorem zbyt krótko, bo dopiero dziesięć lat, a rzeczywistość się zmienia, dostarczając mu, począwszy od ostatniego miesiąca, coraz bardziej pomysłowych osadzonych, mających coraz dziwniejsze pomysły na zadawanie sobie cierpienia w przegranym i tak życiu. Dyrektor zakłada prędko marynarkę i biegnie korytarem do ósemki, aby zobaczyć to narzędzie, którego istnieniu nie dowierza.

Chłopak siedzi pod ścianą przekrzywiony w prawą stronę, dłonie ma całe we krwi, która oblewa także jego pośladki odziane w więzienny strój w kolorze ciemnogranatowym, a wyraz zubożenia na jego twarzy każe przypuszczać dyrektorowi, że lepiej byłoby dzieciaka nie ratować na siłę, tylko pozwolić mu się wykrwawić w spokoju. Dyrektor jest jednak solidnym dyrektorem i wie, że należy opatrzyć chłopaka, bo nie tak łatwo się umiera w więziennych okolicznościach, w gruncie rzeczy dlatego, że w wyniku społecznej umowy w areszcie i w więzieniu robi się wszystko, aby ratować życie mieszkańca celi, a podtrzymywanie go przy życiu w momencie, gdy ono chce się z niego wyrwać, jest obowiązkiem dyrektora i strażnika wobec społeczeństwa i samego życia, nawet wbrew woli ratowanego.

Gdzie ten lekarz, do jasnej cholery, niecierpliwi się dyrektor i dlatego krzyczy na strażnika, który za nim stoi i przygląda się bladej twarzy zarówno Cezarego,

jak i swojego przełożonego. Strażnik nie wie, jak to się stać mogło, bo przecież osadzeni nie mają dostępu do ostrych narzędzi. Mówi dyrektorowi, że lekarz zaraz powinien tu być, i zabiera się za przeszukiwanie celi. Nie znajduje jednak nic ostrego ani na stoliku, ani pod i nad pryczą, ani nigdzie, czyli w toalecie, w której jest tylko woda.

Śladu nie ma narzędzia żadnego, rozkłada ręce strażnik i odwraca głowę w stronę drzwi, w których staje lekarz. Ten jednak, spojrzawszy na aresztanta ręce i usta, od razu wie, czym chciał zabić się Cezary. Klęka przy chłopaku i łapie go za dłonie masywne od ciągłego wykonywania pompek, trzymania hantli, dotyka, bo musi, gdyż dłonie ogląda także palpacyjnie, jego naskórka zdartego od ciągłego drapania się i oświadcza, że to zęby, zębami wyszarpał sobie te głębokie rany, szarpał długo, poprzez naskórek, skórę właściwą, aż doszedł do żył i ścięgien, bo ścięgna też ma naderwane, za bardzo elastyczne są, żeby je tak zębami rozrywać bez problemów. Jak szarpać tak można, tak wiele bólu znieść podłego, lekarz nie wie, ale widział już takie przypadki u starszych więźniów, bo w tej instytucji utrzymującej osadzonych przy życiu, lekarz pracuje dwadzieścia lat, czyli dłużej niż naczelnik.

Jeżu, dyrektor odwraca głowę od rąk Cezarego i jego bladej twarzy, w której otwarte oczy nie wyrażają już niczego, co warto zapamiętać, a jednak dyrektor zdaje sobie sprawę, że pamiętać będzie zawsze, ilekroć wspomni swoje miejsce pracy.

Zabierzcie go prędko, może da się uratować, mówi dyrektor do lekarza i dwóch sanitariuszy, którzy właśnie weszli do celi numer osiem, otwartej ciągle, więc aresztant miałby teraz szansę uciec, gdyby miał siłę, gdyby otwarte drzwi zastał w innej sytuacji. I znów nie potrafił wpłynąć na swoje życie, które go wciąż nie opuszcza i którego nie zdołał z siebie wyszarpać, wygryźć zębami. Ale uratować go trzeba, zarządza dyrektor, myśląc podobnie jak lekarz, sanitariusze i sprzątający krew, którzy pojawili się z dwoma mopami i wiadrem. Byłoby im łatwiej, gdyby odczuwali współczucie wobec Cezarego, czują jednak tylko, że jest to stresująca sytuacja dla dorosłych mężczyzn, widok niemiły oczom, bo trudno patrzeć na tak głębokie, szarpane rany i twarz dziecka jeszcze, które zbyt szybko stało się dorosłe w najgorszy z możliwych sposobów.

Dwóch sanitariuszy zabiera Cezarego na noszach do szpitala więziennego, bo nie udało mu się rozgryźć swych rąk, jak zamierzał, już lekarz je obwiązał siedmiocentymetrowymi bandażami, skrzętnie otoczył troską swoich precyzyjnie wykonujących każdy ruch dłoni, o które dba i które szanuje, gdyż są jego narzędziem pracy.

Proszę się odsunąć, mówi lekarz do Sabiny, która właśnie pojawiła się pod celą.

Co się tu stało? Sabina patrzy na Cezarego, gdy wnoszą go sanitariusze.

Ach, to pani, łapie się za głowę dyrektor aresztu i przypomina sobie, że wczoraj rozmawiał z prokuratorem, dokument proszę pokazać, że pani może wejść, a w ogóle to miała pani czekać przy moim gabinecie, kto tu panią wpuścił?

Byłam pod gabinetem, proszę, to jest pozwolenie, Sabina pokazuje zgodę prokuratora, ale pana nie zastałam, więc, wie pan, ciekawość, przybiegłam, jak zobaczyłam ruch pod celą, brama była otwarta.

Dziś pani z nim nie pogada, mówi ze złością dyrektor i przygląda się podpisowi prokuratora, całkiem zapomniałem, że ma pani przyjść, oddaje dokument Sabinie. Teraz to i tak nieważne, niczego pani nie powie, niech pani patrzy, przegryzł sobie żyły, idiota, wskazuje na krew na podłodze.

Dlaczego? Sabina znów zadaje swoje naiwne pytanie, choć wcale nie spodziewa się, że dyrektor zna na nie odpowiedź. Pyta, bo jest wstrząśnięta, lepsze słowo nie przychodzi jej do głowy. Jest tu po to, aby napisać artykuł, chciała namówić Cezarego na rozmowę, a on ją tak urządził. Teraz nawet się nie dowie, czy z nią porozmawia. Może spokorniał trochę, myślała, może otworzy się przed nią, a ona napisze o tej całej sprawie, dowie się, jak było naprawdę i dlaczego to zrobili. Patrzy na celę. Pręty zimnego łóżka wywołują gęsią skórę na jej ciele, krata w oknie przygnębia ją jeszcze bardziej i ten kibel, myśli, oszalałabym w tej surowości. Krata jest nawet na kocu. Robi jej się słabo.

A co mi pani takie dziwne pytanie zadaje, wrzusza ramionami dyrektor i wpatruje się w krew na podłodze. Duchem świętym nie jestem, żebym wiedział, dlaczego czub się tak załatwił.

Kiedy mogę przyjść, pyta Sabina.

Ja się zgodziłem, żeby pani przyszła, unosi się dyrektor, ale on też musi się zgodzić z panią pogadać. Takiego cyrku tu jeszcze nie było, nikt się tu jeszcze nie zagryzał, nie chcę kłopotów. Niech pani go jakoś przekona, list napisze najlepiej, to on przeczyta sobie w szpitalu. Tak zresztą być powinno od początku, dziennikarze nie mogą się zachowywać jak święte krowy. Obowiązują procedury.

Co się pan tak oburza, Sabina opiera się o szarą ścianę celi. Widzi, że dyrektor wpada w panikę, będzie miał kłopoty, że nie dopilnował osadzonego. To nie pana wina ani nie moja, więc niech się pan na mnie nie wyżywa. Dobrze, napiszę list do niego, ale i pan mógłby mi pomóc przekonać chłopaka. Proces dopiero za tydzień, wylize się chyba?

Dam pani znać, niech pani już stąd idzie. Dyrektor kieruje się do wyjścia i ruchem ręki pokazuje, aby Sabina zrobiła to samo. Od zapachu krwi na podłodze robi jej się niedobrze.

Zaraz tę krew posprzątają, mopem zgarną, już zgarniać zaczynają do wiadra, z wodą mieszają, wykręcają mopa i znów zgarniają czerwoną plamę, do ścieków wyleją, zmiesza się z wodą z toalety. Tyle krwi, że dwa litry chyba, cholera jasna, tyle by życie czyjeś urato-

wało, psioczą pod nosem sprzątacze, ale kto by chciał w sobie krew mordercy nosić, kto by chciał taką krew od kogoś, kto zabił innych i na siebie się targnął, nie mogąc znieść piętna życia po tym, gdy zabrał je innym.

Nie dziwią się więc tej sytuacji, że żyć już nie chciał, tym bardziej że w celi sam ze sobą został. Dziwią się tylko sposobowi, w jaki chciał przestać tu być, bo taki sposób wymaga odwagi tak wielkiej, że staje się ona głupotą, odporności na ból tak dużej, że staje się on przyjemnością, i odporności na siebie tak chorej, że staje się ona bezbronnością.

## DZIENNIK W PUDELKU PO BUTACH

Dawid przegląda komputer syna, który jeszcze tylko dwie godziny będzie w domu, bo później stanie się jednym z eksponatów policyjnego laboratorium, jak zapowiedzieli policjanci. Będą go badać, szukać w nim, podglądać, co zostało zapisane, aby później wykorzystać to do oskarżenia młodocianego mordercy, którego winie trudno zaprzeczyć, ale której należy krok po kroku dowieść, opierając się na dowodach rzeczowych pod postacią używanych przez niego rzeczy - na komputerze i nożu.

Komputer stoi, podobnie jak stał podczas obecności Cezarego na honorowym miejscu w pokoju, to znaczy pod ścianą, na której wiszą trofea syna. Na ścianie są proporce, symbole zwycięstwa chłopca w biegu na pięćset metrów, w rzucie kulą i skoku w dal oraz czwartego miejsca w meczu koszykówki, z którego Cezary wcale nie był dumny, jak pamięta ojciec. Czwarte miejsce to hańba, uznał Cezary, a dyplom zawiesił

tylko dlatego, bo ojciec przekonał go, że liczy się sam fakt przystąpienia do sportowej rywalizacji, do której syn z trudem dał się namówić.

Ciemno jest w tym pokoju, który wydaje się ojcu jeszcze bardziej mroczny ze względu na nieobecność syna, którego znał z innej strony, niż poznał go świat, któremu hierarchii wartości zaprzeczył swym czynem. Ciemno jest również dlatego, że pokój ma wiele mrocznych elementów, których istnienia ojciec wcześniej nie zauważał.

Jedna ze ścian nosi obraz potwora rozwierającego paszczę i jęzorem pochłaniającego domy wraz z ludźmi, druga dźwiga różne gatunki drewnianej broni - miecze, maczugi, łuki, strzały i topory, służące Cezarowi wcześniej do zabawy w wojny światów, jak nazywał podwórkowe igraszki z kolegami. Jest jeszcze rozpostarta czarna sieć, którą syn bawił się w łapanie snów demonów nawiedzających go w nocy, tych nielicznych nocy, które przesypiał w połowie, kiedy nie siedział przed komputerem i nie bawił się ludzkim życiem na ekranie. Teraz ojciec widzi to wyraźnie w grze Misja, w której krew leje się na każdym wirtualnym kroku stawianym przez rzeczywistą rękę gracza poruszającego realną szarą myszą. Ów gracz nie waha się zabijać podlistot, nawet jeśli są nimi małe dzieci wychodzące z cienia domów.

Ojciec czuje, jak jego ręka siecze i miażdży, jak nie może nad nią zapanować, choć on ma świadomość tej sytuacji i zdaje sobie sprawę, że znalazł się w świecie



istniejącym tylko w wyobraźni tego, który tę grę stworzył, i tego, który w nią gra.

Gdy jednak wybucha granat po prawej stronie drogi, którą ojciec widzi na ekranie i którą idzie, niszcząc wszystko wokół, huk w słuchawkach wystrasza go na tyle skutecznie, że zaczyna wierzyć przez chwilę, że jest tu naprawdę, że jego głowa odskakuje gdzieś w bok, aby po dwóch sekundach wrócić na szyję, ale inna już, bardziej znieczulona, lepiej przygotowana do kolejnego ataku na podistotę w szarym mundurze, której imię wyraźnie wyskakuje na monitorze pod hasłem zniszcz podistotę policjanta, więc go niszczy, automatycznie. Już odczuwa fizycznie podniecenie z powodu mocy śliskiej myszy komputerowej, której jedno kliknięcie może zrobić to, czego on pragnie w tym momencie, a pragnie niszczyć, skoro można, bez przeszkód. Wciąga się coraz bardziej, choć wie, że czas już przestać, gdy maczety rozwalają głowy kolejnych szarych ludzi i ich popleczników. Ojciec myli wroga ze swoim sprzymierzeńcem, co kosztuje go utratę punktów, jego niewprawna dłoń doprowadza do przegrania rundy, i to dopiero pozwala mu stwierdzić, że do drugiej już nie wejdzie, choć pokusa jest równie silna jak świadomość tego, że zło ogarnęło jego prawdziwy dom, a syn oszalał z nadmiaru morderczych bodźców.

Mogłem interweniować, płacze pochylony nad klawiaturą, wciąż w nieodłącznej domowej koszuli w kratkę, nieogolony, karać może częściej, wyciągać konse-

kwencje, ale z czego, skoro nawet jeśli grał na komputerze pięć czy siedem godzin dziennie, robił to, co robią inne nastolatki, był dzieckiem, które w świecie komputerowym poruszało się z wprawą i lekkością znaną ojcu jedynie z obserwacji młodych kolegów w pracy.

To za sprawą tych dwudziestoparoletnich kolegów ojciec czuje, że przegrywa z czasem, bo nie potrafi tak wprawnie reagować na zmiany. Jest mu zwyczajnie trudno przekonać się do tego, że niemal wszystko w pracy załatwia komputer, liczy, magazynuje, szyfruje i odszyfrowuje, steruje ludźmi, którzy też tworzą słupki, jak cyfry będące trzonem jego korporacji.

Czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby został, jak pragnął, fotografem, mógłby skupić się na tym, co było w jego odczuciu fenomenem techniki - na doskonaleniu fotografii, po które dwadzieścia dwa lata temu wyruszał codziennie rano, niczym myśliwy na polowanie, instynktownie. Mógł bawić się światłem, decydować, co chce fotografować, zachwycać oglądających jego zdjęcia, archiwizować efekty swojej pracy.

A jak by było, gdyby został muzykiem, gdyby robił to, co lubi, a nie to, co musi, gdyby choć postarał się zrealizować swoje pragnienia, pokazał synowi, że warto być tym, kim się pragnie, a nie tym, kim się musi. Co by się stało, gdyby ojciec, wiedziony pragnieniem stania się zawodowym fotografem albo muzykiem, zdał się na przypadek, który rozsądziłby, czy mu się uda? Na ile przypadkiem jest los jego utraconego dziecka

albo los, który zanim stal się losem, został utracony? Czy można mówić o losie w obliczu jednostajności podporządkowanej więziennym rygorom, które przecież losem być nie mogą, bo nie pozwalają zdobytych tam doświadczeń wykorzystać w życiu na zewnątrz więzienia. A może losy są dwa - ten na zewnątrz murów i ten wewnątrz murów, którymi są ciało i umysł, odczuwające więzienie. Ojciec chciałby wierzyć, że jest coś w człowieku, w jego synu, co pozwoli mu czuć się wolnym od tego, co znał, i od tego, co zrobił, aby przestał czuć zarówno ból z powodu popełnionej zbrodni, jak i ból życia, które musi dźwigać, co jest ciężarem ponad siły dla ojca, a co dopiero dla syna.

A gdyby tak jego syn oszalał i dzięki temu ocalił siebie z tej tragicznej sytuacji? Widzi już jego błędne oczy, nieświadomego, gdzie się znajduje, jego wiotkie ciało, które przestaje odczuwać życie w więzieniu jako karę, myśli Dawid, tak mogłoby być. Ojciec pyta, co ci jest, syn uśmiecha się pod nosem, zaczyna śmiać się coraz głośniejszym, jego śmiech wibruje w ojca głowie, co się stało, ojciec pyta, syn nie przestaje się śmiać, zanosi się od śmiechu. Ciszej tam, uspokajają go strażnicy, zamknij się, ale on nadal się śmieje, ojca nie zauważa, strażników ignoruje, śmiech jego coraz bardziej jest histeryczny, coraz bardziej przerażający, bo nie ma się z czego śmiać, więc nikt nawet üst nie wykrzywi. Dopadają do niego strażnicy, związują go, w biały kaptan wkładają, zamknij ten ryj, psycholu, krzyczą, ale on wciąż się zanosi, spazmatyczny ten śmiech, szalo-

ny, obłądny, boli ojca jeszcze głębiej, nienawidzi tego śmiechu, chce uciec i nigdy już więcej go nie słyszeć, nie widzieć tego pomyłka.

To życzenie Dawida sprawia jedynie, że jeszcze ciężiej znieść mu zbrodnię Cezarego i to, że nic dla niego nie może zrobić.

Laura leży w sypialni przykryta wełnianym kocem w kratkę. Zasłoniła żaluzje, bo światła widzieć nie chce, ma na nie uczulenie, tak jak na wszystkie przejawy życia. Nie je, bo jedzenie skutkuje życiem, które powinno, zdaniem Laury, ją opuścić, tak jak opuścił ją syn, wraz z którym odejść powinno również wszystko, co go uosabia, czyli cała rodzina. To naszą rodzinę powinien zabić, myśli matka, jeśli już musiał to zrobić, mógł zrobić to tym, z którego domu wyniósł nóż, tak, aby wszystko zostało w rodzinie.

Tak trudno leżeć w łóżku, Laura mówi sama do siebie, bo tylko sobie potrafi coś jeszcze powiedzieć, ale i trudno wyjść z niego, aby wejść w codzienność z piętnem niezrozumiałego czynu syna. Przykrywasz się kocem, który jest ciepły, a jednak wciąż ci zimno, tak jak zimno musiało być w wyobraźni twojego syna, która podsunęła mu ten niewyobrażalny dla ciebie pomysł zapomnienia o wszystkim, czego go uczyłaś, że jest dobro i zło, i za każdym z nich stoi następstwo. Przeraza cię nie tyle to, że urodziłaś mordercę, ale że dobro zamieniło się w zło, które obróciło się przeciw twojemu synowi, mimo twojej troski, aby tak się nie stało. Martwisz się, że miłości do niego, o której

wiesz, że jest wciąż w tobie, nie potrafisz odczuwać jak matka, którą cieszy to, co zrobi! syn. Odczuwasz ją jako ciężar matki, która kocha, mimo świadomości tego, co się wydarzyło w przeciętnym mieszczańskim domu, w którym była miłość, bo przecież wiesz, co czułaś, kiedy wieszalaś uprane firanki, odkurzałaś podłogi i meble, piekłaś ciasto i kroiliś na obiad mięso nożem, który zabił to wszystko, co stworzyła twoja miłość.

Żona przegląda listy syna. Wyjęła je z pudełka po butach, butami przykryte, z ziarenkami piasku z butów, dla niepoznaki, że coś ważnego może się w tym pudełku znajdować. Kupka listów jest co najmniej dziesięciocentymetrowa i ozdobiona niebieską tasiemką, więc jak na listy, które miałyby udawać nicnieznaczące, chłopak włożył w ich oprawę za dużo starań. Listy są opisane przewodnim motywem Ratunek świata, ponumerowane i nie mają adresata, to luźny zbiór myśli syna, z których matka dowiaduje się o jego fantazjach.

Jest więc władcą świata, zabija słabych i głupich, na trzynastu stronach opisuje wymyślne tortury, jakim podda swe ofiary, gdy już zdobędzie władzę. Litery zlewają się Laurze w oczach, gdyż trudno jej uwierzyć, że jej syn, na co dzień, jak go pamięta, odmawiający przemocy, rozdający z ojcem ulotki dla bezrobotnych, gdy był małym chłopcem, a ojciec działał jeszcze w stowarzyszeniu „Młodzi i wartościowi szukają pracy”,

wypielegnowany nastolatek, chciał władzy, jakiej nie ma nikt na świecie.

Głowa Laury przechyla się znów na poduszkę, której jest wierna od kilku dni, dłoń bezwiednie opada na dno pudełka i w momencie, gdy Laura płacze, jej palce wyczuwają zgrubienie na dnie. Czyli coś przeoczyła, tak, jest tu coś niewielkiego, zeszyt niebieski, nie dostrzegła wcześniej ukrytego dziennika, wyciąga go nerwowo, rozrywając podwójne dno, kartkuje naprędce, cały zabazgrany malowidłami czarnymi, literami drżącymi równie niespokojnie, jak dłonie zajęte myszą komputerową, której obraz widnieje na pierwszej stronie osobliwego pamiętnika. To zapis jego udręki, matka zdaje sobie sprawę już po pierwszych trzech stronach, choć czytać jej trudno każdy akapit, brnie w stronice pozaginane, umęczone monstrami i nożami, poglądami, które nie miały prawa się pojawić u tak młodego człowieka jako ugruntowane, prowadzące do materializacji, do zabrania noża z jej kuchni. Dowiaduje się, że syn jej jest za karą śmierci, przeciw prawom homoseksualistów, czarnych, żółtych i nakrapianych - jak to wyraża na stronie, gdzie pisze własną krwią swój dekalog, że nienawiść do świata zdominowała jego dziennik, który ma jeszcze wiele wolnych stron do zapisania, ale syn nigdy już ich nie dokończy, że ostatnie strony są poświęcone skazanym na śmierć, którzy cierpieć będą udręki równie wielkie jak jej Cezary, który co podkreśla czerwonym flamastrem, nigdy nie zaznał miłości, bo gdy chciał kochać, dziewczęta go odtrącały.

I gdyby jedna głupia cipa nie powiedziała mi, idź się umyć, głupku pryszczaty, nie wyzwoliłaby się może we mnie ta piekielna siła, którą teraz muszę z siebie wyrzucać, bo tak bardzo siebie i jej nienawidzę, tak kończy się dziennik Cezarego, z dopiskiem, już wkrótce stanie się ona (siła) siecią, w którą złowię te wszystkie płotki z morza głupoty i słabości, zgładzę je w mgnieniu oka, a potem zapanuje jasność w królestwie, które zbuduję na swój obraz i podobieństwo.

Gdyby rodzice znaleźli ten dziennik przed morderstwem, pewnie machnęliby ręką, bo takie bzdury wypisuje większość sfrustrowanych nastolatków, teraz jednak te zapiski mają inne znaczenie, zostały już zrealizowane.

Szalone dziecko moje, Laura mówi głośno do siebie, zbyt daleko odszedłeś, bym mogła ci pomóc zatrzymać się w porę. Skąd w tobie tyle nienawiści i uprzedzeń? Matka opada na poduszkę, w miękkość, która nie przynosi jej upragnionego wytchnienia. Nakrywa się kocem po same uszy, nie chce niczego słyszeć ani widzieć więcej, żaden bodziec już nie jest jej potrzebny, nie wierzy już w instynkt, ponieważ przestała go odczuwać, nie potrzebuje niczego, bo za dużo dostała, nie prosi o nic, bowiem na nic nie liczy, nie płacze, bo nie ma czym.

**ONA DO NICH IDZIE,  
BO TAK STRASZNIE CHCE TO WIEDZIEĆ**

Michał leży na pryczy w pięcioosobowej celi, w której mieszka z nim również jego przyjaciel Cezary oraz trzech mężczyzn skazanych za morderstwa. Dwadzieścia pięć lat więzienia z możliwością wyjścia wcześniej za dobre sprawowanie to wyrok, który obaj chłopcy przyjęli bez słowa, ale długo jeszcze nie będą potrafili o tym rozmawiać. Boją się, że jeśli powiedzą, co czują do siebie, jaką pogardą darzą się nawzajem za to, co zrobili, za to, że nie potrafili powstrzymać żądy zabijania, rzucają się na siebie z nienawiścią. Nie mogą stracić wzajemnej przyjaźni, bo wówczas podważyłby sens życia, które czeka ich w tym miejscu.

Michał ma pryczę na górze, Cezary na dole. Cezaremu wygodniej leżeć na dole, bo czasem musi szybko wstać z łóżka, aby zdążyć się wysikać. Odkąd przegryzł sobie żyły, pojawiły się problemy z pęcherzem, bolą go też przeguby dłoni, co ogranicza jego ruchy i pozbawia siły w rękach, dlatego woli leżeć na dole,



na co przystaje Michał, bo rozumie, że Cezarego boli. Teraz chłopcy leżą na szarych kocach i przyglądają się obskurnej celi, która nie jest odpowiednim miejscem dla dwóch silnych nastolatków, zdają sobie z tego sprawę. Od kilku lat chcieli poszerzać swoją przestrzeń życiową, tymczasem mogą jedynie poszerzać kolekcję wycinków z gazet, która rozrasta się na prawej ścianie od wejścia. Michał chętnie wycina zdjęcia samochodów, którymi chciałby jeździć, a które śnią mu się w nocy jako senne koszmary. Rozbija się nimi na prostej drodze, ale zawsze budzi się, gdy czuje, że umiera w wypadku. Cezary nie lubi tych snów Michała, bo wtedy trzęsie się łóżko, przyjaciel rzuca się na nim i wierci, a później prosi, by Cezary pottrzymał go za rękę i wystawia ją z górnej pryczy tak, by zwisała i była w stanie dosięgnąć dłoni Cezarego. Po takich snach Michała Cezary przygląda się wycinkom z gazet, które przyczepił na ścianie przy swoim łóżku. To przede wszystkim twarze ludzi. Cezary lubi je obserwować, przygląda się bruzdom i szczelinom, zagłębieniom i bliznom. O tak wyraźne zdjęcia twarzy trudno, więc Cezary wkłada dużo wysiłku w przeglądanie gazet. Nie interesują go oblicza pospolite, bez wyrazu, muszą to być twarze wyrażające emocje, aby chłopak nauczył się je w końcu rozpoznawać i przestał się ich bać. To sugestia psychologa więziennego, któremu Cezary ufa, aby nie upaść po raz kolejny, na przykład robiąc sobie krzywdę w inny sposób niż ostatnio.

Leżenie w więziennej celi jest nudne dla Cezarego, bo nie ma już czego czytać z biblioteki. Przez ostatnie tygodnie pochłaniał książki, nie zawsze ze zrozumieniem, bo więcej rozumu wciąż wkłada w rozmyślanie nad tym, co zrobił, czasem nie wystarcza mu go jeszcze na ogarnięcie lektury. Poza tym brak mu fizycznego zajęcia, teraz chętnie skosiłby trawnik w domu rodziców, przed czym z reguły się wzbraniał. W ogóle zrobiłby chętnie różne rzeczy, których wcześniej nienawidził, bo nie lubił przymusu, jaki wywierali na niego inni. Przymus jest wrogiem spontanicznej pomocy, ale też wrogiem zwykłej radości, którą Cezary rzadko odczuwał, nawet gdy grał, ponieważ wcześniej grał pod przymusem, zdaje sobie sprawę, jakby coś kazało mu nie odchodzić od komputera. Nie było to więc świadome działanie, a tylko takie może zrodzić radość. Teraz dopiero Cezary potrafi to zdefiniować, bo definiowanie różnych rzeczy stało się sposobem na zabijanie nudy. Dzięki temu dowiaduje się więcej o sobie, ale nie jest z tego zadowolony, trudno bowiem dowiadywać się o sobie rzeczy przykrych w taki sam sposób, w jaki szukało się przyjemności - teraz więzienie odgrywa tę rolę w jego życiu. Cezary nie ma więc radości ze swoich odkryć, bo nie dokonał ich na wolności, a tylko jako wolny mógłby zrobić z nich użytek, uważa.

Mówi o tym Michałowi, który właśnie zdrzemnął się na górnej pryczy i budzi się na dźwięk głosu. Michał patrzy na zegarek, zaraz trzynasta, ziewa, przydałaby

się kąpiel, przeciąga się, aż koc roluje się na końcu łóżka, które jest jednocześnie jego krzesłem, fotelem i podnóżkiem. Zsuwa się z pryczy, przytrzymując się drabinki, która ma zimne pręty, a ich zimno zostaje między palcami, by rozlać się po całym ciele, znów uświadomić mu, jak tu jest surowo, jak ciągnie od podłogi, jakie to przykre nie móc stanąć bosą stopą na miękkim dywanik, na który kiedyś stawano się po wyjściu z łóżka, nie myśląc o jego miękkości, bo była miękkością znaną, należną mu nie za coś, ale mimo wszystko, przynależną jego pokojowi, łazience, ciepłej wodzie używanej bez ograniczeń, a teraz jedynie raz w tygodniu.

Nic nam się teraz nie należy, mówi Michał szybko, wciągając skarpety. I już głowę odwraca w stronę drzwi, bo strażnik właśnie je otwiera, odbezpieczając zasuwę. Wychodzić, mówi stanowczo, głosem podniesionym, który nie uznaje sprzeciwu, tak jak chłopcy nie sprzeciwiają się roli więźniów teraz otrzymujących pozwolenie na to, co na wolności przysługuje każdemu. Macie gościa, chrząka strażnik.

Ciekawe, kto naszych chłopczków odwiedza, mówi Ignacy p., który siedzi tu za zabójstwo przez przypadek, jest pewien. Właśnie gra na pryczy w karty z Pawłem k., który zabił, bo miał dość, tłumaczy.

I to dwóch naraz chce ktoś zobaczyć, albo coś więcej, chichocze Jacek t., nie odrywając wzroku od gazety. On miał najważniejszy powód, by zamordować, uważa. O wiele ważniejszy niż wszyscy tu osadzeni.

Pogadamy sobie, jak wrócicie, Ignacy p. rzuca dwa króle na kupkę kart i cieszy się, makao, po makale, ty wale.

Paweł k. rzuca, sam się wal, gramy jeszcze raz, dopiero pierwsza, do wieczora daleko, i zaczyna tasować karty.

Cezary i Michał nikogo się dziś nie spodziewają. Dziwią się więc, gdy strażnik prowadzi ich do pokoju widzeń. Pytają, kto to, ale strażnik niewiele chce im powiedzieć. Jakaś dziewczyna, chłopaki, starsza trochę, nie wiem, czym sobie na nią zasłużyliście, śmieje się.

W pokoju widzeń czeka na nich Sabina Krop.

O nie, z nią nie będę gadał, Cezary zawraca, gdy tylko przestępuje próg pokoju widzeń.

Czego ona od nas chce? Michał łapie go za rękę. Ja też nie chcę z nią gadać, po co?

Poczekajcie, chłopcy, tylko chwilę, Sabina wstaje z krzesła.

Nie gadaj z nią, Cezary zakazuje Michałowi. Będzie wypytywać. Dostałem od niej list, nie odpisałem. Nie chcę jej widzieć, nie chcę z nią pieprzyć o tym, co zrobiliśmy, niech wypierdala.

Strażnik nie może nakazać chłopcom, aby zostali. Jednak kiedy Sabina nie odchodzi od okienka, strażnik pyta ich, co jest, nie chcecie widzenia? Chłopcy milczą, zwieszają głowy. Ta rozmowa nic nie da, myśli Cezary. Wszystko co miał do powiedzenia, powiedział już na sali rozpraw. Nie będzie się teraz wybebeszał,

stało się, siedzi tu za zabójstwa, nikomu nie chce o nich opowiadać, a zwłaszcza tej, która się na nim nie poznała, a tak dokładnie się jej przedstawiał.

No to do celi, pogania ich strażnik, jeszcze wam się zachce z kimś pogadać. Wzrusza ramionami, aby pokazać Sabinie, że nie może wpłynąć na chłopaków. Ona, zła, pędzi do dyrektora więzienia, oni wolno idą do swojej celi.

O nie, tak nie będzie, muszą to z siebie wyrzygać, myśli Sabina. Proszę mi pomóc, wpada do gabinetu Ryszarda Katy, który jest tu dyrektorem od piętnastu lat.

Ale o co chodzi? Dyrektor mówi z pełnymi ustami, bo właśnie przeżuwa wielką bułkę z serem. Już pani pomogłem, ociera usta chustką z materiału, jakiej Sabina od lat nie widziała. Tak robił tylko jej ojciec, jedyny mężczyzna, którego знаła, przywiązany do tradycji używania takich chustek. Nie chcą z panią gadać? To ma pani pecha, śmieje się sarkastycznie, nie mogę ich przymusić. Rzuca chustkę na biurko i opiera się całym ciężarem ciała o fotel.

Ryszard Kata jest masywnym mężczyzną z tikiem nerwowym prawego oka, które raz po raz mruga.

Sabina siada przed nim. Widzi pan, panie dyrektorze, ja wiem, że oni się zgodzą, zastanowią, że w końcu będą musieli to z siebie wyrzucić, komuś opowiedzieć, dlaczego to zrobili. Mnie ta myśl nie daje spokoju, im też, tak czuję, przecież są to chłopcy z normalnych domów! Sabina podnosi głos, tak strasz-

nie chce się dowiedzieć, nie może się uwolnić od tej myśli. Chciałaby nawet rzucić to miasto, opuścić swój dom, aby nie musiała patrzeć na sąsiedni budynek i zastanawiać się, dlaczego ludzie robią takie rzeczy, chciałaby uciec stąd gdzieś, gdzie to pytanie już by jej nie prześladowało.

Na siłę nie mogę, powtarza dyrektor. Gdyby pani wiedziała, z kim oni siedzą w celi, a mimo to nie chcą z panią gadać, aby choć na chwilę z tej celi wyjść, zrozumiałaby pani, że to nie są normalni, jak ich pani nazwała, chłopcy.

A z kim siedzą? Sabina zaplata ręce. Potwory to jakieś są?

Słyszała pani o Pawle k.?

Nie.

To morderca, który dokładnie wiedział, co robi. Ale musiała pani słyszeć, pisaliście o nim parę lat temu. Dyrektor mówi nieco ściszym głosem, jakby chciał opowiedzieć o jakiejś niezwyklej tajemnicy, myśli Sabina. Ryszard Kata natychmiast zauważa jej minę.

Mój głos, tak? Dziwi panią? Mam tylko jedną strunę głosową. To wszystko przez ten cholerny wypadek, siada mi czasem gardło. Pijany nauczyciel przygrzał mercedesem w mojego fiata, ale żyję, cha, cha, od tamtej pory to oko mam i blizny, wskazuje na swoją twarz i szyję, ale żyję, powtarza, rozumie pani? Nachyla się w jej stronę. Jeszcze żyję, uśmiecha się gorzko, dopóki mogę mówić.

Przykro mi, ale ten Paweł k, co zrobił? Mogłabym z nim porozmawiać, może dzięki temu dotrę do chłopców, mówi.

Sabina prostuje się na krześle, ożywia się jeszcze bardziej, w głowie jej huczy, zaraz ta głowa jej pęknie, już chce być w pokoju widzeń, pytać, słyszeć ich słowa, widzieć ich natychmiast, być ich myślą, znaleźć się w ich umyśle, stać się nim, zrozumieć.

Zabił wyjątkowo brutalnie, teściową sprzątnął, jak to dosłownie ujął. Pogrzebaczem roztrzaskał jej głowę.

Ach, to ten, słyszałam o nim, tym bardziej chciałabym z nim porozmawiać, on jakiś powód nawet miał, jak pamiętam, myślał o zabiciu tej teściowej kilka lat. Pozwoli mi pan?

To może wszystkich więźniów pani od razu przepyta? Dyrektor zaczyna się głośno śmiać, tak go bawi naiwność dziennikarki. Mamy tu naprawdę niezłe przypadki. W celi z Cezarym i Michałem siedzi na przykład jeszcze Jacek t., morderca swojej dziewczyny. Nietypowy to był związek, istny horror, zamyśla się na chwilę, jakby wolał o tym człowieku nie słyszeć nigdy, zdaje się Sabinie, ale ją to jeszcze bardziej podnieca.

I kogo jeszcze macie, pyta podniesionym głosem.

Jeszcze mamy zwykłego złodziejaszka Ignacego p., wzdycha dyrektor i wstaje, który wpakował się bez sensu w kryminał, przypadkowo nacisnął spust, głuppek, aż szkoda czasu, aby o tym myśleć, mam ważniejsze sprawy.

Ja panu tego czasu nie będę zabierać, niech mi pan tylko pozwoli, Sabina uśmiecha się do dyrektora, jakby chciała wyludzić najlepszy przysmak. Nie ma żadnej radości z tego, po co tu przyszła, z tego, jak żyje, wciąż z tą myślą, że musi wiedzieć, że to jest najważniejsze pytanie w jej życiu. Jakże tym czuje się udręczona! I ten strach, myśli, że jeśli się nie dowie, znów nie zaśnie. Gdy dyrektor podchodzi do regału z książkami, Sabina zastanawia się, co będzie, kiedy wreszcie znajdzie odpowiedź. Czy jeszcze większy lęk się w niej obudzi? Czy będzie wiedziała, co z tą odpowiedzią zrobić? Tak myśli jednak tylko przez chwilę, bo znów wygrywa w niej ciekawość, która natychmiast odsuwa zwątpienie.

Dam pani książkę o historiach zbrodni w naszym więzieniu, dyrektor znajduje na półce to, czego szukał, i kładzie na biurko, blisko Sabiny. To dziennik, w którym przez lata zapisywał, za co ludzie trafiają za kraty. Niech pani czyta, mnie ta lektura niewiele dała, choć sam ją pisałem. Znów siada za biurkiem, ściąga okulary, przeciera oczy, które otaczają brązowo-niebieskie obręcze zmęczenia, ponownie zakłada okulary, patrzy na Sabinę, uśmiecha się z jakimś rodzajem współczucia, którego ona wolałaby nie czuć, a które sprawia, że jeszcze bardziej chce wiedzieć, choć on swym spojrzeniem odbiera jej nadzieję, że tak się stanie. Brąz jego tęczywek mocniej podkreśla jego wyczerpanie. Zrozumiałem, mówi w końcu, że jest, jak jest, nie da się tego tak połączyć, tych wszystkich czynów, aby coś



się okazało, uhm, rozkłada ręce na boki. Kiedyś wierzyłem, że znajdę wspólny mianownik, jakiś szczegół, który sprawi, że zrozumie, dlaczego oni to robią, ale wie pani co, głównie mnie to obchodzi, głos znów charakterystycznie mu się ścisza. Nie wiem tylko wciąż, dlaczego muszę ich pilnować, dlaczego tak się dzieje, że to jestem ja. Na mnie padło, czy co? Ale jestem i jest jak jest, czyli mam taką samą sytuację jak oni. Stało się.

Może pan zmienić pracę, Sabina dziwi się jego rezygnacji, wstaje z krzesła, chce wyjść, jak najszybciej zabrać się do pracy.

Wstaje też dyrektor. Mam pięćdziesiąt pięć lat, to nie jest czas na zmianę. Poza tym myślę, że dążenie do zmiany za wszelką cenę nie zbliża mnie do niej, teraz mi bliżej do pogodzenia się z tym, że zrobiłem, co mogłem w okolicznościach, jakie tu zastałem, gdy mnie przydzielono do tej służby.

Mogę zacząć dziś rozmawiać z Pawłem k.? Sabina zbliża się do drzwi wyjściowych, zaraz się tu uduśzę, myśli, od tych słów zwiotczałych, które nie mają wprawdzie mocy, aby zabić moją potrzebę drażnienia, ale mogą osłabić moją czujność.

Najpierw porozmawiam z nim i z resztą, czy się zgadzają, dyrektor wie już, że Sabina nie słuchała go uważnie, że tylko jedno ma w głowie, tylko o tym teraz potrafi myśleć, do tego dążyć. Zadzwonię do pani jeszcze dzisiaj. Od jutra niech pani zacznie, pod warunkiem, że ci trzej się zgodzą, otwiera drzwi, bo widzi

jak jej spieszno, jak chce uciec od tej rozmowy, która zderza jego i jej doświadczenie, i jej musi wygrać, on to wie, a nawet tego chce. Dlatego jej pomoże, decyduje. Niech sobie tonie w tych gównianych życiorysach.

**JUŻ MYŚLAŁA, ŻE WIE,  
GDY DOWIEDZIAŁA SIĘ WIĘCEJ**

Paweł K. ma dwadzieścia dziewięć lat i wyrok dwudziestu pięciu lat więzienia. Nie ma dwóch zębów z przodu, co sprawia, że trochę sepleni, ale ogólnie dba o siebie, w umywalce w celi myje się trzy razy dziennie. Codziennie spłukuje swoje ciemne, rzadkie włosy i czesze je długo grzebieniem z małymi ząbkami. Dla niego odgłos tej czynności zagłusza ból skrobanej skóry. Ból musi się pojawić, bo inaczej trudno uznać, że jest się czystym i dobrze uczesany, nawet jeśli nie ma się za dużo włosów na głowie. Paweł K. dzisiejszego ranka tak właśnie się czesze, jeszcze dokładniej nawet, bo za chwilę wychodzi spotkać się z dziennikarką Sabiną Krop. Cóż to za atrakcja, zobaczyć na żywo fajną dupę, mówi swoim kumplom z celi, a dwóch z nich zazdrości mu, że dyrektor więzienia za dobre sprawowanie dał mu taką nagrodę. Paweł K. nakłada na włosy żel, który poprawia kilkakrotnie i jeszcze śliną ugładza, palcami przylizuje, musi robić

dobre wrażenie. W lustrze potwierdza: świetnie wyglądasz i odwraca się do drzwi. Jest uważany za więziennego czyściocha, bo jego koledzy nie mają takich nawyków. Niektórym wystarczy kąpiel raz w tygodniu, co Pawła K. brzydzi, bo przez dwóch, z którymi siedzi, śmierdzi w celi, a nie zawsze można otworzyć okno, trzeba się dostosować, na przykład kiedy jest zimno, nie wszyscy lubią wietrzenie i mycie. Paweł K. przypuszcza, że Michał, który w tej chwili nie widzi niczego atrakcyjnego w spotkaniu z dziennikarką, lubi czystość, dlatego zamierza poprosić dyrektora więzienia, aby Michał został z nim do końca wyroku. Paweł K. siedzi już osiem lat, które wydają mu się szesnastoma z uwagi na brak bodźców, do których wcześniej był przyzwyczajony, a od których trudno się tak po prostu odzwyczaić, nawet pod przymusem. niesłusznie siedzieć będzie jeszcze siedemnaście lat, uważa, bo jak można tak surowo osądzić człowieka, który poznał się na kobietach, o czym zaraz Sabina Krop się przekona, gdy jej o sobie opowie.

Drzwi celi otwierają się, strażnik zakłada mu kajdanki.

Trzymaj się, Czyścioch, krzyczy do niego Ignacy p.

Tylko nie przybrudź sobie główki, Jacek f. śmieje się złośliwie, zostaw coś dla nas!

I korytarz, i okna za kratami, podłoga śmierdząca lizolem, i zaduch, przez który Czyścioch zaczyna kaszleć, wreszcie pokój widzeń, okienko z dziurą, mikrofon, kobieta po drugiej stronie, blondynka, dzień-

nikarka, jaka ładna, szkoda, że ubrana po szyję, w czarnym golfie, z fryzurą uładzoną jak moja, myśli Czyścioch.

Jak mogę pani pomóc, malutka, ledwie siada na twardym krześle, już się odzywa, tak mu się spieszy do tej rozmowy, tak chciałby z kimś z zewnątrz pogadać, wywalić, co ma we wnętrzu, bo nikt go tu nie odwiedza, nikt z nim ze starego świata gadać nie chce, a ona może by w końcu prawdę napisała, jakim on jest porządnym człowiekiem, jak mówić chce te trudne rzeczy o sobie, od siebie niezależne, ale przynależące do niego, bo przecież całe życie nie może się od nich uwolnić.

To niech mi pan opowie, Sabina włącza dyktafon. Ja bardzo chcę usłyszeć tę historię, wiem, że jest ciekawa, nie bez powodu pan tu trafił.

Och, to wszystko przez parszywe drzewo macierzyństwa, które wydało mnie na świat, Czyścioch jest tego pewien. Bo dlaczego nie przewidziało, że na ziemię spadnie robaczywe jabłko, w stopniu lekkim upośledzone, które skończy jedynie gimnazjum, aby później dostać rentę w wysokości czterystu czterdziestu złotych za swoją ułomność, i kraść będzie drobne rzeczy, które później opchnie za grosze na niewielkie potrzeby związane z kobietą.

Przyszłą żonę, pyta Sabina.

A jakże, Czyścioch aż podskakuje na krześle. Ta wiadać lubiła nadgniłe jabłka, gdyż chętnie po nie sięgnęła. I wie pani, jakoś się żyć nie da, z reguły chce

się żyć lepiej, więc trzeba wyciągnąć rękę po cudzą własność, nawet gdyby była własnością niewiele wartą, za to łatwą do spieniężenia i co za tym idzie, do szybkiego skonsumowania. Szybki konsument jest produktem wolno postępującej biedy, która towarzyszy mu od urodzenia, i która prędzej czy później wypycha go do więzienia, z którego, w wyniku braku resocjalizacji, nie wyjdzie do końca życia. I nie chodzi tu o to, że ukradłem najpierw starą, zardzewiałą pralkę, za co dostałem rok w zawieszeniu, ani o to, że później ukradłem kilka produktów spożywczych z jakiegoś Caritasu, ani też o to, że ukradłem w końcu kilka sztuk dropsów w najtańszym supermarkecie, co odwiesiło poprzednie wyroki i przepęliło czarę drobnych przestępstw, pierwszy raz robiąc ze mnie więźnia na dwa lata, jednym tchem mówi to wszystko Sabinie, by wiedziała, jak go ta wiedza o samym sobie uwiera. Ona nic nie mówi, słucha uważnie, Paweł K. dziwny jej się wydaje, tak starannie dobiera słowa, potrafi skupić jej uwagę. Nie chodzi też o pierwszy rok pobytu w więzieniu, który mijał bez problemów do czasu, gdy pojawił się inny więzień z większego miasta, tu Czyścioch robi krótką przerwę, zastanawia się, o co mu chodzi, po chwili wie już, głos mu się zmienia na wysoki. Chodzi o to, co zrobiło mi więzienie w drugim roku, kim się stałem, gdy zrobiono mi coś, co na zawsze zmieniło mój i tak odmienny, bo jako mówią, lekko upośledzony umysł, mianowicie zerznięto mnie w tyłek.

Sabina oczy szerzej otwiera, ale nadal słucha. Czyścioch dostrzega jej zdziwienie. O tak, nie jest to doświadczenie bez znaczenia, zwłaszcza gdy nigdy się tego wcześniej nie robiło, i to w towarzystwie czterech innych więźniów w celi, którzy udają, że nie widzą, co się dzieje na sąsiedniej pryczy. To doświadczenie nie tylko zmienia tyłek w zakrwawiony kawałek ludzkiego otworu, ale też zmienia nastawienie do świata.

Chyba bym umarła, gdyby był pan moim bratem albo synem, nie zniosłabym tego cierpienia, Sabina nie wie, po co to powiedziała. Paweł k. przez moment spozrzał na nią tak, że przypomniał jej brata, którego nigdy nie udało jej się odnaleźć. Takie samo poruszenie okiem, jakiś rodzaj niepokojącego mrugnięcia, które przestrasza, aż chce się odskoczyć w bok, zejść z drogi. Tak jej brat patrzył na ojca, gdy ten pierwszy raz uderzał pasem, zawsze tak, aby sprzączka rozcięła skórę. Tyle razy o nim myślała, zawsze, że dzieje się z nim źle. Pamięta, jak wtedy się czuła, za wszelką cenę chciała przestać o nim myśleć, a mimo to nie mogła.

Pani matką? To zdecydowanie głupi pomysł, Czyścioch znów podskakuje, bo wie pani, te matki, nie ma na nie żadnej rady, zaczyna się śmiać, zawsze płaczą w takich sytuacjach, jakby je uważały za niepojęte, a one są przecież częścią więziennego życia, o czym więźniowie nie wiedzą jeszcze na początku, ale jak się już przekonają, że tak jest, po prostu zmieniają swoje wnętrza w coraz bardziej rozepchane rurki, w które

ktoś wchodzi i wychodzi, i najczęściej wraca, jak oni sami będą wracać do więzienia, aby doświadczać rozpychania bez końca, bo w życiu też rozpychają się za bardzo, tyle że łokciami, a w więzieniu łokcie znaczą mniej od kutasa współlokatora.

To brutalne, Sabina marszczy czoło.

On znów podskakuje. To już wiem i zdążyłem się do tego przyzwyczaić, mówi, bo do wszystkiego można przywyknąć po kilku latach, tak działa stopniowanie zniewolenia i jeśli się je osiągnie w wystarczającym stopniu, nie można już żyć bez bólu, który się zadaje, i bólu, który się pragnie odczuwać.

Dlatego pan zabił?

Matkę swojej żony, mówi chłodno, nawet powieka mu nie mrugnie. I po raz drugi trafiłem do więzienia. Mogłem skończyć na kradzieżach, nagle znów się ożywia, odsiedzieć swoje przyczajony w kącie, dwa lata przeczekać w celi, a po wyjściu wrócić do dawnych przyzwyczajzeń, nawet do kradzieży, tylko trochę bardziej się pilnować, aby znów nie wpaść. To jednak jest ponad siły człowieka wrażliwego, wysłuchiwać codziennie od teściowej, która wcale nie ma w głowie więcej niż ja miałem w żołądku. Gdy człowiek wychodzi z więzienia, jest głodny, mija wiele czasu, zanim znajdzie pracę, a czasem wcale jej nie znajduje, co trudno zrozumieć matkom, a co dopiero teściowym, które chciałyby dla swoich córek księcia z bajki. Może być nawet parszywy, byleby koń niósł go prosto i szybko po złote runo. Tu Paweł K.'udaje jeźdźca na koniu.



Dlaczego on tak ciągle podskakuje, myśli Sabina. Jeśli jednak jeździec wraca z pustymi rękoma, lepiej zamknąć przed nim lodówkę, pokazuje, że zamyka drzwi lodówki dłońmi w kajdankach. Czy jest "kolacja, mam, pytam ją, bo nie przyniosłem nic do lodówki tego pamiętnego wieczoru. Nie, mówi teściowa, bo jest pewna, że zięciowi w takich okolicznościach nie należy się nawet kisiel. Dlaczego? Głodny, w przedpokoju miałem jednak nadzieję, że teściowa zrozumie, bo przecież ma dobre serce, cierpliwe miała kiedyś podejście, musi pamiętać, jak przynosiłem do lodówki wszystko, co napisała mi na kartce, jak wyprawiałem się i wracałem z wypchanym zakupami plecakiem. Bo nie, dla ciebie nie ma, mówi mi jednak teściowa, ale jej argumenty mnie nie przekonują, może dlatego, że użyła ich po raz setny, a ja nie znoszę tych samych odpowiedzi, które w dodatku nie napełniają brzucha, a mam do pełnego brzucha prawo, no nie, bo jestem pusty jak bęben, cieleśnie i materialnie, chcę więc się najeść, zwłaszcza dlatego, że będę mógł po posiłku lepiej myśleć o przyszłości, jakieś wykształcenie zdobyć, nawet jeśli więzienna psycholożka przekonała mnie, że zawsze już będę zamiatał ulice, kolejna kobieta, która się na mnie nie poznała, macha ręką. Ale mam przecież predyspozycje do komputerów. Trudno mnie odgonić, gdy już siądę przy monitorze i zacznę klikać. Nie mam w tym kierunku papieru, ale mam talent, mógłbym być informatykiem, nie moja wina, że nikt mnie nie chce zatrudnić. Więc masz pogrze-

baczem w głowę, teściowo nierozumna, a ty, córko-  
żono, patrz, abyś talent doceniała i nie stwarzała  
nigdy więcej podobnych problemów. Zupy mi nalej  
w tym czasie, kiedy będę rozprawiał się z twoją matką  
bezużytecznie leżącą już na podłodze, zupa przecież  
stoi w garze, a z twojej matki nic już raczej nie będzie,  
mówię jej. Leż teściowo, nie podnoś się, rozkazuje,  
kopnę cię w głowę, aby ci do niej nie przyszło, żeby  
wstać, jak będę nalewał zupę na talerz w kwiatki, co  
za kicz, talerz w kwiatki kupować i stawiać na stole  
rodzinnym, skoro kiedyś ci przyniosłem całą zastawę  
dizajnerską w geometryczne wzory. No, dobrze, że  
leżysz, mogę wreszcie zjeść ten krupnik, dobra czer-  
nina byłaby z krwi, która teraz z ciebie wypływa, ale  
jakoś twoje oczy, szybko mrugające, zohydzają mi tę  
zupę z kaczki. Ale co widzę, to chyba twoja agonია,  
patrzę na nią z obrzydzeniem, sprzątnę, jak zjem do  
końca. Nie nastąpi to szybko, bo łyżka jest płaska  
i trzeba jeść wolniej, a też ci przyniosłem ładne łyż-  
ki, głębokie. Ciekawe, co z nimi zrobiłaś? Człowiek się  
stara do domu znieść co najlepsze, a rzeczy znikają  
nie wiadomo gdzie, dobrze, że będę wiedział, gdzie ty  
znikniesz, bo zakopię cię w lesie za miastem. Dzięki  
temu z żoną-córką będziemy cię odwiedzać w miejscu  
wiecznego spoczynku, co i nam da spokój od ciebie,  
zarazo. Śmierdzi tu twoim rozkładem, warunków nie  
ma do jedzenia, ale dokończę ten krupnik, nawet je-  
śli krew cuchnie tu tak, że robi się niedobrze. Dobrze  
że oczy już ci tak nie mrugają, ale jeszcze kopnę cię

w głowę butem, dla pewności, czy aby nie podniesiesz się z rowu, który ci wykopię. No, ale teraz to mi trudno cię podnieść, upasłaś się na mojej krzywdzie, a ja, taki chudy się zrobiłem, nie mam siły cię ruszyć, nawet po krupniku. Przynies dywan, córko-żono, mówię ślubnej, matkę musimy zawinąć, tylko mi tu nie rycz, jakby powód był, przecież teraz mieszkanie dwupokojowe mamy dla siebie, o dzieciach możemy pomyśleć. Nie zawijaj tak luźno tego dywanu na matce, bardziej przylegać musi, żeby nam się nie wyslizgnęła, i jeszcze na tę krew uważaj, pouczam ją, bo wie pani, nie była zbyt lotna, zawiń jej łeb ręcznikiem kąpielowym, bo wypływać będzie farba, jak zaczniemy schodzić po schodach. No widzisz, tłumaczę jej, mogła się tak nie zachowywać, to by miała przyjemność podać mi ten krupnik pod nos, który wyczuwa dobrych ludzi. Ona była niedobra, nie czułaś tego, pytam ją normalnie. Nie rycz, mówię, schodź po tych schodach z godnością, jakbyśmy dywan stary wyrzucali i nowy zaraz chcieli kupić, tak nam się stopa życiowa poprawiła, niech sąsiedzi widzą, ukłoń się teraz tym spod piątki, niech też wiedzą, że ze szczęścia są te łzy na twojej twarzy, podobnej do matki, a jednak innej, bo gdyby była taka sama, to bym cię z miejsca rzucił, a tak masz wciąż męża, szanuj go więc i otwórz drzwi samochodu lewą ręką, potrzymam kolanem ten dywan, aby ciężar mamuśki spadł bardziej na mnie. Widzisz, słaby jestem, ale dam radę, co ona ze mnie zrobiła? Jeść nie chciała dać i zmarniałem całkiem. No, dobrze

żeś już te drzwi otworzyła, bo ktoś patrzy z parteru na poduszce oparty, podglądacz jebany. Na paliwo było jeszcze rano, bo matce teściowej podebrałem z portfela, jak spała. Teraz jej portfel będzie do naszej dyspozycji, mówię żonie, a ty będziesz dyspozycyjna dla mnie, przy twojej matce różnie bywało, bałaś się głośno, no wie pani, kochać, ten tego, bo matka leżała za ścianą, niech więc leży w wykopanym rowie. Zaraz zasypimy ją ziemią, dobrze, że miałem w samochodzie dużą łopatę, a i dla ciebie mniejsza się znajdzie, daję żonie, taki jestem przewidujący. Dzięki tym, którzy potrafią przewidywać, życie staje się łatwiejsze, bo łatwiej jest unikać kłopotów niż je gromadzić jak wszelakie dobra. I nasze życie teraz bez kłopotów się stanie, myślę sobie, w końcu mamy spadek po mamusi-teściowej, i to bez chodzenia po urzędach, zobacz, ile czasu zaoszczędziliśmy, patrzę na żonę z czułością, ale robotę przecież mamy. Pomóż mi kopać, nie jest tak ciemno, bo ci tu latarką dużą świecę, a ślepa chyba nie jesteś, tutaj kop, poszerzaj rów, ja będę pogłębiał, ty rób po babsku, ja będę po męsku, za wiele od ciebie chyba nie wymagam, daję jej w łeb, ale lekko, bo ciągle ryczy, jak ja nie znoszę płaczu kobiet, mówię pani. To mnie jest trudniej, krupnik mi się odbija, za dużo go zjadłem, dobry ugotował krupnik nasz trup, świeć Panie nad jej duszą, w imię Ojca i Syna, latarkę przesunęłaś ofermo, mówię tej mojej żonie niedorozwiniętej, popraw ją, bo ci zaraz tą łopatą dosunę, chyba nie chcesz skończyć jak mamuska teściowa.

No, teraz świeci prosto na mnie, jakoś ci słabo idzie to kopanie, ale nie wmawiaj mi, że powodem jest mniejsza łopata, zresztą większej nie mam, nie stworzę ci, kop tym, co masz, ja też musiałem sobie radzić do-tychczas tymi rękoma, pokazuję jej, widzisz, jakie są masywne, jeszcze potrafią na nas zarobić. No, i rów elegancki wykopaliśmy przy tym oświetleniu. I prostuję się, bo w krzyżu mnie już boli od tego kopania, o tak, prosto trzeba stanąć, jak ja teraz, myślę sobie, a wszystko widać wyraźniej, rozglądam się, a tu nagle tyle światła się pojawiło, las ciemny był jeszcze przed chwilą, a nagle tyle reflektorów policyjnych.

Jak was znaleźli? Sabina golf odciąga od szyi, czuje, że jest cała spocona po tej opowieści. Ale jeszcze chce słuchać, jeszcze wiedzieć, co dalej.

Musieli za nami jechać, Paweł k. nie ma co do tego żadnych wątpliwości, ktoś im powiedział chyba, pewnie ten parapetowiec w naszym bloku, za telefon chwycił tłustą łapą, co tłuszczem obrosła od siedzenia w oknie, wezwał policję, bo lepiej mu donosić, aby przeszkadzać ludziom żyć, a martwym nie dać spocząć w spokoju, niż podnieść tyłek, aby pokonać okienną opasłość. Aj, ci ludzie, którzy interesują się sprawami sąsiadów, wtykają nos w cudze gówno, nie wytykając go z domu, jakby się bali, że też w nie wdepną, ale zwyczajnie brakuje im odwagi, aby zająć się sobą. Tu na chwilę Paweł k. oczy unosi do góry, cień refleksji na jego twarzy się pojawia. No i dlatego mi pan władza te kajdanki zakłada, pytam poli-

cjanta, który mnie krępuje, znów wybucha, podnosi się z krzesła. Przecież świat nie ucierpiał z powodu tego, że emerytalny pasożyt rozłoży się w leśnym rowie, a młody człowiek bez pracy zajmie jego miejsce w domu, skorzysta z dóbr doczesnych, spłodzi kilkoro dzieci w komforcie finansowym, które będą finansować wydatki państwa. No, co w tym złego, że młody człowiek zajął miejsce po starym człowieku, który i tak już niczego nie wniesie do życia społecznego, bo społeczeństwo go odrzuciło z powodu nieudanych dzieci? Że nie wszystkie dzieci są takie, że nie wszyscy rodzice ponoszą odpowiedzialność? Niech mi pan wierzy, panie władzo, mówię mu, wszyscy czyhają na cudze dobra, w mniejszym lub większym stopniu. No bo dajmy na to, niech pan zostawi dziecko na pastwę losu, mu tłumaczę, los z nim wtedy zrobi, co ze mną uczynił, będzie nim rzucał od burty do burty, od podwórka do podwórka z pustymi trzepakami i brudnymi kubłami na śmieci, w których czasem można znaleźć jakąś starą bułkę, kiedy mama zapomni zostawić coś w lodówce, bo jest we władzy procentów i śpi z jakimś fagasem w wymiętej pościeli. Że niby jestem lekko upośledzony i nie mogę tego wiedzieć, a pan wie o mnie wszystko, panie władzo, go pytam, bo był pan dzielnicowym w moim rewirze? Może i jestem, ale nigdy nie byłem pazerny, chciałem tylko minimum, które mieli inni w mojej klasie. Co pan może wiedzieć, walę mu prosto z mostu. Nigdy pan nie był głodny i dlatego pewnie mógł pan myśleć, że będzie

pan głodnych zamykał, najpierw za kradzież starej pralki, później dropsów, a teraz za morderstwo, które, co mu tłumaczę, też było z głodu. Chciałem sobie ułatwić życie na zawsze, bo nie lubię, jak ktoś zabrania mi jedzenia. Może gdybym był gruby, pozwolilibym, żeby mi zabraniano, gdybym nadużywał jedzenia, jak moja mama alkoholu, wtedy bym się zastanowił, że ten, co mi zabrania, ma rację. Ale nie nadużywam, jak pani myśli? Klepie się po umięśnionym brzuchu.

Gruby pan nie jest, przyznaje Sabina.

Wiesz mnie pan tą policyjną suką, mówię gliniarzowi, i razem z pana kolegą śmiejecie się ze mnie, że teraz już nie wyjdę z więzienia, ale przynajmniej nie będę głodny. Tego pan nie wziął pod uwagę, co? Bo myśli pan, że w środku Europy ludzie już nie głodują? Zapewniam pana, że się pan myli. Najpierw głoduje się, bo ten, który powinien, nie dał jedzenia, a później, bo nie umie się go zdobyć. A kto mnie niby miał nauczyć? Widać, że pan nigdy głodu nie zaznał i pewnie miał pan przyzwoitą matkę, a nawet teściową, zaczynam mu się śmiać w tej suce. Czasem teściowa, świeć Panie nad jej duszą, podała mi zupę, ale z takim wyrzutem, że porzucenie jej w rowie stało się moim marzeniem. Że niby ludzie normalni marzą o całkiem innych rzeczach? A skąd pan wie, pytam go znów, czym jest normalność? Myśli pan, że nienormalni, jak ja, nie znają żadnych norm? W moim świecie, panie władzo, normą jest nie cierpieć, ale jakoś wszystko robię, aby cierpieć jeszcze bardziej, bo nie znam stanu, w którym

się nie cierpi. Jak więc mogę dążyć do czegoś, czego nie znam? To wszystko było ponad moje siły, wie pan, tak mu mówię. Pewnie pan nie wie, bo skąd może wiedzieć, jeśli pan tego nie zaznał. Powiem panu, że ten głód mnie jakoś ukształtował, może nawet bardziej bezpieczny się czułem, kiedy byłem głodny, jakbym się do tego przyzwyczyił. Kradłem z głodu i zabiłem z głodu, ale chyba chciałem to wszystko zrobić, aby poczuć, jak to jest, nie być głodnym, bezpiecznie się najieść, być jak syte zwierzę, ale dla pana i tak jestem zwierzęciem, mówię mu, co myślę, głodny czy najedzony, nic nie zmieni opinii o mnie w pana oczach. Wolałbym, żeby było inaczej, chyba że byłby pan kobietą, która mnie przymknęła, wtedy nie zależałoby mi na pana opinii, tak mu mówię. Do kobiet już nie mam zaufania, niech się pani nie gniewa.

I zabrał pana do więzienia, Sabina coraz bardziej odczuwa strach przed tym człowiekiem. Jak dobrze, że odgradza ich pleksi, myśli, mimo to wciąż słucha, chociaż uczucie lęku jest w niej coraz większe.

No właśnie, mówię policjantowi, teraz, w więzieniu, będę w towarzystwie mężczyzn, oni myślą inaczej. Kiedy czegoś pragną, sięgają po to, jak sięgnęli po mnie, gdy byłem tam ostatnim razem. Dostali to i zostawili mnie w spokoju, nauczyli mnie sięgać po innych, nowych, którzy pojawiają się w pace po raz pierwszy. Ja będę już po raz trzeci, więc sięgnę po innych bez przeszkód, tak jak bez przeszkód sięgnąłem po życie mojej teściowej, bo żona, jak zwykle, stała



z boku. Tak to jest z kobietami, albo stoją z boku i nie robią nic, albo stoją mężczyźnie na drodze do celu, więc trzeba je usunąć. Dlatego, rozumie pan, mówię tłumokowi, nie miałem wyjścia, a on wciąż nic nie gada, mówię pani, jak tak można milczeć, kiedy mu wsadzam w głowę tyle wiadomości? Nawet jeśli pan mnie wsadzi, nie będę myślał inaczej. Mówi pan, że jestem czubem, wariatem jakimś, współczuje pan współwięźniom. No bo wie pani, on mnie wyzywać zaczął, bez znajomości mojego charakteru! Każdy wariat jest w jakimś stopniu geniuszem, bo robi coś, o czym inni tylko myślą, a nie mają odwagi tego uczynić. Mnie taka argumentacja przekonuje, to powód, dla którego mogę spojrzeć sobie w oczy przed lustrem. I źle chyba nie wyglądam, przejeżdża dłonią po ulizanych włosach. Zakłada nogę na nogę. Nie mógłbym patrzeć w lustro, gdybym postąpił wbrew sobie, wbrew normie, którą dla mnie jest, powiem panu, prawdę mu mówię, niech się nią nażre, natychmiastowa reakcja na moje cierpienie, wie pan, likwidacja skutku, a nie ciągłe rozprawianie się z przyczyną. Bo on mi o przyczynie zaczyna chrzanić, że niby zły jestem z urodzenia. Gdybym ją odkrył, panie władzo, a teraz, niech pani słucha, to go załatwiłem tym wyznaniem, pewnie musiałbym uznać, że powinienem siebie złożyć w tym rowie w lesie, a nie teściową, a przecież każdy chce żyć. Także więc widzi pan, przeczuwam, podejrzewam, co jest przyczyną, jednak wolę o niej nie myśleć, wolę reagować, kiedy chce mi się coś zrobić,

albo kiedy ktoś chce coś zrobić mnie. W ten sposób dostosowałem się do normy społecznej, bo wszyscy tak postępują, tylko w innych sprawach niż ja. Czyż więc nie jestem naturalny? A on mi na to, ten policjant, wie pani, żebym się przestał wymądrzać. Niech pan tak nerwowo nie naciska pedału gazu, wrzeszczę mu do ucha, w końcu za chwilę będziemy na miejscu. Nie wierzy pan, panie władzo, że człowiek po gimnazjum może mówić tak jak ja. A jednak mówi, bo wie pan, w więzieniu wiele się można nauczyć. Biblioteka tam, gdzie ostatnio siedziałem, nie ma już dla mnie żadnych tajemnic. Mam nadzieję, że wsadzą mnie do innego pierdła, gdzie będę czytał do woli.

I tak się stało? pyta Sabina.

No jasne, ale niech mi pani da skończyć. Bo mówię mu wreszcie, żeby go całkiem już pogrążyć, tak, głupek przerósł pana erudycją, panie władzo, co tylko wskazuje na to, że wszystkiego się można wyuczyć, trzeba tylko mieć czas i warunki. To też świadczy o tym, że głupszy wiezie mądrzejszego do miejsca, gdzie z nikogo nie ma pożytku, ale los zdecydował i niech tak będzie.

Czyli nie jest pan w miejscu, na które pan zasłużył? Sabinie już coraz trudniej słuchać bez komentarza, niech wreszcie przestanie się tak bandzior podniecać. Paweł κ. słucha tylko siebie, to jego prawo, uważa Sabina, bo ta historia należy do niego, tak jak ulizana fryzura, obgryzione paznokcie i zaciśnięte wargi w złości na tych, którzy go nie rozumieją.

Rozumie mnie pani? Paweł K. przybliży twarz do okienka z pleksi. Bo ja rozumiem, dlaczego pani tu przyszła.

Sabina dziwi się, skąd on to wie.

Chce pani pogadać z tymi dwoma, Michałem i Czarciem, twarz Pawła K. staje się w jednej chwili napięta, ścięgną na szyi naciągają się ze złości, ale oni z panią nie chcą gadać, che, che. Powiedział mi Michał.

Co panu powiedział?

Że fajna z pani dupcia jest, Paweł K. mierzy Sabinę wzrokiem, unosząc się lekko z krzesła. Ale niech pani o nich zapomni. Tacy jak oni nie będą gadać.

Dlaczego?

Ja w ich wieku jeszcze nie gadałem o tym, co mnie boli. Oni są wymuskani, za bardzo, wie pani, delikatni, ciuciuruciu, z domów takich dobrych.

Tym bardziej mnie dziwi, dlaczego to zrobili, mówi Sabina, jakby chciała usłyszeć odpowiedź od przestępcy, którego widzi po drugiej stronie po raz pierwszy i ostatni, wie to na pewno.

Zrobili, bo tak chcieli, za dobrze mieli.

Ale pan nie miał za dobrze.

Ja jestem ja, oni to oni, znów skacze na krzesło. Mówię pani, niech pani sobie da spokój, moja historia jest lepsza, ja panią bardziej uszczęśliwię, życie znam, a oni, co oni mogą wiedzieć o życiu?

No tak, pan wie więcej, Sabina wstaje. Ma dość. Wyłącza dyktafon. Dziękuję, że pan poświęcił mi czas, chce odejść, woła strażnika.

To ja pani dziękuję, mniej mi się nudziło. Tylko niech pani napisze dokładnie tak, jak pani powiedziałem, krzyczy za nią, niech ludzie wiedzą, że to, co zrobiłem, wielu by zrobiło w mojej sytuacji! Kiedy będzie w gazecie? Przeczytam sobie!

Nie wiem jeszcze, muszę porozmawiać z innymi, Sabina wychodzi z pokoju widzeń, ściąga długie kolczyki, chętnie zdjęłaby teraz golf, krople potu spływają jej po skroniach. Czego się dowiedziała? Że musi zadać więcej pytań innym? Boi się, co jeszcze usłyszy, myśli, ale chce więcej, chce jakiegoś szczegółu, który ukaże jej prawdę, naprowadzi na trop, nie zwiedzie, jak ta cała gadanina Pawła k., której, zdaje się, prawie niczego nie brakuje, aby wysnuć wniosek, dlaczego doszło do morderstwa. Jednak to prawie decyduje o wszystkim. I Sabina zdaje sobie sprawę, że bez tego szczegółu wszystko jest pozorem.

Książka prywatnych raportów dyrektora więzienia wciąga ją już drugi wieczór. Sabina leży teraz na kanapie w salonie, włączyła radio, bo choć ma urlop, trudno jej odciąć się od wiadomości, musi wiedzieć, co dzieje się w mieście, w kraju i na świecie. Czyta uważnie każdą stronę, każdy zapis przypadku, dlaczego zwykli ludzie stali się więźniami, głowa ją boli od tego pytania, no, gdzie jest ten szczegół cholerny, myśli, ale dowiaduje się tylko, dlaczego trafili do więzienia.

Krystian u., 23 lata, zabił młodszą o dwa lata siostrę. Powód: odmówiła mu pożyczki pieniędzy. Chętnie

o tym mówi, nienawidzi siostry, matki i ojca. Twierdzi, że gdy wyjdzie, dokończy robotę. Cel: zabić matkę i ojca, nasikać na ich grób. Ojciec pije, matka jest bezsilna.

Maurycy J., 19 lat, zabił matkę. Powód: nie chciała oddać mu portfela, kiedy potrzebował na narkotyki i alkohol. Wysoki stopień demoralizacji, nieodpowiednie środowisko. Nie chce rozmawiać z psychologiem.

Jan. z., 20 lat, zabił matkę. Powód: brak. Znęcał się nad matką od dziesięciu lat. Wychowywała go sama. Zmarła pchnięta nożem po rodzinnej awanturze. Chłopak nie mówi, odkąd policja zabrała go z miejsca zbrodni.

Sebastian w., 18 lat, zabił ekspedientkę. Powód: strzelił jej w głowę, kiedy odmówiła oddania pieniędzy z kasy. Odkąd jest w więzieniu, ciągle się śmieje. Brak z nim kontaktu. Rozumie, że zrobił źle, ale nie rozumie, że musi ponieść konsekwencje.

Rafał K., 21 lat, zabił kuzyna. Powód: kuzyn nie chciał oddać mu pożyczonych pieniędzy (kwota 200 zł). Uznał, że lepiej jest zlikwidować wierzyciela. Nie chce rozmawiać z rodziną, odkąd został osadzony.

Marian F., 35 lat, zabił córkę. Powód: dowiedział się, że w wieku piętnastu lat straciła dziewictwo. Zakopał dziewczynę pod lasem. Nie przyznaje się do winy. Brak kontaktu z rodziną.

Karol, Z., 22 lata, zabił ojca. Powód: brak wyraźnej przyczyny. Chłopak mówi, że nienawidził swoich rodziców, bo byli głupi. Matki nie zabił, bo nie było jej

w domu. Chciał zabić ich oboje. Nie żałuje tego, co zrobił. Żał mu matki, która musi nadal żyć, bez ojca, i ze świadomością czynu, którego dokonał syn.

Brzmi jak raport poległych, na dziś już chyba wystarczy, Sabina rzuca książkę na podłogę, obraca się na plecy. Skąd się wzięły te wszystkie przypadki? Nie ma tu wspólnego mianownika, ale gdzieś musi być sens, jakiś powód, w który oni wszyscy wierzyli, że jeśli to zrobią, ich życie stanie się, chyba, lepsze. Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Sabina wstaje z łóżka, pije wczorajsze wino z butelki, patrzy przez okno, u Grunwaldów od miesięcy są zasłonięte okna. Nawet nie widać ich córki, jakby cała rodzina umarła, DLACZEGO, DLACZEGO, DLACZEGO? Kołuje jej się po głowie. Dlaczego zabili, po co?

„Bezsensowne zabójstwo w naszym mieście każe bezwzględnie zabrać się nam za zmianę obecnego prawa”, z radia słyszy głos prokuratora Tomasza Habrosa, który ma zostać posłem i wie, jak mówić, aby mieszkańcy dwustutysięcznego miasta, poruszeni zbrodnią w domu Majów, oddali na niego głos, myśli Sabina. „Należy zaostrzyć kary w szkołach za uczniowską nie-subordynację, trzeba pilnie odgrodzić złych uczniów od dobrych, za najmniejsze wykroczenie natychmiast umieszczać w domu poprawczym, i zwiększyć liczbę takich domów, trzeba jak najszybciej wprowadzić zakaz przeklinania na ulicach, karać rodziców za nie-

umiejętne wychowanie, zabierać prawa rodzicielskie rodzicom niewydolnym wychowawczo, oto, co trzeba zrobić”. „Ma pan dzieci?” pyta w radiu dziennikarz. „Nie, ale jestem prawnikiem”. Święty prokurator Habros, myśli Sabina, lepiej niech idzie zjeść swoje carpaccio z kaczuszki. Chyba mu tłuszcz zalał mózg, bardziej się boję jego rządów niż czynów tych młodocianych przestępców.

Halo, Sabina podnosi słuchawkę telefonu, który dzwoni właśnie w chwili, kiedy ona postanawia wyłączyć radio, aby nie słuchać Habrosa.

Niech się pani jutro stawi porozmawiać z Ignacym P., mówi dyrektor więzienia. I najlepiej by było, gdyby pojutrze spotkała się pani ,z Jackiem F. Może jeszcze zdąży pani pogadać z tymi dwoma chłopakami, jak się zgodzą. Odchodzę z firmy.

Jak to pan odchodzi? Więzienie to nie firma!

Miejsce pracy jak każde inne, śmieje się Ryszard Kata.

Przecież dyrektor mówił jej, że za późno na zmianę. Co się stało?

Opowiem pani pojutrze, proszę do mnie przyjść, jak pani skończy z tym trzecim. Jutro wyjeżdżam na jeden dzień.

Dobrze, będę jutro. Sabina odkłada słuchawkę. Co on mi tu pierdoli w środku roboty? Muszę zdążyć porozmawiać z Cezarym i Michałem, muszę go jeszcze zatrzymać w tej firmie.

Ignacemu p. ręka osunęła się na spuście w momencie, kiedy można już było spokojnie wynieść się ze sklepu, do którego poszedł z kumplami, aby zabrać trochę pieniędzy na potrzeby życiowe.

W czarnej kominiarce, obcisłym czarnym podkoszulku i dżinsach dopasowanych do ciała czułem się pewnie, nic nie krępowało moich ruchów, tylko postraszyć chciałem, jak mi się udało trzy razy w innych sklepach, zabrać łup, wyskoczyć z lokalu, wskoczyć do samochodu, zdjąć kominiarkę na trzeciej ulicy od miejsca, w którym się obłowiłem, opowiada Sabinie, układa rude włosy, jak wtedy, gdy w lusterku auta kumpla jeszcze raz chciał się przejrzeć, czy jego twarz wyraża zadowolenie, usłyszeć - dobra robota, idziemy się napić - odjechać do hotelu w innym mieście, zalać się, zapomnieć, że ukradł, usprawiedliwić, że musiał, i zacząć kilka miesięcy normalnego życia - puby, dziewczyny, odwiedziny u syna, pod warunkiem że była żona będzie w dobrym humorze. Tak miało być, przypomina sobie i patrzy na dziennikarkę, która pyta go, dlaczego tu trafił.

Zgodził się z nią rozmawiać tylko dlatego, że Paweł K. powiedział mu, że będzie ładnie opisany w gazecie. To mu się spodobało, lubi, jak ładnie o nim mówią, a jeszcze lepiej będzie, jak ładnie o nim napiszą. Napíše pani, mam nadzieję, patrzy na Sabinę, wyczekując potwierdzenia.

Ona kiwa głową, a pogada pan z Cezarym, żeby się ze mną spotkał?



Ignacy p. tyle może jej obiecać, a więc mówię dalej, chowa ręce w kajdankach między nogi. Scenariusz sprawdza! się od czasu, kiedy straciłem pracę w warsztacie samochodowym i przez trzy miesiące nie znalazłem nic tak samo dobrego. Nie można bez celu chodzić po ludziach i pytać, czy mają jakąś robotę i słyszeć, że mają, ale za minimum, które nie wystarcza na minimum, no tak jest, prawda? Wtedy trzeba kraść, aby wkupić się w normalne życie, zawsze bowiem istnieje ryzyko, że to życie kupi ciebie, zrobi z ciebie niewolnika społecznego i będziesz harował za bezcen.

A pan tak nie chciał, Sabina tym razem nie nagrywa. Trzyma zeszyt, notuje coś, nie, chce tylko, żeby tak wyglądało, wszystko woli zapamiętać, rysuje za to twarz Ignacego p. Te oczy, są takie wąskie, nienaturalnie zwężone, poprawia je kilkakrotnie, nanosi kreski ołówkiem, jakby chciała przez to je otworzyć, jeszcze głębiej do nich zajrzeć. Ale dlaczego tak trudno jej patrzeć w jego prawdziwe oczy, myśli, dlaczego łatwiej w te narysowane? Czy to gra, którą ona prowadzi sama ze sobą, jak redaktor naczelny, który rysuje na kolegium?

No jasne, że nie chciałem! Ignacy p. jest pewien, czego nie chce, wie to od dawna. Kilka rabunków rocznie może to wszystko zmienić, pozwoli ci być samodzielnym, a to podnosi poczucie wartości. Zerem to ja być nigdy nie chciałem. Pani by chciała?

No nie, mówi Sabina, odrywa wzrok od kartki papieru. Będę patrzeć, będę się jeszcze uważniej przyglądać, myśli, muszę to coś znaleźć w tej twarzy.

Otóż to. Znacznie łatwiej jest ukraść, czasem przy tym obić komuś pysk, jeśli do napadu dochodzi na przykład w parku. Ignacy p. podnosi ręce w kajdankach i rysuje w powietrzu drzewo, znów chowa dłonie, dociska kolanami. Łatwiej idzie, jeśli ofiara w parku jest słaba, schorowana, co jeszcze bardziej podkreśla siłę oprawcy, który dlatego ją teraz kopie, bo ofiara doprowadziła się do tego stanu swoim stylem życia - pracuje przez lata w jakimś nędznym miejscu, które płaciło jej tak mało, że na emeryturze inne miejsce, na które zarabiała to poprzednie, płaci ofierze jeszcze mniej, więc nie stać jej na leki, co czyni ją jeszcze słabszą, przez co nie może się bronić. Łatwo jest też napadać na sklepy na odludziu, bo tam tleniona blond sprzedawczyni nie stawia się, tylko wyciąga forszę z kasy bez gadania. Jak nędzną musi być osobą, niech pani pomyśli, z jakiej nędznej pochodzić musi rodziny, że pracuje w takim miejscu, w którym nikt jej nie obroni. Sama więc jest sobie winna, że naraża się na napad fachowca, który zna się na słabości. Z takiej słabości zdołałem się wyzwolić przez panowanie nad słabymi. Poznałem ich tajemnice. Sam kiedyś miałem podobne sekrety, byłem takim samym głównym, ale dzięki spostrzegawczości...

Tak, na nią wskazują teraz jego świdrujące, małe oczka, jakby wepchnięte w owal twarzy, myśli Sabina przyglądając mu się uważnie.

...nauczyłem się społecznego recyklingu, zdołałem swą słabość przerobić na złoto, a przez osobistą meta-

morfozę zmniejszyłem ilość odpadów w otaczającym mnie świecie, taki ze mnie ochroniarz środowiska, chi, chi, chi.

Nie zawsze jednak wszystko idzie zgodnie z planem, kiwa głową Sabina.

Bo recykling też ma swoje ograniczenia, Ignacy p. jakby recytował z pamięci teorię na temat swojego życia, nie każdy produkt można przetworzyć tak, jak by się chciało, bez końca, a czasem nie można już go odzyskać, dlatego trafiłem do więzienia za morderstwo z premedytacją.

Skąd ta premedytacja?

W moim przypadku zawiódł materiał genetyczny przekazany mi przez rodziców alkoholików, podejrzewam. Nie jestem, mimo życiowego sprytu, człowiekiem obdarzonym odpowiednią koncentracją i refleksem. I dlatego w jednym ze sklepów popełniłem błąd. Kiedy pieniądze już miałem upchane w plecaku, trach, i nieopatrznie nacisnąłem spust palcem wskazującym. Kula wtedy wyskoczyła prosto w szyję sprzedawczynie, która wykrwawiła się, zanim przyjechała karetka. No, ale kto by mi uwierzył, że nie zrobiłem tego specjalnie?

Uciekł pan?

Nie, nie uciekłem, to koledzy uciekli z miejsca zbrodni. Sparaliżował mnie normalnie widok chlustającej z aorty krwi! Chciałem ją nawet zatamować, ale nie znalazłem potrzebnej szmaty. Tę od podłogi, którą dojrzałem pod ladą, uznałem jednak za zbyt brudną, aby

ratować ludzkie życie. Kiedy w końcu stwierdziłem, że nic już nie jestem w stanie zrobić w sprawie sprzedawczyni, wyszedłem ze sklepu, aby spokojnym krokiem dojść do samochodu. Chciałem tylko kasę, dużo tam było kasy, oj, kurwa, jak ja jej pożałowałem! No, ale pod sklepem natknąłem się na wozy policyjne i tak trafiłem do tego samego więzienia co Cezary i Michał.

Czyli wypadek przy pracy, że pan tu trafił? Sabina patrzy na niego ze złością i nie potrafi już tego ukryć. Jak można tak mocno wierzyć, że liczy się tylko to, czego się chce w jakiejś chwili? Ale Ignacy P. jest przekonany, że jego czyn to nieszczęśliwy wypadek przy pracy, zwykłej robocie rabunkowej.

Mógłbym żyć z tej roboty jeszcze długo, nie rozumie pani? Żyć jak król, bo jak nędzarz żyć nie chciałem. Już lepiej nie żyć wcale. Na nędzę napatrzyłem się w rodzinnym domu, w którym nigdy nie dostałem tego, czego pragnąłem.

I dlatego pan zabijał?

Widzisz, złotko, chcenie niezaspokojone przeradza się w jeszcze większe chcenie, które staje się chceniem nieustającym, nawet w więzieniu, w którym jest wiele rzeczy wzbudzających pożądanie, na przykład młodszy chłopcy, chi, chi.

Ale pan ich też, no wie pan...

No też, jeśli trzeba, chi, chi. Wstaje, rozpinając rozpięty, wyciąga penis, patrz, mówi, mam czym, rozgląda się na boki, chowa z powrotem, wie, że nie wolno mu tego robić w pokoju widzeń.

Nie może się pan tak zachowywać, przypomina mi Sabina.

No przecież wiem, dlatego chowam. Siada. Na twarzy ma sztuczny uśmiech. Szczerzy zęby, po czym natychmiast zasłania je wargami. To też muszę ukryć, jeszcze raz pokazuje zęby, są tak samo ładne jak ten na dole, wskazuje dłonią w kajdankach na swoje kroczki. Teraz ma kamienną twarz, jakby żadna emocja nim nie targła. Wygląda na kogoś, kto może zabić. Jestem gotowy przegryźć pani tętnicę, śmieje się głośno, boisz się, złościutka?

W dzienniku dyrektora przy nazwisku Ignacy p. była adnotacja, przypomina sobie Sabina, „ekshibicjonizm na przemian z infantylizmem, niczym nieuzasadnione wybuchy głupawego chichotu”. Teraz to widzi na własne oczy, ale nadal nie rozumie, bo czy obietnica przegryzienia tętnicy jest u tego człowieka jednoznaczna z tym, że by ją przegryzł, gdyby nie dzieliła ich pleksi? Czy zrobiłby to bez powodu, tylko po to, aby dać zajęcie swoim zębom?

Kolejny dzień, to samo pytanie i brak odpowiedzi, Sabina wraca do domu z więzienia, do którego dojeżdża czterdzieści kilometrów, i marzy tylko o tym, aby położyć się spać. Jest dopiero popołudnie, a ona chciałaby obudzić się raniem, jak najszybciej spotkać się z Jackiem f., później z dyrektorem, a w końcu z Michałem i Cezarym, i zakończyć tę udrękę z powodu braku odpowiedzi na pytanie dlaczego. Już jest tak bli-

sko, już jej się zdaje, że odpowiedź przyjdzie, gdy ich wszystkich wypyta, dostrzeże jakiś gest, jakiś odruch, który ich zdradzi, a jej pozwoli zbudować definicję, znaleźć powód ich okrucieństwa. Wtedy przestanie się bać, myśli, że nie zrobiła tego, co powinna, musi więc dopiąć swego, poznać odpowiedzi na wszystkie pojawiające się w jej głowie pytania, które i tak tworzą jedno DLACZEGO.

To miasto jest tak ciche, jakże te ulice są puste, teraz chodzą po nich tylko psy, te okna zamknięte, bo wszyscy w pracy, jedzie wolno, przygląda się domom, zadbanym krzewom w jej dzielnicy, już wjeżdża na swoją ulicę, już zaraz będzie przy bramie, jeszcze tylko dom Kunów, Romów i Orków. Ale właśnie przy domu Orków coś się dzieje, skąd tu tyle młodzieży, jakby mecz mieli jakiś, podrzucają coś do góry, to plecak, czymś się bawią dobrze, za dobrze chyba, Sabina parkuje samochód przy grupce. Wysiada, podbiega do nich, co tu się dzieje, buty i ciuchy porozrzucane, z podrzucanego plecaka wysypane książki, niektórzy w nich bazgrzą, wrywają kartki z zeszytów, ktoś wylewa na zeszyt colę, inny tnie nożyczkami strój na wuef, T-shirt, trach, porwany, szorty pocięte w paski, rozszarpane trampki, a przy nich leży Marta, córka Grunwaldów. To lincz na dziewczynie? Co wy robicie, kretyńskie dzieciaki! Sabina widzi, jak ją kopią, sprayem malują, zdechniesz, ty kurwo, krzyczy do niej koleżanka z klasy, nie chcemy cię w klasie, wypierdalaj, i kopie ją w plecy, gdy Marta leży z rozciętym czołem.

Trzy inne dziewczyny próbują rozszarpać jej plecak, dwaj chłopcy zapalają zapałki i rzucają w stronę Marty, kolega, który skończył ciąć nożyczkami T-shirt na wuef, bierze kamień i zamierza nim rzucić w leżącą dziewczynę.

Wypieprzać stąd, krzyczy Sabina, podbiega do Marty, wypierdalać, bo wezwę policję! Wszyscy uciekają, w jednej chwili porzucają swoje popołudniowe zajęcia, tak pełne pasji i napięcia, tak znakomite na nudny czas po szkole, w sam raz na poprawę chorego humoru. Dziewczyna, która kopała Martę w plecy, wrzeszczy MORDERCZYNI! Podnosi jeszcze spray z ziemi i ciska nim w Martę, która właśnie próbuje wstać, jednak spray trafia prosto w jej nos. Krew chlusta, oj, jak leci obficie, jak boli, ratunku! Marta wrzeszczy, łzy mieszają się z krwią, tusz do rzęs spływa po policzkach, poranionymi od kopania dłońmi dziewczyna próbuje wycierać twarz, ale wszystko tak boli, tak strasznie kłuje w policzki i w usta, upada na kolana. Sabina podnosi ją, już dobrze, pomogę ci, zawiozę do domu, nie bój się.

Oni mnie chcieli zabić, zabić, rozumie pani, już im się prawie udało, płacze, ale idzie do samochodu, potyka się o własne nogi. Ale to nie ja, to Czarek, to nie ja zrobiłam...

Zaraz wezwę policję, powiem rodzicom, już jesteś bezpieczna, Sabina układa ją na przednim siedzeniu. Teraz pytanie DLACZEGO jeszcze mocniej ją dręczy, dorwałaby tych popaprańców, którzy niewinną dziewczynę chcieli ukarać za czyn brata. Ale ta twoja rana na

czole źle wygląda, trzymaj przy nosie chustkę, którą ci dałam, odchyl do tyłu głowę. Będzie lepiej, jak zawiozę cię do szpitala, zadzwonimy stamtąd do rodziców.

Nie chcę żyć, płacze Marta, nie chcę! Chyba się zabiję, bo jak nie, to oni mnie zabiją przy innej okazji!

Odpowiedzą za to, policja się tym zajmie, jedziemy teraz do szpitala, Sabina zawraca samochód. Teraz pytanie dlaczego jakby mniej ją obchodzi, bo może pomóc dziewczynie. Lęk Marty zmniejsza lęk Sabiny, aż do momentu, gdy opuści zakrwawioną szesnastolatkę. A wtedy lęk znów się pojawi, bo Sabina wyjdzie sama ze szpitala, by dalej szukać odpowiedzi.

Jacek <sup>F.</sup> skończył przedwczoraj dwadzieścia osiem lat. Czuje się stary z powodu swojej otyłości, powtarza codziennie więziennym kumplom. Teraz czuje się jeszcze bardziej stary, bo całym ciałem, które waży prawie sto dwadzieścia pięć kilogramów przy wzroście stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów, siada przed Sabiną na drewnianym krześle. Stuka palcami w pleksi, sprawdza, z czego jest zrobiona ta szyba, mówi dzień dobry, solidny materiał, jak ja.

I znów przychodzi do niego to upokorzenie, które sparszywia jego obraz we własnej głowie, mówi.

Chyba nie jest tak źle, dziękuję, że pan przyszedł, Sabina widzi, jak on męczy się ze swoją masą, bo nawet trudno mu siedzieć chwilę bez kręcenia się na twardym krześle.



Ale ja kiedyś byłem bardziej męski, Jacek <sup>F.</sup> układa wąskie usta w podkowę, poważnie się zawiódł na swojej intuicji wobec kobiet, mówi, i nawet skończone studia filologii germańskiej nie uchroniły go przed popełnieniem błędu poznawczego, który kosztował go utratę wolności zarówno zewnętrznej, bo trafił tu na dożywocie, ale także wewnętrznej, bo nienawidzi siebie za to, jak wygląda, nie jest więc już mężczyzną w swoim ciele, ale w ciele, które na nim urosło jak obca tkanka, luźno zwisająca z kości i niemająca nic wspólnego z jego delikatną, niegdyś młodzieńczą, muskularną sylwetką.

Siedzę dopiero cztery lata i w tym krótkim czasie zdążyłem powiększyć się o czterdzieści pięć kilogramów, ma pani pojęcie? Każdy dodatkowy kilogram powiększa moją winę wobec siebie samego, ale nie ja jestem winny śmierci mojej dziewczyny. Ona musiała umrzeć, bo była kimś innym, a ja nie potrafiłem tego rozpoznać.

Jakże cudownie jest być zakochanym! Park, drzewa, ławki, na których siedzą ci, którzy miłość właśnie przeżywają, i ci, których ona dawno opuściła. Czułem w sobie jej rozkwit, co pragnąłem wyrazić, tak jak drzewo wyraża wiosenność przez bujne liście, które wyrastają mu z każdej strony. I mnie wyrastały coraz większe skrzydła, którymi chciałem otoczyć Kamilę <sup>P.</sup> Piękna, delikatna twarz...

Ile miała lat?

Dwadzieścia trzy. Mówiłem jak szalony, jakby czasu miało mi braknąć, że kocham ją już rok, że minęła wiosna i zima, i znów mamy wiosnę, że jestem pewien, że chcę z nią mieszkać, co noc ją czuć obok siebie, budzić się przy niej, wachać gęste, ciemne włosy, chcę rozpieszczać jej delikatność i pobudzać jeszcze bardziej jej dzikość, więc wyjdiesz za mnie, zapytałem.

Przyjemnie jest czekać na odpowiedź, prawda? Uśmiecha się Sabina. Myśli teraz bardziej o sobie, tak bardzo chciałaby doświadczyć przyjemności z odpowiedzi, na której jej zależy.

O, tak, Jacek F. podnosi głos, nawet jeśli oczywistość odpowiedzi się przewiduje, ale jednak cudownie jest ją usłyszeć, tak jak miłość się czuje, ale mimo to słyszeć kocham jest pragnieniem kochanków, wzmagającym ich pożądanie i oddanie. I czekałem, tak jak czeka kochająca osoba, zuchwale oczekująca słowa tak, do czego upoważnia ją uczucie miłości, ale słowo tak przemienia się nagle w nie, w jakiś niewyobrażalny sposób, którego żadna siła nie powinna używać wobec kochanków, a już tym bardziej kochankowie wobec samych siebie. Jakże można nie powiedzieć, jakże można w ogóle usta otwierać, i po co, skoro nie nędzne z nich uleci, jak gdyby nigdy nic, jak paproch, mimo że ze łzami w oczach, co za różnica, ale to nie, to słowo nikczemne w obliczu miłości tak czystej, tak pewnej, nie powinno w ogóle istnieć. A jednak jest, słyszę, zostało wypowiedziane przez jej usta, które jeszcze przed chwilą całowałem, ja, jej przyszły mąż, który stać się

nim nie może, choć już nim byłem w głębi mnie samego, tak czułem, zanim zapytałem, czy mogę, a przecież mógłbym, miałem w sobie tę dyspozycję, tę stosowność zostania mężem kobiety, którą kocham, kobiety, która odmawia mi niestosownie.

Miała innego kochanka?

To pewne, myślałem. Co innego może być przyczyną, kobieto, pytam ją w rozpacz, co może nas rozdzielać po tym, gdy poznałem wszystkie twoje tajemnice, zapach twych ud, dotyk twych dłoni, twoje westchnienia conocne, omdlenia po orgazmie, wszystkie twe soki na mnie spływały, a ty mówisz nie? Kim on jest? Kto cię posuwa za moimi plecami, komu oddajesz siebie, dziewczyno, kiedy, potrząsam nią. Czy uciekasz nad ranem do niego, jeszcze pachnąca naszą namiętnością? Jeszcze masz siłę obdzielać nią innego? Dlaczego milczysz, szarpie ją, nic powiedzieć nie chcesz, mózg mi chcesz rozerwać, gdy szaleję z zazdrości? O tak, zazdrość jest brakiem odporności zakochanych, to wirus podejrzliwości sieje spustoszenie w zdrowych przed chwilą komórkach. Jeszcze pięć minut temu kochałem całym sobą, teraz czuję infekcję, ciało obce, które we mnie weszło, pożera moje czyste uczucie, jak ciebie pożera ta cisza między nami, wpadłaś w nią i już nie mogę cię dosięgnąć, przestaję cię czuć. No, powiedz, proszę, zmuszam ją, usiądź przy mnie na ławce, potrzymam cię za rękę, opowiedz mi wszystko, wszystko zrozumie, powiedz, jaki błąd popełniłem, że szukałaś innego? Jacek F. zamyka oczy, drży lekko.

Usiadła?

Dłońmi gniotła czarną sukienkę w drobne groszki, Jacek F. dotyka swojego więziennego uniformu, jakże kobiecą, jak delikatnie opinającą jej piersi i talię, spływającą na biodra i za kolana, cud kobiecości przede mną stoi, myślę, stopy na obcasach męczy zamiast obok mnie odpocząć, jakby chciała zniszczyć te stopy, które ją niosły co dzień do mojego łóżka, w którym oddawała mi się i mówiła Kocham.

Nie mogę, teraz mówi, nie mogę wyjść za ciebie, choć nadal cię Kocham, i wciąż stoi, niech sobie pani wyobrazi. Po chwili kuca, dłońmi zakrywa twarz: nie mogę zostać twoją żoną. Znów staje, kręci się wokół ławki, chodzi, jak w celi więziennej, widać, że więzi ją myśl jakaś przerażająca, coś chce mi wyznać, lecz boi się, to pewne, niech wreszcie powie, po co ukrywać coś przed ukochaną osobą, na wszystko można znaleźć radę, wszystko przetrwać razem, jeśli jest miłość, a ona jest między nami, mówię jej, pewien jak niczego w życiu, mówże wreszcie, łapię ją za łokieć szczupły, gdy ona po raz drugi okrąży ławkę z założonymi na piersiach rękoma. Siada obok mnie w końcu, a ja otaczam ją teraz ramieniem niczym artysta, który chce stworzyć na nowo to, co przed chwilą utracił. Kocham cię, zapewniam, przysuwam głowę do jej wysokiego czoła, znów zachwycam się linią jej brwi, wnikam w jej spojrzenie i wtedy ona odsuwa się ponownie. Nie chcesz tego wiedzieć, nagle się z niej wyrывa, choć mówisz, że wszystko zrozumiesz. Tego

nie pojmiesz, bo i ja tego nigdy nie pojęłam, zniża głos, przetyka ślinę, jakby chciała połknąć wstyd, co ja natychmiast wyczuwam, dostrzegam jej zaróżowione policzki. Nie bój się, mówię jej, zrozumieć. To nie mężczyzna, nie ma nikogo innego, mówi ona, ale dalsze słowa grzęzną w niej, blokują się w gardle. Jakże wspaniale! Już ją chcę przeproszać, oczy zamykam ze szczęścia, jak mogłem myśleć, że jest ktoś inny, jak mogło mi to przyjść do głowy, więc nadal jesteś moja, tylko moja, wyłączna, jedyna, łapię ją znów za rękę i znów ona się odsuwa, jeszcze dalej.

Jestem twoja, ale nie jestem tym, kim myślisz, jestem kimś innym, i płakać zaczyna, bo wciąż nie chce powiedzieć, kim jest i dlaczego nie może być moją żoną.

Co więc, u licha, o co tu chodzi? Sabinie trudno przewidzieć dalszy ciąg historii.

Przecież teraz już musisz mi powiedzieć, tak jej mówię. Poczekaj, niech przejdzie ta kobieta z wózkiem. To dziecko tak krzyczy, nie ma tu klimatu do rozmowy, chodźmy pod ten rozłożysty dąb. Takie drzewo ma wielką energię, może dodać sił w wyjątkowo trudnej sytuacji i osłoni nas przed wścibskimi ludźmi, którzy nie rozumieją takich problemów, bo pewnie nigdy tak mocno nie kochali. Popatrz na nich, czyż nie mają szarych twarzy, mimo wiosny, ta matka na przykład, taka zmęczona płaczącym ciągle dzieckiem, nasze będzie inne, ciągle będzie się śmiało do nas i do ludzi. A ten staruszek dwie ławki dalej, widzisz, patrzy przed sie-

bie, już nigdy nie będzie szczęśliwy, jego miłość odeszła wraz z młodością. Tamta staruszka, która idzie z balkonikiem, przecież ona już nigdy nie będzie taka szczęśliwa jak my. Mamy szansę, tylko powiedz mi. Uf, no już, teraz wreszcie nikt na nas nie patrzy. Oprzyj się razem ze mną o to drzewo, mów, nie bój się więcej. Kamila P. jednak, gdyby tylko wiedziała, że śmiałość miłości jest pułapką, w której właśnie przesypuje się jak w klepsydrze jej życie, odgryzłaby sobie język i w ten sposób ocaliła oddech. Bez języka można żyć, brak oddechu czyni z nas tylko ciało, z którym już nic nie można zrobić, a Kamila P. zrobiła ze swoim ciałem zbyt wiele, aby teraz oddać je śmierci. To jej właśnie się bała, wiem to. Oddychała chyba coraz głębiej, ale przecież gdy zbliża się powiedzenie tak ważnej prawdy, każdy ma prawo czuć się zaniepokojony, i na nią teraz spadł właśnie ten rodzaj niepokoju, przy którym trudno nie czuć śmiertelnego lęku, ale też trudno już wycofać się z powziętego planu, musi mi powiedzieć.

Co więc powiedziała, na Boga! Sabina niecierpliwi się coraz bardziej.

Nie zamykaj uszu na to, co teraz słyszysz, Jacku F., jakiś głos wyraźnie mi to szeptał do ucha. Te słowa padają z ust kobiety twojego życia, którą miałeś w ramionach setki razy, więc wiesz, że to ona, ona jest oną, ona jest nim, nie, to niemożliwe, myślisz, że niemożliwe? Ale ona ci to właśnie mówi! Zaprzecza temu, co widzisz, sukience w białe groszki, wydepilowanym nogom, piersiom bez włosów, jasnemu mesz-

kowi na rękach, brakowi owłosienia na twarzy, to ona, kobieta? Nie, to mężczyzna, moja kobieta mówi, że jest facetem, nie, że była facetem, chłopakiem była, jeszcze pięć lat temu! Kurwa, ja pierdołę! Bzykałem faceta, kurwa mać! Rozumie pani, tak mi ten głos szep- tał w szaleństwie jakimś. Wsadzałem facetowi, który miał kiedyś fiuta, ale teraz ma dziurę, jak ona-on, to zrobił? Boże! To przecież jakieś przewrócenie świata do góry nogami, jej nogi są kobiece, znam jej ciało, jej zachowanie jest kobiece, babą jest, to babie mówi- łem te wszystkie świństwa, świństwka małe i duże, z nią świntuszyłem, a nie z facetem w babskiej skórze, w ciele z kroczem żeńskim i cyckami. Przecież cycki nie są doczepiane, wyczułbym, nie odessała fiuta, nie przyszyła cipki, ratunku, zwariowałem! Tak myślałem, jak Boga kocham. Muszę walnąć głową w drzewo, znów mi ten głos szepce, krew z rozcięcia trochę mnie ocuci. Nic z tego, nawet bólu czoła rozwalonego nie czuję. To tak sobie ze mną pogrywałaś? Takie gierki uprawiałaś z facetem prawdziwym, uprawiałaś, zna- czy się, zboczeńcu! Zabiję cię, zabiję! To hańba dla męskości, to hańba dla mojego fiuta! I dla mózgu, dla serca i dla żołądka. Muszę się wyrzygać, niedobrze mi, krzyczę.

Tyle warta była pana miłość?

Nigdy! Już nie chcę jej za żonę, myślę. Rzygam i pa- trzę na nią, na niego raczej, w jej ciele, więc rzygam jeszcze raz, ale już wiem, co zrobić, aby nie rzygać więcej. Wystarczy sięgnąć po ten kamień obok dębu,

który widzę, kiedy wypuszczam ostatnie rzygi z upokorzonego brzucha. Rzucam się na ten kamień, podczas gdy ona-on, stoi jak sparaliżowany i czeka, co zrobię. Działanie, znów słyszę w głowie ten głos, to jest męska sprawa, nie wolno o działaniu zapomnieć, aby móc nadal czuć się męskim. Mężczyźni od wieków działali w sytuacjach hańby, trzeba taką hańbę zaprawić krwią, w ofierze złożyć baranka człowieczej pomyłki, parchatą owieczkę ludzkiego gatunku, którą chirurgiczny skalpel doprowadził prawie do mojego ołtarza, wcale nie po to, byś się z nią żenił, jak zamierzałeś, nieszczęsny, podpowiada mi ten głos, ale byś zatłukł ją kamieniem w dowolny sposób, który przychodzi ci teraz do głowy.

I rozłupał jej pan głowę.

Miała w niej duże wgłębienie między oczami, których już nie było widać, bo spływała po nich krew. Baranek złożony, najwyższy organ prawa w niebie musi to wybaczyć, bo takie życie nie miało sensu, nie mogło zostać uświęcone. W klatkę piersiową, z której wystają fałszywe cycki, też trzeba walnąć kamieniem, myślę wtedy, takie cycki nie powstały z woli najwyższego. Tak samo to, na co teraz zamierzam się kamieniem, poniżej leżącego brzucha, jest wynikiem jej chorego umysłu i pomyłonych lekarzy, więc kamień to roztrząska, zabije ostatnie wspomnienie o tym konającym właśnie ciele, które za życia włożyło tyle wysiłku, aby wyglądać tak efektownie, tak szykownie, tak kobieco. I widzę, jak płynie krew z ciała, nad którym płaczę,



i nad którym zebrał się już tłum gapiów. Czas podważył moje widzenie świata, który przed morderstwem składał się tylko z tej, którą przed chwilą zabiłem.

Czy można tak wszystko bach, bach, kamieniem?

Pyta pani, czy kamień może zatłuc miłość jak pieprz w mózdzierzu zmasakrować uczucie trwające przez rok, które miało się dopełnić przez powiedzenie tak i założenie ślubnej obrączki? Zrobiłem to.

Czym była więc pana miłość?

Bo ja wiem? Miłością była. Nie musiałeś pan od razu mordować, tak krzyczeli do mnie gapie, do których ja wrzeszczałem zrozpaczony, że ona była facetem! Jacy tolerancyjni są teraz, prawda, myślę sobie, a przecież gdyby żyła, taka, jaka była, ukamienowaliby ją wieloma kamieniami, gdyby powiedziała im to, co mnie. Ja zrobiłem to tylko jednym kamieniem, przez co mniej cierpiała. Pokazują mnie w telewizji, patrzę prosto w kamerę, widzę to, jakby zdarzyło się przed chwilą, jeszcze ten kamień mam w dłoniach, cały zakrwawiony. Policjanci mnie otoczyli, ale żaden z nich nie podchodzi jeszcze, tylko celują do mnie z broni palnej, co podsycy płomień mojej miłości do niej, która była nim. A jednak żałuję tego, co utraciłem, uczuć, którymi obdarzało mnie to ciało, zrozumienia, którym otaczało mnie to ciało, piękna, którego dostarczało mi to ciało w bezpłciowej duszy, bo przecież nie kobiecej, skoro kobietą się nie urodziło, ani nie męskiej, skoro mężczyzną być nie chciało. Patrzę na jej zmasakrowane ciało i nie wierzę, że to ja zrobiłem. A jednak! Afekt jest

wynikiem mojego szoku, dociera do mnie, ja pierdołę, męskiej reakcji ze wszech miar prawidłowej, na to, co okazało się niezgodne z tym, czego zostałem w szkole i w domu nauczony, że dziewczynki z osiedla, które znam, wyrastają na kobiety, a chłopcy na mężczyzn.

No to dlaczego?

Wie pani, ja rozmawiałem z chłopakami, żeby z panią pogadali, ale to chyba bez sensu, Jacek F. jest już bardzo zmęczony, ma czerwone policzki, krople potu z czoła wyciera rękawem więziennego uniformu, pani tak, kurwa, wciąż bez sensu pyta, oni sami nie wiedzą, a ja? Skąd ja mam, do kurwy nędzy, wiedzieć, co się dzieje ze wzburzonym człowiekiem, że nie umie nad sobą zapanować i wali na oślep? Ja to pani opowiedziałem, ale to pani ma jakiś problem, że tu pani przyłazi. Dlaczego pani tu przyłazi, no po co?

Bo chcę wiedzieć.

Ale co to pani da? Zamordowała pani kiedyś?

Nie.

To nie dowie się pani, dopóki pani tego nie zrobi, a i tak to będzie inne od tego, co ja zrobiłem czy tamci czterej, co siedzą ze mną w celi.

Mimo to chcę wiedzieć dlaczego?

To niech pani wsadzi nóż w czyjeś ciało, wypali komuś w głowę ze spluwy, bam, bam, podłączy go do prądu, walnie kamieniem, niech pani zamorduje, to się pani dowie.

Sabina wstaje. Chłopcy nie zgodzili się ze mną rozmawiać?

Nie.

Do widzenia. Wychodzi prędko. Jest przerażona. Czy tego chciała dowiedzieć się, że jeszcze straszniej jest nie wiedzieć, po co chce się wiedzieć?

Za drzwiami pokoju widzeń czeka dyrektor więzienia.

Słuchałem tej waszej rozmowy, lepiej się pani czuje?

Ani trochę, wiem jeszcze mniej.

To czas się zająć normalnym życiem. Cezary i Michał nie będą z panią rozmawiać. Ryszard Kata obejmuje ją ramieniem, troskliwy jest denerwująco i uśmiech ma drwiący, Sabina wysuwa się spod jego ramienia, niech pan tak nie robi, mówi, niech mnie pan nie traktuje tak protekcyjnie.

Dyrektor w milczeniu odprowadza ją do drzwi. Kiedy obraca się do niej i wyciąga rękę, aby ją wreszcie pożegnać, a w rzeczywistości pozbyć się jej męczącej go obecności, Sabina widzi w klapie marynarki jego garnituru plakietkę partii rządzącej.

Zajął się pan polityką?

Tak, dlatego odchodzę stąd, to chciałem pani powiedzieć. Prokurator Habros zachęcił mnie, abym startował w wyborach do parlamentu, jest trochę roboty ze światem przestępczym, z prawem, i w ogóle. Dyrektor zaciera rękę.

Ale pan nie chciał nic zmieniać, a zmiana z tym Habrosem... Sabina kiwa głową. Będziecie grać w tę samą grę?

Z pewnością na tym samym boisku, śmieje się dyrektor. Pani chce wiedzieć więcej, a ja wiem, że nie ma się co zastanawiać, tylko trzeba zrobić wszystko, co jest do zrobienia, żeby nie zasiedzieć się w niebezpieczeństwie.

Jak to zasiedzieć - pyta Sabina.

A co, myśli pani, że trzymanie się jednej pracy całe życie to nie jest przejaw lęku? Trzeba stąd wiać, póki jeszcze można.

Sabina wybiega szybko z budynku więzienia. Już tu nie wróci, teraz napisze i będzie szukać dalej, aż dowie się, od jakiej myśli tak naprawdę nie może się uwolnić.

## PEWNE JEST TYLKO TO, CO SIĘ STAŁO PÓŁ ROKU TEMU

Dawid ma wreszcie samochód, co pozwala mu szybciej dojeżdżać na codwutygodniowe odwiedziny u syna czterdzieści kilometrów od domu. Właśnie tam jedzie służbowym żółtym oplem corsą, który dostał w nowej pracy. Porzucił firmę farmaceutyczną, bo nawet po tym, co zrobił syn, ojciec nie uwierzył w leki. Po raz pierwszy więc od dwudziestu lat Dawid zrobił coś nieprzewidywalnego i wbrew sobie, odważył się powiedzieć nie, lecz gdy je wymawiał, wiedział już, że nie ma dla niego miejsca w dawnej pracy, tak naprawdę więc odważył się po raz pierwszy zrezygnować.

Dlatego Dawid jeździ teraz żółtym oplem corsą z napisem Salon gier komputerowych. Dowozi nowe gry, pilnuje salonu i przygląda się chłopcom, którzy przychodzą tu grać, bo nie mają w domach tak łatwego dostępu do gier komputerowych. Nie mają go zwłaszcza po głośnym procesie Cezarego, o którym mówio-

no w całym mieście najpierw cicho, a później głośno, kiedy znalazł się na pierwszej stronie lokalnej gazety.

Dawid pracuje w salonie i stara się znaleźć odpowiedź na pytanie dlaczego, nie bardzo jednak wie, o co mu chodzi, czy o takie dlatego, które da mu odpowiedź na to, co stało się z jego synem, czy takie, które pozwoli mu zrozumieć, co dzieje się w dwustutysięcznym mieście z uczestnikami gry. Kiedy zbliża się do więzienia, w którym przez dwadzieścia pięć lat będzie przebywał jego syn, wciąż nie jest pewien, czy chce się dowiedzieć, podejrzewa bowiem, że nigdy nie będzie miał pewności, gdyż pewność nie może być wynikiem subiektywnych przemyśleń dotkniętego tragedią ojca. Pewne jest tylko to, co się stało, a taką pewność Dawid osiąga powoli, bo nie jest wcale pewien, czy kara może istnieć bez winy, dlatego że kara jest faktem, a wina jest wypadkową - kary i życia, uważa.

Więzienie to masywny budynek z czerwonej cegły, na którym już tablica z napisem, że to więzienie, każe unikać tego miejsca. Pospiesz się więc, Dawidzie, pogania sam siebie, dzwoni do bramy, wchodzi szybciej, aby szybciej wyjść, nie spędzać tu więcej czasu niż to konieczne dla twojego poczucia odosobnienia, którego przecież nie musiałbyś odczuwać, gdyby nie twój syn, przez którego odczuwasz osobność, oddzielenie od reszty świata, którego wyparło się twoje dziecko. Ty jednak nie możesz wyprzeć się syna, choć chciał-

byś to uczynić, aby zapomnieć, że go masz, bo fakt, że wciąż jest twój, jest niezaprzeczalny, wciąż jest twoim pierworodnym, wciąż wierzysz w jego dziecięcość, w pomyłkę, która nastąpiła w jego umyśle, bo jesteś niemal pewien, że twój syn nie potrafiłby pomylić się świadomie, nie byłby w stanie dokonać masakry w domu Majów. Ruszaj prędzej, wyciągnij ten dowód osobisty zwawiej, nie trać czasu na szukanie go w portfelu drżącymi dłońmi, no przecież potrafisz opanować te dłonie, jeśli tylko skoncentrujesz się wystarczająco mocno, jak wtedy, kiedy musiałeś sporządzać cotygodniowe raporty sprzedaży, no, jeszcze tylko schody przed tobą, aby dostać się do pokoju widzeń, więc może zacznij po nich biec, po dwa stopnie, szybciej wtedy pokonasz ten dystans dzielący cię od prędkiego wyjścia z tego miejsca, do którego wcale nie chcesz wchodzić, nie powinieneś nawet, bo wiesz, jak bardzo będziesz to później przeżywał, ale skoro już jesteś pod drzwiami sali widzeń, nie możesz się wycofać, obrócić na pięcie i tak po prostu wyjść, zbiec po schodach, bo to podważyłoby sens wchodzenia po nich i wcześniejszy sens dojechania tu samochodem z napisem, Salon gier komputerowych. Nie kombinuj już więc, wejdź po prostu z godnością sobie przypisaną, jaką potrafi przybrać twoja twarz, naciśnij na klamkę, gdy wysoki, rudowłosy strażnik cię popędza, przecież musisz szanować jego czas, zrozumieć jego słowa, proszę się pospieszyć, ma pan piętnaście minut, dostosować się do czasu widzenia, w końcu

to on tu rządzi, to on jest gospodarzem tego domu, ty swoim domem już zarządzałeś i w efekcie tego właśnie się tu znalazłeś, jako gość. I nie próbuj chować wzroku po kątach, kiedy już przekraczasz próg tego pokoju widzeń, salonu twojego syna, nie unikaj wzroku skazanych, kolegów twojego pierworodnego, na których dobór nie masz już wprawdzie wpływu, ale znów musisz sobie uświadomić, że jesteś tu tylko gościem, nawet jeśli nikt nie każe ci wycierać butów przed wejściem, bo nikt tu nie jest aż tak drobiazgowy. A teraz usiądź naprzeciwko dziecka, bo wciąż jest twoim dzieckiem, i bez względu na jego położenie zawsze będziesz naprzeciwko niego siadał, specjalnie nie masz wyjścia, więc przestań się już buntować i nie zdradzaj zakłopotania, wodząc wzrokiem wokół, postaraj się spojrzeć przed siebie, a dostrzeżesz, że to Cezary, ten, którego znasz ze zdjęć i z uścisków, gdy był kimś, kto spełniał twoje oczekiwania, wprawdzie teraz ich nie spełnia, ale nie znaczy to, że nie jest tym samym chłopcem, który dawniej wzbudzał twoją czułość i troskliwość, który nadawał twojemu życiu sens i sprawiał, że miałaś ochotę robić cotygodniowe podsumowania finansowe w firmie, która dawała mu jeść i tobie, abyś miał siłę nadal pracować dla rodziny. No, dobrze, już jej nie masz, dlatego tam nie pracujesz, ale pracować gdzieś musisz, więc przestań się nad sobą rozczulać, bo i tak nie zmienisz tego, co tu zastałeś, dlatego podporządkuj się wreszcie i odezwij się do dziecka, skoro już tu jesteś.



Nie myśl teraz o Laurze, która od czasu, kiedy Cezary próbował popełnić samobójstwo cztery miesiące temu, jest w stanie załamania nerwowego. Przyjechałeś tu sam, bo czujesz się podwójnie odpowiedzialny, za żonę i córkę, ponieważ za syna nie ponosisz już żadnej odpowiedzialności wychowawczej, jedynie chciałbyś się dowiedzieć, dlaczego to zrobił. Na to pytanie nie znajdujesz wciąż odpowiedzi, uświadamiasz sobie, być może dlatego, że nigdy nie zadawałeś pytań wobec sytuacji uczuciowych i nie lubiłeś podobnych pytań, bo przerastały twoją zdolność wypowiedzi, i wciąż nie potrafisz ani sam sobie odpowiedzieć, ani nakłonić do odpowiedzi syna milczącym zwieszeniem głowy, gdyż zapytać wprost także nie wiesz jak. Ale zaraz pójdzie ci łatwiej, o widzisz, już jesteś naprzeciwko syna, wypuść powietrze, rozluźnij dłonie i kark, poluzuj krawat, właściwie niepotrzebnie go założyłeś, utrudnia ci oddychanie, mimo to jesteś twardy, potrafisz powstrzymać emocje, nikt ich nie dostrzegł? Chwała Bogu, teraz tylko przetrwaj te piętnaście minut, które cię dzielą od wyjścia.

Cześć, tato, mówi do ojca młody człowiek skuty kajdankami, któremu Dawid całkowicie ufał przez siedemnaście lat, a któremu teraz nie ufa społeczeństwo na zewnątrz i społeczność, wewnątrz której się znajduje.

Cześć, synu, mówi ojciec, któremu trudno jest tak zwracać się do dziecka, które na zawsze utracił, tak myśli o nim, jak się czujesz, dodaje, patrząc na bladą

twarz chłopca, której nie może spojrzeć w oczy matka, gdyż boi się oszaleć z rozpaczy, dlatego ojciec dźwiga ciężar spotykania się z synem za matkę również.

Dobrze, uśmiecha się syn, dobrze się czuję, tato, całkiem nieźle, a gdzie mama? Nie mogła przyjechać, bardzo chciała, ale nie mogła, mówi ojciec półprawdę, która w tej chwili ocala uczucia ich obojga, bo ani syn nie chce usłyszeć prawdy, że matka nie chciała przyjechać, ani ojciec nie może mu tej prawdy wyznaczyć, wiedziony przekonaniem, że więzień też ma swoje prawa do marzeń o miłości, bez względu na to, co uczynił, tych marzeń nie można odebrać nikomu, nawet skazanemu za podwójne morderstwo.

Szkoda, że nie przyjechała, syn kiwa głową, matka Michała też nie przyjeżdża już jakiś czas, mówią tu, że zwariowała, że ją zamknęli, szkoda, syn znów kiwa głową. On, Michał, wierzy, że przyjedzie znowu, jak się lepiej poczuje, w końcu ma tylko ją na świecie, jak ja was, po tym, co zrobiłem, syn uśmiecha się lekko, ale uśmiech ten wzbudza w ojcu jeszcze większy niepokój niż ten, z którym tu przyszedł, bo do ojca dociera, że jego syn zrozumiał, co zrobił, i że ponosi za to całkowitą odpowiedzialność. Nie jest chory, nie potrzebuje leków, lekiem jest miłość, której ojciec dać mu nie może w więzieniu, ale dawać mu ją będzie, bywając tu i czyniąc także siebie więźniem tej sytuacji, z której już nigdy się nie wyzwoli, bo to przecież jego pierworodny siedzi w więzieniu do końca życia, czyli dłużej niż trwać będzie życie ojca, co nie pozwoli mu

się nigdy wyrwać z udręki myślenia o dziecku, nie da mu zapomnieć, że jego syn zrobi! rzecz potworną, ale żałuje, więc jest w tym ludzkim odruchu człowiekiem, jego synem, wobec którego jednak nie mogą ustać obowiązki, podobnie jak nie mogą ustać obowiązki wobec żony, której składał przysięgę: i że cię nie opuszczę aż do śmierci, co automatycznie przenosi się na syna, którego, nawet gdyby chciał, opuścić nie może. Kocha go, to pewne, tym bardziej cierpi, gdy syn zadaje mu to okropne pytanie: a co w domu, wtedy bowiem ojciec nie może wyrzucić na niego całej prawdy ciężkiej od łez, bo to przecież woda, więc ubrana w nią prawda waży więcej, oskarżyć go: wszystko przez ciebie, źle jest w domu, beznadziejnie, tragicznie, wszyscy cierpimy przez ciebie, przez twoją głupotę, szaleństwo, któremu uległeś, debilu jeden, zobacz, coś narobił, jak sobie i nam zmarnowałeś życie, skurwysynu, tylko musi mu powiedzieć, w domu wszystko w porządku, wszyscy zdrowi, nie martw się, synu, kurwa mać, dodaje już w duchu. Ale tak naprawdę chciałby mu powiedzieć, co o nim myśli, sprać go po pysku, przekląć, nie może jednak, bo straciłby go ponownie i nie wie, czy byłby w stanie udźwignąć kolejną stratę, kolejny raz przeżyć jego samobójstwo albo jego codzienne umieranie w samotności bez wiary, że czterdzieści kilometrów stąd ma rodzinę, która wciąż go kocha, mimo tego, co zrobił innej rodzinie, mimo że uczynił sierotą swojego kolegę Jana, który nie ma już miłości rodziców, co jest niesprawiedliwe,

bo miłość rodziców dana jest na zawsze jego oprawcy, Cezaremu.

Jak sobie radzisz bez komputera, pyta ojciec, a Cezary wyciąga z kieszeni Biblię, którą nosi wciąż przy sobie, zapewnia. Mówi, że czyta codziennie, niczego nie potrzebuje, że teraz jest jak eremita, nawet nie robi zakupów w więziennym sklepiku, bo to, co ma, wystarcza mu w zupełności, teraz ma czas na przemyślenia, dużo czyta, uczy się, w nauce mu wygodnie, nauka go nie uwiera jak więzienny uniform, więcej wie, bo nauka daje odpowiedzi, więcej rozumie, bo ma dużo czasu, aby dać zrozumieniu czas na przyjście. Ale pora się pożegnać, bo pożegnanie też przychodzi, i on to akceptuje, tak jak nową fryzurę, którą tu otrzymał, ten język na głowie pozwala łatwiej dbać o higienę, przesuwając ją po potylicy dłonią zawiniętą jeszcze w bandaż.

Ojciec żegna się z nim, do zobaczenia więc za dwa tygodnie. Patrzy jeszcze na syna, którego spokój widoczny na twarzy go dręczy. Wolałby, aby był szaleńcem, a nie na powrót dobrym dzieckiem, które chciałby przytulić, zabrać stąd, uciec z nim. Czy tak ma skończyć jego syn, piątkowy uczeń? Czy tak ma skończyć ktoś, kto cierpiał na samotność w oszalałym świecie i przez to pragnął nad nim władzy, więc zabił, aby dowiedzieć się, że to doświadczenie jest nic niewarte?

Niestety, do ojca dociera najgorsza z prawd, jaka kiedykolwiek przekroczyła bramę jego umysłu, nikt nie może pomóc Cezaremu, on musi tu zostać i po-

nieść karę, której boi się mniej niż odrzucenia przez rodzinę.

Cezary trzy razy ściska ojca rękę na pożegnanie, trzy razy całuje go w policzek i trzy razy klepie go po ramieniu, to na szczęście, mówi, abym przetrwał. Przetrwasz, ojciec klepie go tylko raz, i my też przetrwamy, magia cyfr jednak nam w tym nie pomoże.

Droga ci się dłuży, Dawidzie, ale z więzienia do domu nie jest przecież tak daleko, nie jedziesz tak długo, jak długo znosisz oczekiwanie na każdą wizytę w nowym domu twojego syna. Powinieneś zwolnić, więc podnieś stopę wyżej, zwolnij pedał gazu, nie daj się skusić łatwemu rozwiązaniu, że najlepiej byłoby teraz spowodować wypadek, przecież może ci się nie udać. Po prawej masz stojącą zieleń drzew, ale nie zerkaj tam zbyt długo, jedynie przez ułamek sekundy, bo jeszcze wylądujesz na jednym z nich, a może być zbyt kruche, aby twój samochód zdołał się na nim zatrzymać, nawet jeśli byłoby masywne i twój opel corsa nie przebiłby się przez jego pień, co wtedy mogłoby się stać? Mógłbyś zginąć na miejscu, ale też zostać kaleką, wyjść z wypadku półcało, co uczyniłoby cię więźniem swojego ciała, nie uciekłbyś od niego do końca swoich dni na wózku, więc lepiej nie próbuj, nie kuś losu, Dawidzie, nie powoduj wypadku, który mógłby uwięzić kolejną osobę z twojej rodziny, a dwie pozostałe w żałobie po waszym wspólnym życiu. Dlatego odwróć głowę od pięknych widoków, nie patrz na

słońce zachodzące za tymi drzewami, nie patrz na kamienie przydrożne, skoncentruj się, tak jak zawsze skoncentrowany byłeś na celu, teraz celem musi stać się dla ciebie dojazd do domu, a później każda chwila, którą przeżyjesz, starając się zrozumieć to, co cię spotkało. Nie jest to łatwe, bo wciąż się obwiniasz, ale przecież musi być jakieś racjonalne wytłumaczenie tej sytuacji, spodziewasz się. Wprawdzie twoje łagodne geny nie wskazują na to, że wina leży po twojej stronie, Laura też jest zbyt spokojna, ale zawsze mogło dojść do jakiejś modyfikacji genetycznej, która nie jest zależna od ciebie, więc jedź prosto przed siebie, łagodnie naciskaj na gaz, najlepiej wlecz się za tą ciężarówką z napisem Części komputerowe, to nic, że ona przypomina ci wszystko, czym teraz się stałeś, nie ma od tego ucieczki, w końcu jeździsz autem z napisem Salon gier komputerowych, jesteś więc częścią tego świata, którego przestrzeń zdominowana została przez wirtualną dosłowność i przesyty, a jednak nie zabijasz nikogo, nie masz nawet odwagi zabić siebie. To dobrze, dociera do ciebie wreszcie, jesteś więc kimś innym, niż się spodziewasz po sobie, zostałeś sam, masz tylko siebie i swoją samotność w tym, co przeżywasz. Nie panikuj jednak, bo łatwo wpaść na drzewo, a już sobie wyjaśniłeś, co mogłoby się stać, gdyby nie było ono drzewem, jakiego oczekujesz, a jak już wiesz, bo tego doświadczyłeś, rzadko dzieje się tak, jak oczekiwałeś, nawet słupki nie układały się w taki sposób, jak zaplanowałeś, bo plan nie współbrzmiał

ze sprzedażą, która była nieprzewidywalna, bo zależna od dnia, miesiąca i roku, w którym kupowali zależni od innych zależności, tak jak zależny od wydarzeń zewnętrznych stał się twój syn. Jedź! Jesteś już blisko domu, udało ci się zwolnić i przetrwałeś drogę za leniwie sunącą po szosie ciężarówką. Widzisz swój dom, w którym okna są zasłonięte żaluzjami, bo Laura nie toleruje światła słonecznego, zaraz jej wytłumaczysz, że warto znaleźć w sobie siłę, aby jednak uchylić żaluzje, bo słońce tak pięknie jeszcze świeci, zabierzesz ją na spacer, ruch przecież pomaga, nawet jeśli początkowo nie chce się wyjść. Może zrobicie dziś porządek w ogrodzie, nie musicie ze sobą rozmawiać, możecie zwyczajnie milczeć, najważniejsze, że będziecie razem, musicie być razem, jeśli się rozdzielicie, uciekniecie, to jakbyś jednak wybrał uderzenie w drzewo, co może doprowadzić do końca, ale też, gdyby się nie udało, do kalectwa. Nie warto ryzykować, dobrze, że i to sobie uświadamiasz, w gruncie rzeczy zachowujesz się w oczekiwany sposób, wiesz, czego możesz się po sobie spodziewać, i to cię wzrusza, ale i trzyma przy życiu.

## ON NAPRAWDĘ ZABRAŁ TĘ KONSOLĘ

Gdy Dawid po południu podjeżdża pod dom, czeka przy furtce Jan. Dzień dobry, Jan pozdrawia Dawida, wejdź, proszę, Dawid wysiada z samochodu i obejmuje za ramię Jana, którego drobna postać przypomina postać jego matki. Jaki on podobny do niej, myśli Dawid, takie same mają oczy, głęboko brązowe, duże, o przejmującym spojrzeniu.

Co cię sprowadza? Dawid sili się na grzeczność wobec dziecka, któremu jego dziecko zabiło rodziców, więc Dawid wie, że żadna grzeczność nie wymaże z jego twarzy znamiona, że jest ojcem mordercy.

Przyszedłem oddać hantle, Jan wyciąga dwie pięciokilogramowe hantle z plecaka i ledwie wchodzi do przedpokoju, ojciec Cezarego mówi mu, wyrzuć je, dziecko, tak jak i my wyrzuciliśmy wszystkie pamiętki po Cezarym. Mówi to, patrząc mu odważnie w twarz i dając do zrozumienia, że powinien uczynić to jak najszybciej, i aby podkreślić wagę swoich słów, kładzie mu



rękę na ramieniu. Ramię jest drobne, delikatne i wątle, jakby wygrawerowane w niewielkim ciele chłopca, i nie zmienia tego stanu rzeczy nawet wełniany sweter, który Jan założył w gorący dzień, jakby chciał ogrzać swe mizerne ramiona. Schudł po przeżyciach, to pewne, widzi Dawid i żal mu chłopca jeszcze bardziej, więc z żalu odwraca wzrok, bo trudno tak patrzeć i nie móc nic zrobić ze swoim żalem.

Czy również wyrzuca pan tę piękną konsolę do gier, pyta śmiało Jan, a jego wzrok zawiesza się na kartonach stojących w przedpokoju, na których leży konsola i gry komputerowe. Zawsze chciałem taką mieć, więc może mógłbym sobie wziąć, skoro pan wyrzuca?

Słońce świeci tak mocno, że mężczyzna zdejmuje marynarkę, rzuca ją na kartony w przedpokoju, jakby chciał zakryć coś, co przecież zostało już dostrzeżone, więc nie można udawać, że nie istnieje. Głodne głębokobrazowe oczy chłopca obserwują każdy ruch gospodarza, który chciałby, aby oczy Jana wyrażały sytość, ale dlatego, że nie wyrażają niczego, czego Dawid pragnie, nie może już w nie spojrzeć ani razu. Boi się, że zobaczy w nich to, czego nie dostrzegł w oczach swojego syna, a to znów obudziłoby jego sprzeciwy.

Weź sobie, jeśli jest ci potrzebna, Dawid bierze w dłonie konsolę, ale zanim wręcza ją chłopcu, otwiera mu drzwi na ganek. Lepiej niech już idzie, zanim Dawid zechce go przytulić. Jak by go przytulił? Do serca, do czoła? Wszystko w nim takie jest gorące, takie świeże, boli jak cholera, nie można tego bólu oddać

dziecku, które za dużo już go zniosło. Do widzenia, Janku, żegna go bez podania ręki.

Dzień dobry, panie Grunwald, słyszy głos sąsiadki Sabiny Krop, która właśnie naciskała dzwonek przy furtce. Jak się czuje Marta?

Ach, to pani, Dawid krzywi usta w uśmiechu, Marta lepiej, ale jest pani ostatnią osobą, którą chciałbym dziś spotkać, mówi jej szczerze, lecz myśli jeszcze gorzej, ta kobieta za bardzo przypomina mu tragedię, która go spotkała, a którą sąsiadka dziennikarka opisała na całej stronie lokalnej gazety, hiena jedna. To, co go spotkało, i ten artykuł zabrały mu część życia. Czuł wzrok ludzi na swych plecach, jakby mu współczuli, ale też gardzili nim zarazem, to twoja wina, mówili, choć milczeli, bo mówić tak nie wypadało, ale on wie, co ludzie myślą w takich sytuacjach, sam tak myślał dotychczas, do momentu, gdy padł ofiarą swojego myślenia, że wystarczy być troskliwym rodzicem, aby uchronić dziecko przed najgorszym.

Przyniosłam panu mój artykuł, który wczoraj ukazał się w naszej gazecie, Sabina niezrażona jego słowami otwiera furtkę i mija się w niej z Janem. Patrzy na niego przez chwilę, uśmiecha się, dzień dobry, mówi, on jej nie pozdrawia.

Pani jest zła, syczy przez zęby Jan, pani pisze złe rzeczy, które powinno się ukryć, a nie pokazywać. Pani się podnieca tragedią innych, nie zamierzam pani mówić dzień dobry. Jak pani szef mógł pozwolić na ten artykuł, zaciska pięści i patrzy na nią z nienawiścią.

Mój szef właśnie poszedł na urlop, Sabina Krop zamyka furtkę, jakby chciała zatrzymać za jej granicami Jana i Dawida. Właściwie dobrze, że jesteście tu obaj, Sabina wyciąga z torby gazetę. Minę ma poważną, skupia się na torbie. Przedwczoraj dwie dziewczyny w wieku pana syna, panie Grunwald, zamordowały koleżankę z klasy. Skalpelem, który ukradły z gabinetu ojca jednej z nich. Obie były z dobrych domów. O tym też nie powinnam pisać? Zwraca się do Jana. Ten spuszcza głowę.

To ma mnie pocieszyć, pyta Dawid.

Sabina wie, że dla rodziny mordercy pocieszenie nie istnieje. Napisałam też o tych trzech, którzy siedzą w celi z pana synem.

Po co? Żeby mnie dobić? Dawid chciałby, aby sobie poszła, ale skoro nie rusza się z miejsca, podręczy ją, myśli, tak jak ona dręczy go przypomnianiem mu bólu. Jest pani opętana? Tak panią kręcą ludzkie tragedie? Może pani też by chciała kogoś zabić? Wsadzą panią i będzie spokój.

Musiałam, mówi Sabina, musiałam się dowiedzieć, dlaczego im odbiło, bo, wie pan, to tak, jakbym chciała przeżyć to wszystko, co oni przeżyli, aby wystraszyć się tak mocno, tak głęboko, by ten lęk zniknął.

Udało się pani? Dawid zna odpowiedź na to pytanie, jego lęk nie zniknął od czasu, gdy podniósł słuchawkę telefonu podczas sobotniego obiadu. Nie ma takiej granicy lęku, za którą jest coś, co mogłoby nam

przynieść ulgę. Musiałaby pani przestać czuć, ale nie znam takiego człowieka. Pani zna?

Nie. I nie znam uczucia ulgi.

No właśnie. A te dziewczyny też grały w gry komputerowe, pyta Dawid.

Wszyscy teraz grają, one nie grały więcej niż inni, mówi Sabina.

To dlaczego to zrobiły? W Dawidzie na chwilę znów ożywa nadzieja, że poznanie motywacji tych nastoletnich morderczyń przybliży go do zrozumienia swojego syna.

Dla zabawy, panie Grunwald, czy przyjąłby pan do wiadomości, że można kogoś zabić dla zabawy? Sabina podchodzi do Dawida i wręcza mu gazetę.

To za mało, bierze od niej gazetę. Nie mieści mi się to w głowie. Jak można pragnąć kogoś zabić dla zabawy?

A może wystarczy czegoś mocno zapragnąć, aby przestać się bać to zrobić? Sabina stoi z założonymi rękoma i dostrzega, jak odchyła się firanka w sypialni Grunwaldów. To Laura Grunwald podeszła do uchylonego okna i słucha tej rozmowy. Odślania teraz żaluzje, wpuszcza światło słoneczne do pokoju.

Na podwórku jest tak cicho, że Dawid odwraca głowę w stronę, skąd dobiega szelest żaluzji. Wystarczy czegoś mocno zapragnąć, twierdzi pani, i znika lęk? Zwykli ludzie mówią tak w sytuacjach, kiedy dążą do czegoś pięknego, chcą poprawić swój los, odmienić swoje życie na lepsze, mówi i patrzy w stronę Laury.

Ale te dzieci nie są zwykłymi ludźmi. Sabina Krop wie, że teraz powinna już pójść, bo u Grunwaldów dzieje się coś ważnego. Od dawna nie odsłaniano tu żaluzji.

Otwiera furtkę i wychodzi razem z Janem, który mówi jej przepraszam.

W tym momencie Jan już wie, że doświadczanie jest ważniejsze od zdobytego doświadczenia, które już się dokonało, a życie toczy się w sobie tylko znanym kierunku. Ściska w dłoniach zdobyte play station. Teraz jego umysł zajęty jest jedynie radością z powodu jego zdobycia. Już zaraz będzie w domu. Już zaraz zacznie grać.

## SPIS RZECZY

Obiad jeszcze się nie zaczął, gdy zadzwonili

7

Obiad już się zaczął, gdy zadzwonili

31

Już wróciła z pracy,  
gdy komputer przestał być posłuszny

49

W piątek nawalił Jan, ale pojawiła się nadzieja

65

Ona chce wiedzieć więcej,  
dlatego musi poznać go bliżej.  
On chce wiedzieć więcej, dlatego musi tam pójść

87

Już miał nadzieję,  
gdy zadała mu te okropne pytania

105

Już byli po kolacji, gdy umówili się,  
żeby to zrobić

123

Wybierali się do teatru, gdy przyszli to zrobić

151

Rozwiązanie kwestii słabych

157

Utracone piękno świątyni

197

A czego pani tam, do cholery, szuka?

211

Silne zęby też go zawiodły

221

Dziennik w pudełku po butach

235

Ona do nich idzie,  
bo tak strasznie chce to wiedzieć

245

Już myślała, że wie, gdy dowiedziała się więcej

257

Pewne jest tylko to, co się stało pół roku temu

299

On naprawdę zabrał tę konsolę

311

**Redaktor serii: Filip Modrzejewski**

Redakcja: Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska  
Korekta: Joanna Habiera, Krystyna Kiszelewska  
Redakcja techniczna: Izabela Gołaszewska

Projekt okładki i stron tytułowych: Piotr Grabowski  
na podstawie koncepcji graficznej Marka Goebła  
Fotografia wykorzystana na okładce:  
© Catherine Raillard/Corbis/FotoChannels  
Fotografia autorki: © Łukasz Fijałkowski


Wydawnictwo W.A.B.  
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5  
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11  
wab@wab.com.pl  
www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Tekst - Małgorzata Krzywicka  
Piaseczno, Żółkiewskiego 7A  
Druk i oprawa: Opolgraf S.A., ul. Niedziałkowskiego 8-12, Opole

ISBN 978-83-7414-807-8



- Gianrico Carofiglio *Świadek mimo woli  
Z zamkniętymi oczami  
Ponad wszelką wątpliwość*
- Mariusz Czuboj *27:37*
- Ryszard Ćwirlej *Ręczna robota*
- Martha Grimes *Hotel Paradise  
Stacja Cold Flat Junction  
Hotel Belle Rouen  
Pod Huncwotem  
Pod Przechytrzoneym Lisem  
Pod Anodynowym Naszyjnikiem  
Pod Zawianym Kaczorem*
- Arnaidur Indriáason *W bagnie*
- Jean-Claude Izzo *Grobowa cisza  
Total Cheops  
Szurmo  
Solea*
- Tomasz Konatkowski *Przystanek Śmierć*
- Marek Krajewski *Wilcza wyspa  
N/e ma takiego miasta  
Widma w mieście Breslau  
Festung Breslau  
Dżuma w Breslau  
Głowa Minotaura*
- Marek Krajewski, Mariusz Czubaj *Aleja samobójców  
Róże cementarne*
- Jens Lapidus *Szybki cash*
- Henning Mankell *Morderca bez twarzy  
Psy z Rygi  
Biała lwica  
Mężczyzna, który się uśmiechał  
Fałszywy trop  
Piąta kobieta  
O krok  
Zapora  
Chińczyk*
- Aleksandra Marinina *Kolacja z zabójcą*
- Gra na cudzym boisku  
Ukradziony sen  
Złowroga pętla  
Śmierć i trochę miłości  
Męskie gry  
Zabójca mimo woli  
Płatki giną pierwsze  
Czarna lista*
- Zygmunt Miłoszewski *Uwikłanie*
- Denise Mina *Pole krwi  
Martwa godzina  
Ostatnie tchnienie*
- Heinrich Steinfest *Subtelny nos Lilli Steinbeck*
- Joanna Szymczyk *Ewa i złoty kot*



Karina Obara urodziła się w 1974 roku w Wałbrzychu, mieszka w Toruniu. Jest politologiem i dziennikarką, kieruje toruńskim oddziałem „Gazety Pomorskiej”. Dotychczas wydała powieści *Grzecherezada* (2006) i *Dwa światy Zofii* (2008) oraz prozę dokumentalną *Damian i Dzienna Mama* (2008).

*Gracze* to powieść o szaleństwie nastolatków; napisałam ją takim językiem, aby to szaleństwo zobrazować. Pisałam tę książkę jednym tchem, jakbym chciała przeżyć w literaturze coś, co każdemu z nas, ojcu, matce, mogłoby się przytrafić. W ten sposób czułam, że mierzę się z lękiem, przeżywam go, trawię, nasiąkam nim do tego stopnia, że się nim staję, aż w końcu wychodzę poza niego i przestaję go odczuwać.

I znów mogę kochać swoje dzieci z wiarą, że moja miłość je ocali – choć tego możemy być najmniej pewni, wiedząc, że w wirtualnym świecie, w którym nasze dzieci spędzają coraz więcej czasu, pewne jest tylko to, że ten świat je podnieca.

Karina Obara

Patronat medialny

**INTERIA.PL** dla **studenta.pl**  
www.gracze.interia.pl

Zbrodnia  
w Bibliotece

SalonKulturalny.pl

Carpe noctem  
www.CarpeNoctem.pl

**HANTER.PL**

*Ali-Baba*

W  
ab  
wzrost  
twoj

ARENAHORROR.PL  
JESZTEK W SIECI

MROČNA  
SERIA



Zwykle nieduże miasto. Matka Michała jest prostytutką, Cezary pochodzi z pełnej, mieszczańskiej rodziny, w której rodzice starają się przekazać dzieciom najważniejsze wartości. Obaj namiętnie grają w grę komputerową „Misja”.

Pewnego dnia chłopcy postanawiają popełnić morderstwo – wierzą, że jeśli zabiją, świat zmieni swoje oblicze. Ich plan odkrywa przypadkiem dziennikarka Sabina Krop, samotna kobieta, która godzinami przesiaduje na forach internetowych. Sabina próbuje przeszkodzić chłopcom, a walka o nich doprowadzi do zaskakującego odkrycia...

*Ali-Baba*

978-83-7414-807-8



9 788374 148078

Cena 34,90 zł

[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

Wydawnictwo  
**wab**  
two